

MÓNICA SUBIETAS

# LAS w CISZY



Zaginiony obraz Gustava Klimta i trudne dziedzictwo II wojny – poruszająca historia osobistej odpowiedzialności za niedokończone sprawy poprzednich pokoleń...

LETRA

MÓNICA SUBIETAS

LAS  
w  
CISZY

Przekład Katarzyna Lebedzińska

LETRA

# Spis treści

Karta redakcyjna

1. Incydent

## CZĘŚĆ PIERWSZA. PRZESZŁOŚĆ

2. Hermann

3. Gottfried

4. Przesyłka

5. Skrzynka

6. Jakob

7. Spadek

8. Ucieczka

9. Laska

10. Ada

11. Zdanie

12. Płótno

13. Julia

14. Dziecko

15. Decyzja

16. List

17. Kawiarnia Glück

18. Po Hermannie

19. Gloria

## CZĘŚĆ DRUGA. TERAŻNIEJSZOŚĆ

20. Valeria

21. Tony

22. Telefon

23. Propozycja

24. Zdrada
25. Wina
26. Furia
27. Lucas
28. Las w ciszy
29. Szansa
30. Przeszukanie mieszkania
31. Ocalały
32. Dom
33. Wyznanie
34. Szantaż
35. Melancholia
36. Wizyta
37. Gabriel Baron
38. Lista
39. Obiekt pożądania
40. Lojalność
41. Kłótnia
42. Pieczęć
43. Pytanie
44. Niespodzianka
45. Zwrot akcji
46. Konsekwencje

### CZĘŚĆ TRZECIA. PRZYSZŁOŚĆ

47. Inauguracja
48. Myriam
49. Ciekawość
50. Obsesja
51. Odkrycie
52. Huragan
53. Śpiączka
54. Oliver
55. Pożegnanie

Tytuł oryginału: *El Bosque en silencio*

Copyright © Mónica Subietas, 2022 by arrangement with Literarische Agentur Mertin Inh. Nicole Witt e. K., Frankfurt am Main,  
Germany and Macadamia Literary, Poland

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.,  
Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie ani powielana graficznie, elektronicznie czy mechanicznie, w tym za pomocą kopiowania, nagrywania, ani przechowywana w informatycznej bazie danych bez pisemnej zgody wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw twórców do ich własności intelektualnej i nieudostępnianie treści książki w sieci.

Tłumaczenie: Katarzyna Lebedzińska  
Redakcja: Aleksander Kmak  
Korekta: Agata Żabowska  
Projekt okładki: 3oko Krzysztof Kielbasiński  
Skład i łamanie: Sylwia Szur

ISBN 978-83-213-5252-7

CIP - Biblioteka Narodowa  
Subietas, Mónica  
Las w ciszy / Mónica Subietas ; przekład Katarzyna  
Lebedzińska. Wydanie I. - Warszawa : LeTra, 2022

Wydanie I, 2022. Symbol 5313/R

Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.  
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa  
tel. 22 444 86 50/51  
[info@arkady.eu](mailto:info@arkady.eu), [www.arkady.eu](http://www.arkady.eu)  
[www.facebook.com/Wydawnictwo.Arkady](https://www.facebook.com/Wydawnictwo.Arkady)  
[www.facebook.com/Wydawnictwo.LeTra](https://www.facebook.com/Wydawnictwo.LeTra)  
księgarnia firmowa tel. 22 444 86 61, e-mail: [ksiegarnia@arkady.eu](mailto:ksiegarnia@arkady.eu)

Wyłączny dystrybutor: DOBRA 28 Sp. z o.o.  
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa  
tel. 22 444 86 94  
e-mail: [biuro@dobra28.pl](mailto:biuro@dobra28.pl), [www.dobra28.pl](http://www.dobra28.pl)  
księgarnia wysyłkowa: [www.arkady.info](http://www.arkady.info)  
tel. 22 444 86 97

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

# 1. Incydent

Luty 2010

Wystarczyło wyciągnąć zaledwie jeden gwóźdź, żeby Max Müller runął na ziemię i leżał teraz bezwładnie na podłodze studia z policzkiem rozplaszczonym na ziemi oraz skrzepniętą strużką krwi przypominającą jedną z wielu plam świeżo rozbryzanej farby. Na górnej wardze mężczyzny można było dostrzec lekkie rozcięcie, a na drugim policzku – siniak po niedawnym uderzeniu.

Właśnie w takim stanie znalazł go Gottfried. Mężczyzna o mały włos nie nadepnął na gwoździarkę, podchodząc do nieruchomego ciała malarza. Rzucił szybkie spojrzenie na resztę pomieszczenia i zobaczył przewrócony stół: pędzle, narzędzia, farby i papiery leżały rozrzucone chaotycznie na ziemi. Odkrył również źródło intensywnego zapachu, ponieważ dostrzegł butelkę z rozpuszczalnikiem, która musiała przeturlać się kilka metrów dalej, tak że jej zawartość rozlała się równomiernie po pokrytej kolorowymi plamami podłodze. Obok ciała Maxa kuczał Tony. Obejmował własne kolana, kołysząc się do przodu i tyłu, jakby co najmniej postradał zmysły. Gottfried pochylił się, żeby zniżyć się do jego poziomu, a kiedy w końcu zmuszony był krzyknąć, żeby tamten zwrócił na niego uwagę, Tony nie odwzajemnił jego spojrzenia.

– Do jasnej cholery, Tony! Co się tutaj stało? Mówiłem ci, żebyś nie wchodził tu przede mną!

Mężczyzna nie odpowiedział na jego krzyki i pytania. Oczy Tony'ego napłynęły krwią i spuchły mu powieki. Ze względu na jego ciemną karnację zaczerwienione oczy jeszcze bardziej przykuły uwagę Gottfrieda, który położył mu ręce na ramionach.

– Musimy coś wymyślić. Ani mi się myśli ostać się bez kucharza. Zadzwońeś już na policję?

Tony powoli pokręcił przecząco głową, ale Gottfried domyślił się, co miał na myśli. Przecież nie mógł zadzwonić na policję. Wszyscy byli świadkami tego, jak kilka godzin wcześniej wyzywali się z Maxem w barze Glück.

Mimo wszystko Gottfried zdawał sobie również sprawę z tego, że tak naprawdę nie mieli innego wyjścia. Wstał na równe nogi, wyciągnął z kieszeni kurtki telefon i wybrał numer awaryjny 112.

– Drzwi są otwarte – wyszeptał siedzący wciąż na ziemi Tony.

Gottfried zakrył mikrofon.

– Co?

– Drzwi. Były otwarte, kiedy przyszedłem.

– To dobrze. Tak będzie lepiej.

Tony słuchał, jak jego szef wyjaśniał, dlaczego znaleźli się w najgorszym z możliwych miejsc i na domiar złego w najmniej odpowiednim momencie. Oraz jak odpowiadał na pytania dyżurującego na komisariacie policjanta, który starał się przytrzymać Gottfrieda przy słuchawce aż do przyjazdu radiowożu. Nie trwało to zresztą długo, bo już wkrótce po rozpoczęciu rozmowy dało się słyszeć syreny policyjne z oddalonego zaledwie kilka przecznic komisariatu Wiedikon. W Zurychu wszystko znajdowało się w zasięgu ręki. Tony'emu nie przychodziło nawet do głowy, jak wyjść z tej kiepskiej sytuacji. Tak naprawdę nie był w stanie myśleć zupełnie o niczym.

Gottfried odłożył słuchawkę dokładnie wtedy, gdy ucichł sygnał parkującej tuż przy studiu Maxa karetki. Wraz z nią na ulicy pojawiło się kilka wozów policyjnych. Dobiegające stamtąd światło przenikało przez luksfery do wnętrza studia, rozszczepiając się na niebieskie i pomarańczowe okręgi przypominające świetliki migoczące na powierzchni opartych o ścianę obrazów. Tuż obok bezwładnego ciała malarza drobne światełka rozchodziły się promieniście na tle jednego z jego płócien, zupełnie jakby w pomieszczeniu ukryto kulę dyskotekową. Gottfried podszedł do obrazu i odkrył, że źródłem tego intrygującego spektaklu były gęsto powbijane niewielkie gwoździe. Na jednym brzegu dzieła Maxa można było dostrzec tytuł, który artysta zapisał przy pomocy czarnej farby:

**FURIA**

Trzaskający drzwiami policjanci oraz trzeszczący pod ich butami żwir uświadomiły Gottfriedowi, że nie jest już bezpieczny. Chwycił Tony'ego za rękę i przeciągnął go aż do drzwi wejściowych do studia, gdzie, jak postanowił, zaczekają na funkcjonariuszy. Starał się zachować pozory, chociaż wiedział, że sytuacja nie przedstawia się dla nich zbyt korzystnie.

Zaraz po wejściu do studia dwóch policjantów rzuciło się na Gottfrieda i Tony'ego, zapędzając ich do dwóch różnych kątów i zaczęli zadawać pytania, podczas gdy pozostali funkcjonariusze rozproszyli się po miejscu zbrodni, żeby dokonać pierwszych oględzin, a sanitariusze zajęli się Maxem. Gottfried poczuł się, jakby był na planie filmowym, na którym miał odegrać główną rolę. Tymczasem stojący obok niego Tony zakrywał jedną dłoń poranionego kńkcie drugiej ręki, patrząc z ukosa na pielęgniarkę wyciągającą przy Maksie całą aparaturę, żeby zmierzyć mu puls. Zaledwie kilka sekund później kobieta wstała gwałtownie na równe nogi, jakby co najmniej porażono ją prądem, i wykrzyknęła:

– Chłopak żyje!



Część pierwsza

PRZESZŁOŚĆ

## 2. Hermann

Jesień 1942

Herman Messmer badał za pomocą laski podłoże lasu, przez który się przedzierał. Ziemię pokrywał sięgający aż do kolan płaszcz uschłych liści. Uniemożliwiało mu to zobaczenie drogi, którą powinien obrać. Spowity mrokiem szedł, oddychając duszącym odorem torfu. Ukryta w liściach gałąź wbiła mu się niefortunnie w łydkę i pod grubymi sztruksowymi spodniami czuł teraz palącą ranę, ale mimo wszystko starał się nie zwracać na nią uwagi i maszerował dalej. Nie przejmował się zadrapaniem. Martwił się tym, że był zmuszony opuścić swojego podopiecznego, próbując tym samym ratować mu życie. Teraz, schodząc zboczem góry, musiał spieszyć się, żeby dotrzeć przed zmrokiem do domu drwali. Miał świadomość, że temperatura spadnie tak szybko, jak zniknie światło dzienne. Chociaż znał tę trasę na pamięć, towarzyszący mu niepokój zniekształcał krajobraz i na każdym rozwidleniu nachodziły go nowe wątpliwości.

Nagle zatrzymał się, żeby poszukać punktu orientacyjnego, który utwierdziłby go w tym, że zmierza w prawidłowym kierunku, ale za drzewami widział jedynie coraz więcej drzew, a pod liśćmi – jeszcze więcej liści. Oddychając z trudem, przeklął dyrektywę państwową, która doprowadziła go do obecnej sytuacji. Wojna podzieliła cały świat, a Szwajcaria ukrywała się za fasadą neutralności, na której zaczynała kruszeć farba.

\* \* \*

Na początku sierpnia Rada Związkowa ogłosiła w kilku wartkich słowach zamknięcie granic dla Żydów: „Nie odrzucimy uchodźców politycznych, dlatego wszyscy obcokrajowcy, którzy podczas pierwszego przesłuchania będą w stanie udowodnić, że uciekają przed represjami politycznymi, zostaną przyjęci. Jeśli natomiast ktokolwiek będzie szukał schronienia ze względu na przynależność

rasową, jak ma to miejsce w przypadku Żydów, ten nie zostanie uznany za uchodźcę politycznego”.

Mimo że obwieszczenie wzbudziło oburzenie społeczeństwa, weszło w życie już pod koniec tego samego miesiąca. Wypluta przez nadajnik radiowy wiadomość wypaliła w Hermannie znamię, tak samo jak żarzące się żelazo przepala końską skórę. *Das Boot ist voll*. Ta łódź jest już pełna. Głos Eduarda von Steigera, szefa Federalnego Departamentu Sprawiedliwości i Policji, wybrzmiał niezwykle przygnębiająco i donośnie w skromnym salonie państwa Messmer, na którego dekorację składały się podstawowe wyposażenie umożliwiające rodzinie ubogie egzystowanie: stół, kilka krzeseł, zgaszony piec ceramiczny i koszyk z robótkami Ady, żony Hermanna. I jeszcze złota ramka z czarno-białą fotografią z ich ślubu wisząca samotnie obok okna jakby na pamiątkę lepszych czasów.

Właśnie zasiadali do stołu, kiedy te wypowiedziane ze szwajcarską precyzją cztery słowa całkowicie odebrały im apetyt. Nie trzeba było wyjaśniać metafory – kiedy jesteś kapitanem skromnej szalupy ratunkowej, która i tak jest już przepelniona po brzegi, bo jej pojemność jest równie ograniczona, jak zgromadzone w niej zasoby, okrutnie jest patrzeć na tonący statek, na którym tysiące ofiar błagają o ocalenie. A nie można uratować ich wszystkich. Niemniej jednak za ludzki odruch można uznać niedawanie fałszywych nadziei. To był 30 sierpnia 1942 roku, kiedy ogromna czerwona pieczętka w kształcie litery „J” także w Szwajcarii stała się równoznaczna z wyrokiem śmierci.

Hermann nie mógł uwierzyć w to, że kraj, który podczas I wojny światowej przyjął jego emigrujących z Niemiec rodziców, teraz skazywał na prawie pewną śmierć tysiące osób szukających schronienia. Nie można było tego tłumaczyć brakiem pożywienia. Przecież w ramach planu Wahlen przekształcono parki, ogrody, place, patia, a nawet donice, w taki sposób, żeby uprawiać ziemniaki, rośliny strączkowe, zboże i warzywa. A za pomocą kartek na żywność rozdzielano między obywatelami pozostałe zapasy i produkty pierwszej potrzeby. Jedzono niewiele, ale za to jedli wszyscy.

Ada i Hermann nie tknęli swoich talerzy. Kobieta nalała sobie wody do szklanki, chociaż nie miała ochoty jej wypić.

– Zamykanie granic to jak zamykanie oczu, żeby niczego nie widzieć – powiedziała.

– Właśnie to robią wszyscy dookoła, Ado – odpowiedział jej mężczyzna. – Przypomnij sobie tylko, co wydarzyło się w Evian.

– Hermann, ale to przecież tylko ludzie. Nie mogą wymienić ich za zapasy żywności i węgiel, tak jak wymienia się inne produkty.

– Ale to nie chodzi tylko o to, kochanie. Co zatrzyma Niemcy przed włączeniem naszego państwa jako kolejnego podbitego terytorium? Mają już połowę Europy. Są nie do powstrzymania.

– Chcesz mi powiedzieć, że zgadzasz się z decyzją rządu, Hermann?

– Oczywiście, że nie! – odpowiedział szybko. – Jestem Niemcem. Zapomniałaś o tym? Jestem tutaj, bo już raz powiększyli swoje terytorium. Już raz chcieli zbudować wielkie imperium i im się to nie udało.

– Więc?

Hermann spojrzał na ich zdjęcie ślubne i przypomniał sobie, jak bardzo marzyli o założeniu rodziny. Pomyślał o dzieciach, których jeszcze nie mieli, a potem spojrzał na wyczekującą odpowiedzi żonę. Jego rodzice musieli uciekać. On nie miał zamiaru powtarzać ich losu.

– Skoro Szwajcaria zdecydowała zamknąć drzwi dla uchodźców, my otworzymy dla nich okna, Ado. A jeśli nie pozwolą im wejść w grupie, przyprowadzimy ich jednego po drugim.

# 3. Gottfried

Lato 2009

Gottfried Messmer obrócił się w ogromnym łóżku Julii i otworzył ostrożnie oczy, ale nie obudził się do końca. Przez okno wkradały się pierwsze palące promienie słońca, w wyniku których poczuł ześlizgujące się w załamaniach szyi krople potu. Dochodził go również przytłumiony dzwonek jego telefonu komórkowego, ale nie był w stanie określić, czy dźwięk był prawdziwy, czy być może nadal śnił. Pomyślał, że Julia na pewno by odebrała, dlatego postanowił, że on tego nie zrobi. Niestety urządzenie nie dawało mu spokoju, więc wreszcie wstał, chociaż wcale nie miał na to ochoty. Krótka notatka zostawiona na blacie w kuchni dała mu do zrozumienia, że jego ukochana nie wróci zbyt prędko. Stojąc w samych majtkach i przeczesując zmierzwione włosy, w końcu niechętnie odebrał telefon i przyłożył słuchawkę do ucha. Nienawidził ukrytych numerów.

– Messmer.

– Dzień dobry, panie Messmer. Czy rozmawiam z Gottfriedem Messmerem, synem Hermanna i Ady Messmer?

– Tak, a z kim...

– Czy jest pan właścicielem lokalu Glück w Zurychu?

– To coś więcej niż zwykły lokal, ale tak, jestem jego właścicielem. Z kim mam przyjemność rozmawiać?

– Czy pański ojciec zmarł 13 stycznia 1960 roku?

To nieoczekiwane przesłuchanie zaskoczyło Gottfrieda, którego wciąż niewybudzony mózg pracował ciągle niezwykle wolno. Nie był wcale w nastroju, żeby bawić się w zgadywanki, i nie obchodziło go w ogóle, że osobą, która zadawała mu pytania z prędkością strzelającego karabinu, była kobieta. Czuł się żałośnie, stojąc w samej bieliźnie.

– Czy powie mi pani, do cholery, kim pani jest i czego ode mnie chce?

Jego rozmówczyni nie udzieliła odpowiedzi.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie, panie Messmer. Bardzo pana o to proszę. Wtedy będę mogła panu powiedzieć, kim jestem. Zadałam panu pytanie. To od pana zależy, czy na nie odpowie, czy nie.

Gottfried prawie odłożył słuchawkę, ale w tej samej chwili zrozumiał, że jeżeli to zrobi, nigdy nie dowie się, jaka przyczyna stoi za tym telefonem.

– Tak, dokładnie tak. Właśnie tak było. 13 stycznia. A teraz niech mi pani powie...

Kobieta nie dała mu dokończyć zdania.

– Wspaniale. Odważę się więc stwierdzić, że nasi biegli znaleźli właściwą osobę. Przepraszam pana bardzo za to przesłuchanie, panie Messmer. To konieczna procedura. Rozmawia pan z sekretarką Markusa Kielholza z oddziału zajmującego się spadkami w Zürcher Bank. Pan Kielholz chciałby umówić się z panem na spotkanie w jednym z naszych biur przy Paradeplatz. Chodzi o dotyczącą pana poufną sprawę.

– Przepraszam, ale z kim mam przyjemność? – zapytał Gottfried zdezorientowany nagłą zmianą tonu kobiety, która teraz była dla niego niezwykle uprzejma.

– Jestem sekretarką pana Kielholza z Zürcher Bank.

– Chodzi mi o pani imię. Jak się pani nazywa?

– Ach! Oczywiście. Proszę mi wybaczyć. Butkovic. Anna Butkovic.

– I dlaczego podaje mi pani do wiadomości, że pan Kielholz z Zürcher Bank chce się ze mną zobaczyć?

– Tak jak już wcześniej panu mówiłam, to kwestia poufna. Nie wiem, co jest powodem, dla którego panu Kielholzowi zależy na spotkaniu, ale nawet gdybym była w posiadaniu takiej informacji, nie mogłabym jej panu przekazać przez telefon. Pan Kielholz pragnie porozmawiać z panem osobiście.

– Rozumiem. I pewnie też mu się bardzo spieszy.

– Myślę, że to bardzo pilna sprawa, panie Messmer.

Gottfried podszedł do okna w kuchni. Po drugiej stronie szyby kot sąsiada schodził ostrożnie po specjalnie dobudowanych drewnianych schodkach do ogrodu. Dostrzegł również, że zakwitły już hortensje, a on wcześniej nawet tego

nie zauważył. Nie wiedział, co zrobić z telefonem, który utkwił martwo między jego uchem a ramieniem, ale dokładnie w tej samej chwili, kiedy kot dotarł do ogrodu, Gottfried wrócił do rozmowy z Anną Butkovic, chociaż był bliski odłożenia słuchawki. Miał ochotę poczuć się tak samo wolny jak obserwowane przez niego zwierzę. Marzył o tym, żeby cieszyć się każdym dniem i korzystać z uroków nocy. Chciał mieć swój własny ogród z pięknymi hortensjami. Niestety z wiekiem coraz gorzej znosił to, co przynosił dzień po pełnej szaleństwu nocy.

– Pani Butkovic, musi mnie pani zrozumieć, wczoraj późno się położyłem i dopiero co wstałem. Tak właściwie spałbym dalej, gdyby nie obudziła mnie pani swoim ponagląjącym dzwonieniem, dlatego prosiłbym, żeby zadzwoniła pani za jakieś pół godziny, w porządku? Muszę się wykąpać i sprawdzić w kalendarzu, jakie mam plany na najbliższe dni. Podejrzewam, że pani szef może poczekać pół godziny, prawda?

– Oczywiście, panie Messmer. Niemniej jestem przekonana, że sprawa, z którą do pana dzwonię, na pewno pana zainteresuje. I proszę, żeby nie odkładał pan spotkania.

– Proszę się nie martwić. Na pewno tego nie zrobię.

\* \* \*

Tak naprawdę Gottfried nie miał żadnych odnotowanych w swoim kalendarzu planów; wolał decydować sam o tym, co miał do zrobienia, niż dawać prawo decydowania innym. Podszedł do ekspresu i ucieszył się, że Julia pomyślała o nim, zostawiając włączone urządzenie, bo bardzo nie lubił czekać, aż się włączy. Wybrał czarną kapsułkę, umieścił ją w zagłębieniu i zamknął przykrywkę. „Żadna to kawa. To tylko jakaś parszywa imitacja, którą wkładają do kapsułki, żeby nie można było jej ani zobaczyć, ani powąchać przed wypiciem, a potem nie ma z tego żadnej frajdy”. Już nie raz tłumaczył to Julii, ale nie obchodziło jej w ogóle to, że nie smakowała mu kawa w jej domu, nawet jeśli ona sama też piła ją bardziej z przyzwyczajenia niż dla przyjemności i w dodatku zawsze z mlekiem sojowym i dwiema łyżeczkami cukru. Natomiast Gottfried wolał nie dosładzać, pił czarną kawę. „Pewnie dlatego Julia pije kawę w kapsułkach – pomyślał. – Pewnie w ogóle nie lubi pić kawy”.

Gottfried wolał włoskie kawiarki, ponieważ przypominały mu Glorię, jego pierwszą żonę. To ona nauczyła go odczytywać znaczenie z fusów na dnie filiżanki. Kawa w kapsułkach Julii prawie w ogóle nie zostawiała żadnego śladu w szklance, a bez tego nie był w stanie przewidzieć przyszłości. „Właśnie do tego prowadzi używanie kapsułek. Człowiek nie ma żadnej przyszłości”. Rozbawiła go jego własna przesadzona teoria. „Przez wyrzucanie tylu kapsułek w przyszłości doprowadzi się do zanieczyszczenia środowiska”.

Trzymając w ręce filiżankę, usiadł na wysokim taborecie przy małej, służącej za stół wyspie kuchennej i chwycił telefon, żeby wysłać wiadomość do Tony’ego. „Dzień dobry. Dzisiaj trzeba zająć się jagnięciną”. Kucharz odpisał natychmiast: „Tak, szefie. Dzisiaj podamy bruschetty z jagnięciną i warzywami”. Żartobliwy sposób, w jaki zwracał się do niego pracownik, wywołał uśmiech na twarzy Gottfrieda. Chociaż w kuchni kawiarni Glück rządził Tony, to jednak Gottfried decydował o zaopatrzeniu, co oczywiście nie zawsze podobało się kucharzowi.

Wypił pierwszy łyk kawy i zabrał się za czytanie wiadomości. „Tages Anzeiger” i „Neue Zürcher Zeitung” na swoich okładkach relacjonowały dokładnie to samo wydarzenie: „UBS ujawni tożsamość 4 550 klientów Stanom Zjednoczonym”. A więc dochowywana przez szwajcarskie banki tajemnica zapewniająca klientom dyskrecję i poufność lada moment zostanie wyjawiona. Gottfried rzucił okiem na nagłówki, nie zgłębiając żadnego z przedstawionych tematów. Nie lubił czytać newsów na komputerze. Nie wiedział też, gdzie zostawił okulary, a bez nich nie był w stanie przeczytać zapelniających internetowe szpalty malutkich liter.

Kiedy zmęczyło go nadwyrężanie wzroku, wstał, żeby poszukać ładowarki do iPod’a, którą Julia co chwilę przekładała z jednego miejsca na drugie. Znalazł ją na półce. Leżały tam rozrzucone książki, zdjęcia i przypadkowe przedmioty. Przesunął palcem wskazującym po okrągłym przycisku menu, aby wyszukać literę „E” i już miał nacisnąć PLAY, kiedy po raz kolejny przeszkodził mu natarczywy dzwonek telefonu. Minęło dokładnie trzydzieści minut. Gottfried odebrał telefon z tą samą niechęcią.

– Messmer.

– Dzień dobry, panie Messmer. Tu Anna Butkovic.

Nie chciał przedłużać ani rozmowy, ani rozwikłania tej zagadki, więc umówił się na spotkanie z Markusem Kielholzem jeszcze tego samego popołudnia. Ciepły głos Terry’ego Evansa wypełnił głębokim, bluesowym brzmieniem mieszkanie



Julii, a Gottfried zadawał sobie jedno i to samo pytanie: jaka sprawa mogła stać za tym, że pracownikowi banku, którego nie jest nawet klientem, tak bardzo zależy na spotkaniu?

## 4. Przesyłka

Alianci mieli liczne powody do zadowolenia. Z Włoch docierały pogłoski o rzekomym osłabieniu Mussoliniego, istniały również przesłanki, żeby wierzyć, że wkrótce francuskie Vichy przestanie być okupowane przez wojska. Niemniej jednak nikt nie był w stanie ocenić, w jaki sposób i na czyją korzyść przechyli się szala w rozrachunku tego przerażającego konfliktu. Małżeństwo Messmer było przekonane tylko o jednej rzeczy: że przyszłość nie może, a przynajmniej nie powinna pozostać w rękach ludzi, którzy mieli czelność bawić się w bogów. Bogów ciemności. Grać z ludzkim życiem jak sam diabeł.

Mimo że byli wierzący, Hermann i Ada zdawali sobie sprawę, że ani absolutne dobro, ani absolutne zło nie istnieją, ponieważ nawet Bóg potrafił niekiedy być naprawdę okrutny, a czasem wręcz warto było mieć za sprzymierzeńca samego diabła. Ada tłumaczyła to mężowi, twierdząc, że nikt nie jest albo zły, albo dobry.

Większość ludzi przez całe swoje życie znajduje się gdzieś pomiędzy dwiema skrajnościami, dzięki czemu osiągają równowagę.

I właśnie przykazanie dążenia do równowagi kazało Hermannowi pomóc tamtemu uciekinierowi. Nie mógł go zostawić. Złapał ze złością za laskę i wznowił marsz, sprzeciwiając się przypadkowej niepomyślności losu, który wystawiał go na próbę, sprawdzając, czy zbuntuje się przeciw własnemu przeznaczeniu. „Nie jestem jak oni. Ja i Ada nie jesteśmy tacy jak oni. My potrafimy wyciągnąć rękę do kogoś, kto potrzebuje pomocy – powtórzył samemu sobie. – Dostarczę przesyłkę na pierwszą pocztę, do której dotrę, nawet jeśli miałbym przyplacić to życiem”.

Składając tę obietnicę na górskiej ścieżce wznoszącej się na wysokość ponad dwóch tysięcy metrów, pośród gęstych lasów porośniętych bukami, jesionami, dębami i jodłami, otaczającymi jezioro Walen, Hermann maszerował dalej zboczem w dół. Ból piszczeli od czasu do czasu dawał o sobie znać jak zapomniany kiedyś problem.

Nagle wydało mu się, że zobaczył w oddali coś znajomego. „Bóg jest łaskawy, choć czasem bywa też srogi”, szepnął pod nosem. Przeszedł kilka kroków do przodu ze wstrzymanym oddechem, a potem rzucił się ponownie do biegu, popchnięty chwilowym przyływem optymizmu, który jednak zaczął słabnąć wraz z upływającym czasem i pokonywanym dystansem. Wiedział, że jest coraz bliżej swojego celu. W końcu porzucił laskę i uklęknął przed jedynymi zachowanymi kamieniami składającymi się na ocalały mur. Ścianę spowijał drażniący gorzki zapach spalonego drewna.

Hermann spoglądał z niedowierzaniem na zwęglone resztki niewielkiego domku drwali, jedynego miejsca oddalonego o kilka kilometrów od ich domu, w którym mógł znaleźć coś przypominającego apteczkę. Przez kilka minut, kiedy przeczesywał zgliszcza, nadal nie porzuczał nadziei. Był zdesperowany, ale jego poszukiwania nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Usłyszał, że w oddali oddawano strzały. Czy to byli myśliwi? Czy żołnierze? Za godzinę miało zająć słońce, a on miał przed sobą dwie możliwości: pierwszą był powrót do mężczyzny z otwartym złamaniem na nodze, którym zdecydował się zaopiekować, i spędzenie z nim nocy w lesie, w zimnie i otoczeniu dzikich zwierząt, które natychmiast by ich znalazły wodzone zapachem świeżej krwi. Mógł też zapomnieć o złożonej niedawno obietnicy i wrócić do domu.

Podniósł z ziemi laskę i wyruszył pod górę, powtarzając swoją mantrę: „Nie jestem taki jak oni”. Przyszło mu na myśl, że mógłby usztywnić nogę Żyda przy pomocy dwóch grubych gałęzi i obwiązać ją materiałem z rękawów, co pewnie wystarczyłoby, aby biedak mógł poruszać się na tyle, żeby znaleźć bezpieczne miejsce na spędzenie nocy. Hermann miał przy sobie jedynie scyzoryk.

Był zmuszony dwukrotnie przystanąć. Musiał wyrównać oddech. Kiedy zatrzymał się za drugim razem, zobaczył pusty, przewrócony konar i pomyślał, że jeśli udałoby mu się wtaszczyć przesылkę do środka, mógłby zabezpieczyć obydwa otwory kamieniami lub gałęziami. Mogłoby to być wystarczające schronienie, przynajmniej na najmroczniejsze nocne godziny. Natomiast jeśli zranionemu mężczyźnie w jakiś sposób udałoby się przeżyć mroźną noc w Alpach, o świcie mógłby zostawić go na następnej poczcie z zupełnie czystym sumieniem, wiedząc, że skoro uchodźca przebywa już na terytorium Szwajcarii, prawdopodobieństwo jego wydalenia z kraju jest mniejsze. Jeśli zaś umrze, ten konar stanie się jego trumną.

Sama myśl o tym, że pojawiło się jakieś wyjście z sytuacji, dodała Hermannowi skrzydeł. Zauważył przed sobą ogromną skałę, pod którą wcześniej ukrył rannego. Okręzał ją, stąpając bardzo ostrożnie po ziemi i wstrzymując powietrze w płucach. Nasłuchiwał najmniejszego dźwięku. Las odpowiedział mu niepokojącą ciszą. Przez chwilę pomyślał, że mężczyzna zmarł i zaczął przygotowywać się na odkrycie zwłok. Od rozwiązania tej wątpliwości dzieliły go zaledwie trzy kroki, ale nogi Hermanna, tak jak często się to zdarzało, odmówiły mu posłuszeństwa. Jak niby miał zaciągnąć gdziekolwiek jego ciało? Jak przenieśliby jego zwłoki? Chociaż może biedak tylko zemdłał. Ból, utrata krwi... Wstrzymał oddech, odgarnął liście i kamienie ze szpary pod skałą, ale nic pod nią nie znalazł.

Nie dowierzając, zaczął rozglądać się wokół. Czy zgubił się w lesie? Czy to na pewno była ta skała? Wrócił po własnych krokach i jeszcze raz otoczył głaz. Właśnie wtedy zobaczył na ziemi coś, co tłumaczyło całą sytuację: uciekinier zniknął. Na ziemi widać było tylko czerwonawą, prawie zaschniętą plamę krwi świadczącą o tym, że jeszcze jakiś czas temu siedział tam mężczyzna ze złamaną nogą, którego Hermann nie zapytał nawet o imię.

## 5. Skrzynka

Markus Kielholz sprawdzający własne uzębienie w malutkim lusterku przypominał rżącego konia. Przy pomocy paznokcia małego palca usunął resztkę bazylii, która utkwiała między siekaczem a sąsiadującym zębem. Gdyby Gottfried Messmer nie przyszedł za wcześnie do jego gabinetu, pewnie zdążyłby umyć zęby, tak jak robił to zawsze przed powrotem do pracy z lunchu, ale że chciał przywitać go już na recepcji, zmuszenie go do czekania wydało mu się niewłaściwym zagranie. Tak naprawdę nie mógł się doczekać spotkania, bo nareszcie udało mu się wraz z pracownikami odnaleźć najtrudniejszego do zlokalizowania spadkobiercę w całej jego karierze dyrektora Oddziału Spadków. Teraz będzie mógł spokojnie przejść na emeryturę.

Każde nieaktywne konto oznaczało długi proces poszukiwań potencjalnych spadkobierców, żmudną procedurę, która bardzo rzadko okazywała się opłacalna, ponieważ beneficjenci najczęściej przenosili pieniądze lub wartościowe przedmioty do innych banków, do kraju, z którego pochodzili, lub do innych, nieprzejrzystych finansowo rajów podatkowych. Dlatego za sukces należało uznać – kolejny z bankowych paradoksów – tzw. przebudzenie konta z wieloletniego letargu, żeby móc wreszcie je zamknąć.

\* \* \*

Gottfried poszedł do swojego mieszkania, żeby ubrać się odpowiednio na tę okazję. Wyciągnął z dna szafy jedyny garnitur, jaki miał – nie było to zresztą podyktowane brakiem funduszy, lecz raczej brakiem okazji. Kiedy się ubierał, nurtowało go jedno pytanie: co właściwie Kielholz mógł wiedzieć o Hermannie i Adzie. Oraz co wiedział o nim samym i kawiarni Glück. Przede wszystkim był ciekaw, czy bankier był w posiadaniu informacji, o których z kolei on nie miał żadnego pojęcia. Właściwie niepokoił go entuzjazm obcego mężczyzny, był bowiem pewny, że tak ogromny sekret nie mógł zwiastować niczego dobrego.

Spodnie uwierały go w pasie, co postarał się ukryć paskiem. Nie był też w stanie zapiąć marynarki, ponieważ doczekał się niestety dość widocznego piwnego brzuszka. Kawiarnia Glück była świetnie prosperującym biznesem, ale nie było potrzeby, żeby jako szef musiał chodzić w garniturze. Dzięki temu, że jego życie nocne właściwie nie istniało, wczesnym rankiem biegał brzegiem rzeki Limmat, zaczynając trasę przy Jeziorze Zuryskim. Zwyczajnie stawów i bieganie nie szły jednak w parze. W końcu zdecydował, że nie założy krawatu, bo takowego nie posiadał; czuł do nich awersję od chwili, kiedy znalazł swojego ojca, który powiesił się na własnym krawacie.

Gabinet Kielholza znajdował się na pierwszym piętrze neoklasycystycznego budynku na ruchliwej ulicy Paradeplatz położonej pomiędzy dworcem głównym a Jezioro Zuryskim. Gottfried zjawił się w banku piętnaście minut przed zaplanowanym spotkaniem.

Pani Butkovic wydała mu się dużo miłsza i nieco starsza, niż sobie wyobrażał po rozmowie telefonicznej. Bardzo mu to przypadło do gustu, ponieważ nie znosił aroganckiej młodzieży. Julia powtarzała mu, że był to dowód na to, że zaczynał się już powoli starzeć. Czas oczekiwania minął mu na dość przyjemnej rozmowie z sekretarką Kielholza, chociaż nie udało mu się ani trochę poznać przyczyny, dla której został zaciągnięty do tego ascetycznego biura z recepcją rozmiarów jego całego mieszkania.

Kiedy wreszcie pojawił się Markus Kielholz, podał mu spoconą dłoń i uściśnął jego rękę, po czym zamknął się w swoim biurze, nie zaprosiwszy gościa do środka. Gottfried spojrzał na panią Butkovic, nie wiedząc do końca, czy ma stać w miejscu, czy usiąść w poczekalni. I właśnie w tej chwili zadzwonił telefon sekretarki. Kobieta natychmiast wstała, żeby poprowadzić Gottfrieda do świątyni bankowca. Dało się słyszeć jedynie stukanie jej obcasów na beżowej, marmurowej podłodze, a w powietrzu unosił się słodki zapach jej perfum, za którym podążał na chwiejnych nogach.

Kielholz stał w swoim gabinecie i czekał na niego z karykaturalnym uśmiechem. Nie wyglądał na szczególnie szczery. Pomieszczenie było jasne i przestronne. Dekorację stanowiły wykonane z metalu, modułarne meble – zapewne tak samo drogie, co chłodne w dotyku. Ściany zdobiły liczne obrazy, a na półkach zgromadzono całe mnóstwo innych dzieł sztuki. „Sztuka osób, które bardziej znają się na bogactwie niż na sztuce”, powiedział Gottfried w myślach, kiedy

gospodarz wskazał mu miejsce do siedzenia i próbował zainicjować serdeczną rozmowę. Właściciel lokalu Glück nie zajął nawet miejsca, kiedy prawie natychmiast zahamował jego fałszywą uprzejmość:

– Panie Kielholz, proszę mieć na względzie, że wcale nie jestem zainteresowany byciem klientem pana banku, o ile właśnie po to pan mnie tu sprowadził. Pieniądze w ogóle mnie nie interesują, jeśli nie służą one prowadzeniu zwykłego, skromnego życia. Na mnie się pan nie wzbogaci.

Kielholz z miną kota z Cheshire przez kilka sekund pozostawał w szoku, ale potem przeszedł od razu do rzeczy:

– Nie interesują mnie pana pieniądze, panie Messmer. Chciałem, żeby się pan tu zjawił, nie zważywszy na moje własne zyski, ale ze względu na pańskie korzyści – powiedział, obchodząc własne biurko, żeby zająć miejsce tuż naprzeciwko Gottfrieda. – Tak jak poinformowała pana pani Butkovic, zarządzam Oddziałem Spadków w Zürcher Bank, a z informacji, którymi dysponujemy, wynika, że jest pan spadkobiercą konta w naszym banku. Nie wiem, czy słyszał pan o zamrożonych kontach.

– Myślałem, że nie można zamrozić pieniędzy – Gottfried ograniczył się do tej lakonicznej odpowiedzi, siedząc na czarnym skórzanym fotelu z elementami z chromowanego metalu.

– W tym wypadku tak – odpowiedział Kielholz, nie zwracając uwagi na ironię w głosie swojego gościa. – Pieniądze są zamrożone już od pięćdziesięciu lat. Chociaż tak właściwie nie wiemy, czy chodzi o pieniądze. To konto bankowe jest powiązane z sejfem, więc nie wiemy, co znajduje się w skrytce.

Bankier patrzył na Gottfrieda, czekając na jakąkolwiek odpowiedź, ale nie wyglądało na to, że takowa nadejdzie. Zmienił pozycję w fotelu. Czuł się niezręcznie w tej ciszy, dlatego poczuł się zmuszony, żeby dopowiedzieć:

– Na to konto wpłacano pieniądze do 1973 roku, ale nikt nigdy nie zainteresował się zawartością skrytki. Wygląda na to, że pański ojciec otworzył konto, ale od tego czasu nikt się nim nie zajął.

Gottfried złapał się za brodę i skierował wzrok na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Również i tym razem nic nie odpowiedział – nie miał zamiaru niepotrzebnie strzępić sobie języka. Przypuszczał, że prawdziwy powód spotkania, dla którego siedzący przed nim urzędnik go sprowadził, nie został jeszcze

ujawniony. Wszystko, co powiedział, wyglądało jak wstęp do jakiejś historii: puste słowa, które nic mu nie mówiły. Sprawdzanie terenu przed prawdziwym atakiem. I wcale się nie mylił, bo Kielholz przekręcił się w fotelu, położył łokcie na stole i przechylił w jego stronę. Z powagą przeszedł do rzeczy:

– Niech mnie pan posłucha, panie Messmer, bo będę z panem szczery: chcemy po prostu zamknąć to konto, ale aby to było możliwe, konieczne jest otwarcie sejfów przez pana.

Gottfried przywarł do oparcia fotela i postanowił przez kilka sekund nic nie odpowiadać. Odziedziczenie sejfów nie było do końca tym, czego się po tym spotkaniu spodziewał. Sekrety wcale go nie cieszyły, a raczej niepokoiły.

– A dlaczego miałbym go otwierać?



## 6. Jakob

Kwiecień 1938

Odziedziczona po przodkach wiara we własne możliwości Jakoba Sandlera gubiła się pomiędzy gęstymi gałęziami drzewa genealogicznego. Po aneksji Austrii do nazistowskiej Rzeszy w 1938 roku, zaledwie dwa tygodnie po święcie Purim, wiedział, że będzie musiał opuścić kraj. Jego żona i córka zrobiły to jeszcze przed fatalnym 12 marca, kiedy nie można już było wyjść na ulicę i nie zostać obrzuconym obelgami lub groźbami. Każdy dzień był pełen kolejnych upokorzeń. Ruth oświadczyła, że sytuacja jest dla niej nie do zniesienia, ale on podjął decyzję o pozostaniu w kraju i ratowaniu rodzinnego majątku. Pobrali się dwa lata wcześniej, kiedy w samym środku kryzysu ekonomicznego Jakob odziedziczył fabrykę tekstyliów po swoim ojcu. Miał zamiar dołączyć w niedługim czasie do żony i córki, które przebywały w Szwajcarii, ale wysiłki Jakoba zdały się na nic. Zakaz prowadzenia przedsiębiorstw i fabryk przez Żydów został wprowadzony w życie niezwłocznie po aneksji i z pewnością była to tylko kwestia miesięcy, zanim zaczną w pełni działać. Naziści przejmowali też żydowskie domy, samochody, zawłaszczali całe ich życie. Grabili dzieła sztuki, które równie dobrze mogły skończyć na stosie, jak i stać się częścią prywatnych majątków osób popierających nazistowski reżim. Krążyły również plotki o tym, że Hitler marzył o wybudowaniu na Bahnhofplatz w Linzu budynku tak monumentalnego jak jego własne ego, w którym miał ponoć umieścić najbardziej wartościowe dzieła: byłoby to muzeum Führera, megalomańska kolekcja zagrabionej sztuki, położona zaledwie kilka przecznic od rezydencji Sandlera.

Jednak Jakob nie miał zamiaru czekać, aż ta pogłoska stanie się rzeczywistością. Cudem wydawało mu się, że wciąż mógł przebywać we własnym domu. Zapłacił za ten przywilej nieprawdopodobnie wysoką cenę byłemu pracownikowi, przechrzczonego teraz na nazistowskiego urzędnika, który był mu winien przysługę: dzięki majątkowi rodziny Sandlerów opłacono niezwykle kosztowną

operację jego syna, bez której nie miałby szans na przeżycie. Było niemożliwe, żeby ten przyjacielski układ trwał wiecznie. W każdej chwili mógł być złamany. Pomiedzy walczącymi stronami nie było miejsca na lojalność, a niestety Jakob znajdował się po tej słabszej stronie. Dom pozbawiony życia był głównym tłem dla jego koszmarów. Nie był też w stanie przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz zdołał przespać kilka godzin z rzędu, bo jak małe dziecko budził się, słysząc najmniejszy szelest. Spał w ubraniach. Ostatnie zdarzenie, które miało miejsce o samym świcie, zmroziło mu krew w żyłach i zmusiło do podjęcia ostatecznej decyzji. Postanowił opuścić dom, kiedy usłyszał, jak ktoś zapalczywie szorował jego drzwi wejściowe, jakby chciał zmyć z nich brud. Zawsze kiedy myślał o tamtej chwili, czuł gorzki smak niesprawiedliwości. Nikt nie miał prawa myć Żydowi drzwi.

Tamten incydent uświadomił mu, że nie ma tu już dla niego miejsca. Dalsze oczekiwanie było pozbawione jakiegokolwiek sensu, życie było warte więcej niż jakikolwiek majątek. Próbował znaleźć jakieś bezpieczne miejsce dla swojej kolekcji malarstwa, ale wszystko na próżno. W zdradzieckich czasach nie mógł nikomu zaufać, a zwłaszcza w tej kwestii. Jakob wolał, żeby dzieła sztuki, które od pokoleń przekazywane były w ich rodzinie i które darzyli ogromnym sentymentem, zostały mu odebrane siłą, anizeli miałby sprzeniewierzyć się rodzinnej tradycji i oddać je w ręce kogoś, kto miałby później sprzedać je za niewielką sumę jak jakiś zwykły zdrajca. Przez te cholerne obrazy nie było go teraz przy żonie i dziecku. Nie mógł jednak pozwolić, żeby zagubiły się podczas wojny, musiał przynajmniej zadbać o to, żeby pozostał ślad po ich istnieniu. Tylko w ten sposób mógłby odzyskać swoją kolekcję po zakończeniu wojny. Oczywiście jeśli ją w ogóle przeżyje.

Usiadł przy swojej maszynie do pisania firmy Underwood i korzystając z porannego światła, zaczął inwentaryzację portretów i pejzaży zdobiących ściany domu, który właściwie nie był już jego domem. Córka nie będzie nawet ich pamiętać. Płótna należały do rodziny od wieków, a on nie będzie w stanie ich ochronić, nawet tego jedynego dzieła, który Jakob dodał do rodzinnej kolekcji, czyli małego obrazu olejnego, w którym zakochała się jego żona podczas ich podróży poślubnej do Wiednia. Kiedy zapisywał kolejne tytuły, słyszał w głowie jej głos, a każde jej kolejne słowo docierało do niego jak kapiące z niedokręconego kranu krople. Były to ostatnie wypowiedziane przez nią słowa: „Nie rób sobie nadziei, Jakobie. Nic z tego nie ocaleje”. Ale on był uparty i nie chciał przyznać jej

racji: „Odzyskamy je – odpowiedział Ruth. – Albo zaczniemy kolekcjonować od nowa”.

Wciąż żywiąc tę nadzieję, Jakob zabrał się za szczegółowe opisywanie dzieł. Odnotowywał ich tytuły, wymiary i inne szczegóły. Założył na palec złoty pierścień z pieczęcią z wyrzeźbionym herbem rodziny Sandlerów, który pobłyskiwał za każdym razem, kiedy odbijał wpadające przez okno promienie słońca. Chcąc przyspieszyć cały proces, zrezygnował z wielkich liter i spacji między wyrazami. Pisał tak, żeby wykorzystać całą możliwą przestrzeń, ściskając kolejne linijki tekstu. Informacje o obrazach oddzielał od siebie za pomocą myślników i zapisywał wszystko nieprzerwaną linią. Tym sposobem całość zmieściła się na jednej stronie.

Poczuł zeszywnienie w opuszkach palców, kiedy odnotowywał ostatnią pozycję, tę jedyną, na której naprawdę mu zależało: *Las w ciszy*. Kiedy podziwiał ostatni raz ten pejzaż przedstawiający las, pomiędzy ochrą i zielenią dostrzegł twarz swojej ukochanej żony i zdał sobie sprawę, że nie mógł zostawić tego obrazu, tak jak sobie to wcześniej zamyślił. Wyciągnął płótno z ramy i delikatnie zwinął. Była to jedyna rzecz, która przypominała mu o twarzy Ruth wyłaniającej się ze wspomnienia utkanego z światła i kolorów. Niezależnie gdzie zawiedzie go później los, *Las w ciszy* będzie zawsze przy nim.

Po wyciągnięciu kartki z maszyny do pisania, korba przeciągnęła tusz z ostatnich zapisanych linii aż do samego jej brzegu. Jakob zgiął kartkę na pół, a jego umysł zaczęła spowijać mgła niepokoju. Bał się, że to nie wystarczy. Lista mogłaby okazać się pomocna podczas poszukiwań dzieł, ale z drugiej strony nie potwierdzała przynależności obrazów do jego rodziny. Zrozpaczony złapał się za głowę i ścisnął ją z całej siły, jakby chciał zmiażdżyć własną czaszkę. Zakładając ręce na karku, zdał sobie sprawę, że na palcu nosił pierścień rodowy. Pierścień rodziny Sandlerów.

Nie tracąc ani chwili, wyciągnął z maszyny zbiorniki na tusz i przycisnął złoty herb do taśmy nasączonej czarnym atramentem, a chwilę potem odcisnął go na rewersie obrazu. I osiągnął to, co wcześniej sobie zaplanował. Zaczął ostemplowywać wszystkie pozostałe dzieła, zupełnie z takim samym zapalem, jaki dawniej pozwolił mu uratować fabrykę ojca w latach najcięższego kryzysu.

Sama myśl o fabryce zawiodła go do młodości, do chwili, kiedy poślubił Ruth. Wspominał z rozrzewnieniem czasy, kiedy marzył o lepszej przyszłości, tak

okrutnie mu odebranej. Właśnie dlatego znakował obrazy. Żeby móc wierzyć, że pewnego dnia odzyska dzieła sztuki – marzenie przyćmiewające wypieraną przez niego świadomość, że decyzja o rozłące z żoną i córką była najgłupszą rzeczą, jaką zrobił w całym swoim życiu. A przecież niejednokrotnie jego własny ojciec go ostrzegał: „Kiedy jesteś jeszcze młody, nie jesteś w stanie wyobrazić sobie konsekwencji swoich czynów. Ignorujesz to, jaką historię piszą dla ciebie twoje myśli, uczynki i słowa”. Jak tylko sobie to uświadomił, zaczął płakać jak małe dziecko, tak bardzo, jak powinien był płakać, żegnając się z rodziną. Przekłeta duma nie pozwoliła mu jednak wyrazić wówczas prawdziwych emocji. I na co ona się zdała? Co miał teraz z nią robić?

## 7. Spadek

– Panie Messmer, oczywiście nikt nie zmusza pana do otwarcia skrytki – powiedział Kielholz. – Niemniej jednak musi pan pamiętać, że należała ona do pańskiego ojca, którego jest pan jedynym prawowitym spadkobiercą. Hermann Messmer wynajął tę skrytkę ponad pół wieku temu i od 1960 roku, kiedy po raz pierwszy jego nazwisko zaczyna widnieć w rejestrze bankowym, nikt nigdy nie sprawdził jej zawartości. Opłacania składek zaprzestano w 1973 roku, kiedy zmarła żona właściciela, Ada Messmer.

Markus Kielholz położył ręce na biurku, zaplótł dłonie w koszyczek i zaczął obracać kciukami. Ten ruch przypomniał Gottfriedowi kołowrotek dla gryzoni. W tej chwili czuł się dokładnie tak, jakby był właśnie takim biegającym w obręczy chomikiem. Utknął w martwym punkcie. A dodatkowo odniósł wrażenie, że dla Kielholza ta sytuacja była jedynie prozaiczną formalnością. Rozmawiał o jego ojcu i matce, jakby byli porcelanowymi figurkami.

Krótkie oparcie kłuło go w plecy, dlatego zmienił pozycję. Nie opuszczało go poczucie niepokoju. Orientalny zapach do wnętrza sprawiał, że piekły go oczy, podczas gdy siedzący naprzeciwko bankier kontynuował swój pozbawiony jakichkolwiek uczuć wywód:

– Tak naprawdę ma pan kilka opcji. Może pan uregulować zaległości wynikające z utrzymania tej skrytki, otworzyć ją i sprawdzić, czy wartość tego, co znajduje się w środku, pokryje poniesione wcześniej koszty i zrobić z jej zawartością, co się panu żywnie podoba. Może pan również otworzyć nową skrytkę na własne nazwisko i złożyć tam zawartość tej skrytki. Jeśli otworzy pan skrytkę pańskiego ojca, będzie pan mógł dysponować tym, co znajduje się w środku, a ja będę mógł zamknąć konto. Inną możliwością jest dokonanie wpłaty za dotychczasowe koszty utrzymania i opłacanie comiesięcznych składek bez sprawdzenia zawartości skrytki. Lub też...

– Proszę mnie posłuchać – przerwał mu Gottfried, odrywając plecy od oparcia, żeby zbliżyć się do Kielholza. – Ten mężczyzna, o którym pan tak beznamytnie opowiada, był moim ojcem. Ojcem, który popełnił samobójstwo, kiedy byłem

jeszcze dzieckiem. A kobieta, o której pan wspomniał, była moją matką i nigdy nie powiedziała mi o istnieniu żadnej skrytki bankowej. Proszę mną nie manipulować. Rozumiem też, że tu wcale nie chodzi o mnie, ale o pańskie interesy. I zależy panu tylko na tym, żebym opłacił skrytkę. Chce pan, żebym zapłacił, żeby pan i pański bank mogli zapomnieć o koncie, które nie przynosi żadnych korzyści.

– Oczywiście może pan na to patrzeć w ten sposób, panie Messmer. Zanim mi pan przerwał, miałem również zamiar dodać, że może pan zrzec się tej skrytki.

– Oczywiście. A co w tym przypadku stałoby się z jej zawartością?

– Rozpoczęlibyśmy poszukiwania innego spadkobiercy.

– Nie ma żadnych innych spadkobierców. Przynajmniej nie posiadam informacji na ten temat. Przecież skontaktowali się państwo właśnie ze mną.

– Prawowici spadkobiercy mają pierwszeństwo, ale możemy kontynuować poszukiwania.

– W porządku. Założmy więc, że prawowity spadkobierca zrzeka się zawartości skrytki i nie ma żadnych innych spadkobierców. Co wtedy by się z nią stało?

Kielholz poprawił się na krześle.

– Jeśli podjąłby pan taką decyzję, panie Messmer, otworzyłibyśmy skrytkę w obecności notariusza po upływie pięćdziesięciu lat od ostatniej aktywności na tym koncie, a jej zawartość zostałaby włączona do Skarbu Państwa.

– Rozumiem. A jakie korzyści może przynieść mi otwarcie skrytki? Oczywiście poza nieuregulowanymi długami.

– Wszystko zależy od tego, co jest w środku – odpowiedział Kielholz, zachowując stoicki spokój. – Zdeponowane pięćdziesiąt lat temu pieniądze często nie posiadają innej niż historyczna wartości. Z drugiej strony w skrzynce mogą się też znajdować inne wartościowe przedmioty.

Gottfried uniósł jedną brew, bo nie wierzył w to, co właśnie usłyszał. Nie miał ochoty odpowiadać. Pozwolił, żeby bankier dokończył wypowiedź.

– To konto zostało otwarte po zakończeniu II wojny światowej, panie Messmer. Nie byłoby niczym niespodziewanym, gdyby pański ojciec chciał ocalić jakąś część rodzinnego majątku w postaci złota lub dzieł sztuki.

– Piętnaście lat po zakończeniu wojny? Chyba sobie pan żartuje.

– No cóż. Pański ojciec był z pochodzenia Niemcem. Czy to prawda?

– Co pan insynuuje?

– Niczego nie insynuuję, ale...

Gottfried nie był w stanie wytrzymać dłużej napiętej atmosfery i zaśmiał się w głos. Musiał przyznać, że mężczyzna wykonywał prawidłowo swoją pracę. Był doskonale przeszkolonym cwaniakiem. Przedstawił jasno, na czym mu zależało, za co Gottfried był mu tak naprawdę wdzięczny.

– Mój ojciec nie posiadał żadnego majątku, panie Kielholz. Nie miał grosza przy duszy. Przypuszczam, że w trakcie waszego śledztwa odkryli państwo również, że pochowano go w zbiorowej mogile. Mój ojciec nie miał dosłownie niczego.

– Niczego, o czym by pan wiedział, panie Messmer – pospieszył z odpowiedzią bankier. – Zdziwiłby się pan, jakie sytuacje mają miejsce w naszym banku. Mogę pana zapewnić, że większość spadkobierców nie ma pojęcia o istnieniu skrytek, ale proszę mi też uwierzyć, że bardzo rzadko żałują ich otwarcia.

– Czy po raz kolejny namawia mnie pan do tego, żebym otworzył skrytkę, panie Kielholz?

– Moja praca nie polega na sugerowaniu niczego nikomu, panie Messmer. Moja praca, i proszę wybaczyć, że się powtarzam, polega na zamykaniu nieaktywnych kont.

– Z moim udziałem lub nie, jak mam rozumieć.

– Lepiej z pańskim udziałem, panie Messmer. Dlatego właśnie podjęliśmy wysiłek, żeby pana znaleźć. Był pan jednym z najtrudniejszych do odnalezienia spadkobierców w całej historii Oddziału Spadków. Mogę pana o tym zapewnić.

Gottfried nie wiedział, czy otworzyć skrytkę, czy nie, ale był pewien jednej jedynej rzeczy: jego ostateczna decyzja nie będzie zależała od tego, co powie Markus Kielholz. Poprosił o czas na zastanowienie i opuścił Zürcher Bank. Jedno zdanie nie dawało mu spokoju. Kipiał ze złości, powtarzając je pod nosem: podjęliśmy wysiłek, żeby pana znaleźć. Ale z niego kretyn!

\* \* \*

Pod koniec lata dni stawały się coraz krótsze, ale temperatura wciąż była dość przyjemna. Na Paradeplatz słychać było hamujące głośno tramwaje. Plac był znany

jako „serce banków szwajcarskich”, ponieważ właśnie tam znajdowały się największe na całym świecie depozyty złota. Pod stopami przechodniów, pod miejscem, w którym kiedyś znajdował się świński targ, leżało ponad tysiąc ton złota w sztabkach.

Prowadzony aromatem cukierni Sprüngli Gottfried dotarł do Bahnhofstrasse. Stamtąd otwierał się widok na Jezioro Zuryskie, a w głębi mógł nawet dostrzec coś, co nie było wcale stamtąd często widoczne – ośnieżone wierzchołki Alp Glarneńskich. Nagle poczuł, że w kieszeni kurtki wibruje mu telefon i przypomniał sobie, że wyciszył go tuż przed spotkaniem z Kielholzem. Wyciągnął go i odebrał od pracującej w Glücku Valerii.

– Słucham.

– Gott, wpadniesz dzisiaj? Namierzyłam kilka zespołów, które pasowałyby idealnie do Glücka. Byłoby super, gdybyśmy wybrali jakieś do naszych występów na żywo na jesień i zimę. Musisz ich posłuchać. Przygotowałam ci playlistę.

Gottfried zrezygnował z odwiedzenia baru tego popołudnia. Valeria, jej zespoły i Glück mogli jeszcze chwilę poczekać. Teraz musiał pomyśleć o ojcu.

Przechodząc przez Bahnhofstrasse, poczuł ogrzewające mu twarz promienie słońca i ciepły wiatr. Dodało mu to otuchy. Postanowił wybrać się na spacer, żeby przewietrzyć głowę i przegonić męczące go myśli, które zasiał w jego umyśle Kielholz. Przeszedł przez wąskie wybrukowane uliczki starówki aż do Lindenhof, dochodząc do parku w starej dzielnicy Turicum, dawnej rzymskiej osadzie. Spokój tego malutkiego rajku położonego na wzgórzu porośniętym lipami był lekiem na jakiegokolwiek rozdrażnienie. Wody Limmat płynęły spokojnie w odległości trzydziestu metrów od położonej niżej skały, w nieprzerwanej podróży od Jeziora Zuryskiego do ujścia w rzece Aare.

Niedaleko ośmiokątnej fontanny znajdującej się na samym środku placu mała grupa staruszków grała wysokimi pionkami w plenerowe szachy, a niebotyczny baldachim z zielonych i żółtych liści chronił ich przed słońcem. Staroświeckie lakierowane drewno, z jakiego zostały wykonane figury, przypomniało Gottfriedowi o ojcu. Właśnie dzięki tym pionkom szachowym, dawniej równej z nim wysokości, mały Gottfried nauczył się, jak przegrywać i tym samym przewycięzać własną frustrację. Po samobójstwie ojca już nigdy więcej nie zagrał w szachy.



Grupka emerytów poświęcała grze całą swoją uwagę, co najmniej jakby było to najważniejsze wydarzenie tego dnia. Nie wymieniali ze sobą ani jednego słowa, co kazało Gottfriedowi myśleć, że nie grali dla zabicia czasu, ale że gra naprawdę sprawiała im przyjemność. Patrzył na obcych mu mężczyzn, nie przerywając rozgrywającej się na jego oczach sceny. Mimo wszystko nie umiał powstrzymać naglącej potrzeby odzyskania dawnego wspomnienia i podszedł do szachownicy, żeby zapisać się na następną rozgrywkę. W szachach można było używać wielu różnych strategii. Niestety nie mógł skorzystać z żadnej z nich podczas podejmowania decyzji o tym, co zrobi ze skrytką. „Koniec końców – pomyślał – to, co znajduje się w skrytce, to spadek po moim ojcu”.

## 8. Ucieczka

Jakob Sandler skierował się w stronę wyłożonej marmurem klatki schodowej prowadzącej do mieszkań. Wchodził po kolejnych stopniach, wlokąc za sobą poczucie winy. W dłoni ścisnął niewielkie zwinięte płótno. Po wejściu do domu poczuł unoszący się tam zapach kurzu i używanych mebli. Była to woń wszystkich pozbawionych życia pomieszczeń. Nie wietrzył od dnia, w którym został tu zupełnie sam. Poza tym, nie zapalał światła, żeby nie zwracać niczyjej uwagi, i spał w kuchni, żeby móc w razie potrzeby szybko uciec oficyną kamienicy. W tym świecie wywróconym do góry nogami naziści i rabusie nie musieli się przed nikim ukrywać: jeśli mieli ochotę gdzieś wejść, mogli to zrobić przez drzwi wejściowe i to w biały dzień.

Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę i położył ją na stoliku nocnym obok płótna. Starał się zmyć tusz z palców, wycierając je bezskutecznie w swoje małżeńskie łóżko. Potem podszedł do ukrytego za gobelinem sejfu, z którego wyciągnął pieniądze, ocalałą biżuterię, oraz klejnoty wkładane na wyparte z jego pamięci uroczystości. Na koniec wyciągnął żony przybornik i rozpoczął przygotowania do ucieczki.

Z szafy wyjął parę ubrań, zrobił kilka nacięć w nierzucających się w oczy miejscach i włożył tam banknoty. Potem ściągnął spinki do mankietów, odpruł guziki, żeby po kolei umieścić w tak zaimprovizowanych schowkach złoto i kamienie szlachetne. Ukrył też zegarek i obrączkę. Zadecydował jednak, że na palcu wskazującym pozostawi sygnet rodziny Sandlerów, który odziedziczył wraz z fabryką; nie ściągnął go od tamtej pory i nie miał zamiaru robić tego teraz. Jeśli ktoś chciałby go ukraść, musiałby go odciąć wraz z palcem.

W rogu pokoju stał zakurzony fotel, na którym siadała często jego żona, kiedy zabierała się za szycie. Będąc w ciąży i nie mogąc zasnąć przez męczące ją nudności, siadała w tamtym miejscu i zaczynała wyszywać, a Jakob patrzył na nią z łóżka. Pragnął przypomnieć sobie, jak delikatnie poruszała palcami. Szycie nie

mogło być skomplikowaną czynnością. Przecież chodziło tylko o połączenie ze sobą dwóch skrawków materiału.

A jednak nawleczenie nitki na igłę zajęło mu dość sporo czasu. I chociaż miał tylko dwadzieścia trzy lata, brak snu i życie w ciągłym napięciu doprowadziły do tego, że ręce trzęsły mu się jak staruszkowi. Kilkakrotnie ukłuł się w palec. Kiedy krew zaczynała mieszać się z tuszem głęboko wsiąkniętym w skórę na rękach, powoli, z cierpliwością właściwą osobom z jasno wytyczonym celem, udało mu się niezdarnym wzorem zaszyć niechlujnie wycięte wcześniej otwory w ubraniach. Skończywszy, założył na siebie wszystkie warstwy. Dzięki temu wyglądał dużo męźniej i poczuł, że powraca utracona pewność siebie. Zdziwił się na widok własnego odbicia w lustrze: schudł i postarzał się o co najmniej dziesięć lat. Zanim zamknął szafę i opuścił sypialnię, naszała go ochota, żeby przymierzyć filcowy kapelusz.

Jego jedyną towarzyszką była stojąca w rogu laska. Czekwała na swojego właściciela, który o niej zapomniał. Gdy uważnie się jej przyjrzał, dostrzegł, że jej zwieńczenie było w kształcie głowy psa. Nagle przypomniał sobie, że gałkę można ściągnąć, odruchowo złapał więc laskę i odkręcił rączkę, żeby umieścić w środku zwinięte w rulon płótno. A następnie, opierając się na ogarze, który teraz strzegł najpilniej skrywanego przez Jakoba skarbu, zszedł po raz ostatni na klatkę schodową, aby rozpocząć swoją ucieczkę. Chciał uciec z godnością, choć czuł, że jego dusza była w strzępach.

Przymknął ostrożnie drzwi, nie zamykając ich jednak na klucz. Pożegnało go wypisane na desce kilkoma szybkimi pociągnięciami pędzla przekleństwo. Farba wciąż nie całkiem wyschła. *Hier wohnt ein Jude*. Ktokolwiek to napisał, był w błędzie. W tym domu nie mieszkał już żaden Żyd.

\* \* \*

Sama myśl o tym, że mógłby wrócić do rodziny i wieść normalne życie, utrzymywała go przy życiu przez cały czas ucieczki. Ze wszystkich rzeczy, które ze sobą zabrał, opuszczając Linz, przy szwajcarskiej granicy, zamkniętej obecnie dla Żydów, zostały się tylko laska i złoty pierścień. Zapłacił bardzo wysoką cenę, żeby móc je zatrzymać. Były to jedyne dowody na to, że kiedyś jego życie wyglądało zupełnie inaczej.

Zapytał o aktualną datę mężczyznę, który pomógł mu przedostać się na terytorium Szwajcarii, kuriera, który ostatecznie stał się też jego wybawcą.

– 24 października.

– Którego roku?

– 1942.

Minęły cztery i pół roku. Przejście przez nazistowską Austrię kosztowało go sporo pieniędzy, klejnotów, kapelusz i wszystkie ubrania, jakie posiadał. Doświadczył niewyobrażalnie przykrych sytuacji, a jego zdrowie dramatycznie się pogorszyło. Był zmuszony kraść. Zabijać. Doświadczył lęku, chłodu, głodu, brudu i samotności, braku miłosierdzia ze strony społeczeństwa, które w równym stopniu żyło w strachu, jak i współpracowało z władzami nazistowskiego reżimu. Poczł na własnej skórze, co oznacza zbiorowa obojętność i chłód każdego napotkanego człowieka. Jednak mimo wszystkich niedogodności udało mu się zachować zdrowy umysł, wolność i życie.

A teraz, kiedy był już prawie pewien, że stąpa po neutralnym gruncie, kiedy ośmielił się już marzyć o spotkaniu ukochanej rodziny, jakaś przekłeta dziura ukryta pod stertą suchych liści sprawiła, że był zmuszony zatrzymać się po dziesięciogodzinnej, nieprzerwanej wędrówce. Bliski omdlenia, znajdował się teraz pośrodku gęstego i złowrogo zimnego lasu w towarzystwie jakiegoś nieznanego mężczyzny, który pomógł mu przedostać się do neutralnego wobec wojny kraju. Mimo że pozornie znajdował się w bezpiecznym miejscu, poczuł, że jego szczęście jest na wyczerpaniu.

Jedynym dźwiękiem wybrzmiewającym w jego pamięci był chrzęst łamanej kości. Głuchy trzask piszczeli doprowadził go do zawrotów głowy, a potem do kłującego bólu wspinającego się wzdłuż całego ciała aż do mózgu. Stres, który właśnie przeżywał, i szybki ruch nogą pozwoliły mu wyciągnąć kończynę z dołu, ale nie mógł ani jej postawić prosto, ani się na niej oprzeć. Po podwinięciu nogawki ujrzał własną śmierć.

Towarzyszający mu Hermann Messmer patrzył z niedowierzaniem. Spoglądał na krwawiącą kończynę, która w zaledwie ułamku sekundy zmieniła kolor z czerwonego na niebieski. Kontrast był porażający. Obaj patrzyli na jaskrawą czerwień rozerwanych tkanek i jasnoróżową piszczel wystrzeliwującą w stronę nieba. Messmer kucnął przy rannym i rozkazał mu położyć ramiona na swoich

barkach, żeby móc go podnieść. Nie udało się. Był zmuszony przeciągnąć go aż pod ogromną skałę wyglądającą jak wykonana z granitu ściana, której granicę wyznaczało trzystumetrowe urwisko nad północnym brzegiem jeziora Walen. Potem złapał laskę Żyda i krzyknął do niego, żeby nie próbował się stamtąd ruszać. Następnie oddalił się, zbiegając po zboczu wzgórza.

## 9. Laska

Jesień 2009

Gottfried Messmer zszedł wąskimi granitowymi schodami prowadzącymi do skarbcza w biurze centralnym Zürcher Bank. Na głowie miał przemoknięty kapelusz myśliwski, ręce trzymał w kieszeniach. Sam już nie wiedział, ile dokumentów musiał podpisać, żeby móc się tam dostać. Miał tylko nadzieję, że ostatecznie mu się to opłaci.

Tuż za nim szła pracowniczka banku, najprawdopodobniej jego rówieśniczka, której jasnoniebieskie, hipnotyzujące spojrzenie przypominało mu jego matkę, Adę. Ukośna blond grzywka uparcie nachodziła jej na oczy, na co reagowała delikatnym potrząśnięciem głowy. Przedstawiała się jako Myriam Steiner, strażniczka skrytki. Gottfriedowi przypadł do gustu fakt, że kobieta nie nosiła kolczyków. Jego matka też tego nie robiła.

Markus Kielholz czekał na nich na końcu długiej klatki schodowej, w malutkiej recepcji wyłożonej dębowymi panelami i oświetlonej chłodnym, ale oszałamiająco intensywnym światłem płynącym z jedynej energooszczędnej żarówki. Od ich ostatniego spotkania minęły dwa miesiące, ale Gottfried odnosił wrażenie, że mężczyzna miał na sobie dokładnie ten sam garnitur. Chociaż tak właściwie musiał przyznać, że wszyscy bankierzy wyglądali dla niego identycznie: jak wojsko klonów ubranych na granatowo lub szaro.

Trzeci mężczyzna w garniturze przywitał się z nim uprzejmie zza metalowego stołu i ekranu komputera. Od razu można było zobaczyć, że przy pasku nosił broń. Podał Gottfriedowi długopis, żeby wpisał się do księgi gości, i zapytał, czy mają ze sobą klucz. Po otrzymaniu potwierdzenia, położył palec na czytniku papilarnym. Kiedy Myriam Steiner wykonała dokładnie tę samą czynność, drzwi za strażnikiem zaczęły się otwierać, przesuwając się powoli w jedną stronę. Wszyscy czworo przeszli do kolejnego pomieszczenia. Podłogę wyłożono tam mozaiką

w różnych odcieniach marmuru przedstawiającą herb Zurychu. Kiedy Gottfried oderwał od niej wzrok, uświadomił sobie, że na końcu sali ma przed sobą dwie pary monumentalnych drzwi – prawdziwą perłę stolarskiego rzemiosła. Sama myśl o tym, że te stare wrota widział również jego ojciec, wywołała na jego ustach lekki uśmiech.

– Panie Messmer – zwróciła się do niego kobieta – pańska skrytka znajduje się za lewymi drzwiami. My zaczekamy na pana tutaj. Proszę się nie spieszyć.

Kiedy przekroczył próg, zamontowany w nim czujnik zapalił halogenowe światła na suficie i Gottfrieda przez chwilę oślepiło rażące światło. Klimatyzacja nie przefiltrowała jeszcze zapachu potu poprzedniego klienta. Stał przed stołem, w otoczeniu sejfów wznoszących się na wysokość około dwóch metrów. Tylko dzięki temu, że zapoznał się z protokołem, był w stanie uwierzyć, że te skrzynki różniły się czymś od zwykłych skrytek pocztowych. Tutaj gromadzono sekrety, a nie listy.

Trudno mu było pojąć, że w tej samej sali przebywał kiedyś jego ojciec – Gottfried nigdy nie był z nim nawet w zwykłym banku. Nie potrafiąc się skupić, miał problem ze znalezieniem numeru 13, jego myśli krążyły bowiem wokół miliona różnych pytań, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi. Dlaczego matka nie opowiedziała mu o tej skrytce? Skąd jego ojciec miał pieniądze, żeby wносить comiesięczną opłatę, skoro żyli bardzo skromnie? Czy zawartość tej skrytki miała coś wspólnego z jego samobójstwem?

– Czy potrzebuje pan pomocy?

Głos Kielholza przestraszył Gottfrieda, a ze spoczonej dłoni wyslizgnął mu się klucz, który z subtelnym brzękiem upadł na podłogę. To wyrwało go z przemyśleń.

– Nie. Przecież powiedział mi pan, żebym się nie spieszył. Potrzebuję trochę więcej czasu.

Bankowiec dyskretnie opuścił salę, a Gottfried schylił się, żeby podnieść klucz. Prostując się, dokładnie przed sobą ujrzał numer 13. Ojciec popełnił samobójstwo właśnie tego dnia. Wynajął skrytkę, schował coś w jej wnętrzu i odebrał sobie życie. Hermann wszystko zaplanował. Niespodziewanie, pomysł, że za sprawą tej skrzynki Gottfried miał odzyskać jakąś część ojca, przeraziła go. Wzburzony własnymi myślami wsadził klucz do zamka. Ledwo dało się słyszeć dźwięk poruszającego się mechanizmu. Drzwiczki błyskawicznie się otworzyły, a on

odruchowo pociągnął za widoczny w środku uchwyt. Chwilę później z wnętrza schowka wysunęła się metalowa skrzynka, którą Gottfried położył na stole. Miała dość niecodzienny kształt i była podejrzanie lekka. „Kielholz mówił o złocie... Niech go szlag trafi!”

Mimo że zdjęcie pokrywy zajęło tylko kilka sekund, przez cały czas nie przestawał wyobrażać sobie, co znajduje się w środku, a jednak żaden pomysł, który przyszedł mu do głowy, nie miał nic wspólnego z ojcem. Kiedy wreszcie otworzył skrytkę, odruchowo westchnął. Sam nie umiałby powiedzieć, czy bardziej z rozczarowania, czy z ulgą.

Dwa kawałki polerowanego drewna i zamknięta koperta przez pięćdziesiąt lat leżały w ciemności, ciszy i chłodzie bankowej skrytki, czekając, aż siedmioletni wówczas chłopiec, który teraz był już pięćdziesięciosześcioletnim mężczyzną, wyciągnie je na światło dzienne.

Kiedy Gottfried wyjął z środka dwa kawałki drewna, odkrył, że na końcu jednego z nich znajdowała się poczerniona gałka w kształcie głowy psa. Drugi drewniany kij wieńczyła metalowa końcówka. Nie miał wątpliwości co do tego, że obydwie części składały się w całość. Wystarczyły tylko dwa szybkie ruchy, aby oba fragmenty idealnie się dopasowały.

Gottfried nie wiedział, co ma zrobić z przedmiotem. Przyszło mu na myśl, że być może koperta pomoże mu w rozwikłaniu zagadki, ale wołał jej w tej chwili nie otwierać, nie w takim bezosobowym otoczeniu. Schował list do wewnętrznej kieszeni kurtki, zostawił otwartą skrytkę na stole i opuścił salę, opierając się na lasce ojca, ale nie zdając sobie sprawy ze strzeżonej przez rzeźbionego ogara tajemnicy odziedziczonego jedyne go majątku.

Zanim pożegnał się na zawsze z Markusem Kielholzem, Myriam Steiner i strażnikiem, musiał podpisać kilka dokumentów. Wyszedł na zewnątrz, pragnąc zaczerpnąć świeżego powietrza. Wiatr niósł garstkę pozółkłych liści. Miał wrażenie, że jesień upłynęła niezwykle szybko, krótka jak ostatnia rada, jaką otrzymał od ojca: „Ciesz się każdą możliwą chwilą. Wraz z biegiem lat życie upływa coraz szybciej, a jego koniec znajduje się dużo bliżej, niż mogłoby się nam wydawać”.



## 10. Ada

W Wiedikon, daleko położonej od centrum Zurychu dzielnicy, zaczynało już zmierzchać, kiedy Ada Messmer wracała tamtędy z rozdartym sercem i kilkoma przedmiotami schowanymi w małym koszyku. Kartka na żywność była bezwzględna nawet wobec kobiety, która niedawno poroniła. Niemniej jednak tamtego dnia udało jej się zdobyć kawałek wędzonego mięsa, który ukryła w kieszeni płaszcza, żeby żadna inna potrzebująca osoba nie odważyła się po niego sięgnąć. Słyszała własne ciężkie i powolne kroki. Do jej uszu dochodziły też skrawki przerażających historii o tym, co miało miejsce zwłaszcza poza szwajcarskimi granicami. Jednak to, co usłyszała w kolejce po prowiant, przeszło jej najgorsze wyobrażenia na temat ludzkiego cierpienia. Przyspieszyła kroku i opuściła głowę, żeby nikt nie mógł zobaczyć jej zapłakanych oczu. Jak to możliwe, że ludzie postępowali w tak okrutny sposób? Gdzie był Bóg?

Szła zniechęcona aż do drzwi domu i dopiero przekraczając próg, udało jej się pozbyć dręczącego ją wcześniej uczucia. Niespiesznie ściągnęła płaszcz, schowała jedzenie, a potem rozlała na dnie garnka łyżkę oleju rzepakowego i położyła kawałek masła. Zapaliwszy ogień, pomyślała, że być może i była to dość późna kolacja, ale przynajmniej zjedzą coś razem.

Dokładnie dwa dni temu Hermann opuścił dom, a Ada wyczekiwała jego powrotu. Miała nadzieję, że w górach wszystko poszło zgodnie z jego planem. Chciała odpędzić negatywne myśli, dlatego zabrała się za obieranie ziemniaków. Niedługo potem przez roztargnienie wbiła sobie nóż w palec. Ukłuciu towarzyszyło rozdierające przygnębienie, które nie opuszczało jej od momentu, kiedy jak za przecięciem noża została pozbawiona całego wcześniejszego życia. I od chwili, w której dowiedziała się, że po drugiej stronie granicy ludzi traktowano gorzej niż bydło. Wykorzystywano ich, aż w końcu nie mieli więcej sił i umierali z wycieńczenia. Gazowano ich. Palono. Kiedy postawiła garnek na ogniu, Ada nie była w stanie wytrzymać ani chwili dłużej. Dusila w sobie krzyk,

który pragnął wyrwać jej się z gardła, ale ostatecznie zaczęła płakać w głos. Było to jej jedyne pocieszenie.

Mieszanka oleju i masła szybko zaczęła dymić. Oczy zaszyły jej mgłą, ale udało jej się znaleźć kilka przyniesionych wcześniej przez Hermanna z lasu ziół, które dołożyła teraz do kawałka mięsa w garnku. Wierzyła, że ta nieoczekiwanie zdobyta dawka protein poprawi atmosferę w domu. Kiedy mięso się przypiekło, zalała je wodą i wbiła spojrzenie w oka tłuszczu pływające na powierzchni, które zaczynały poruszać się coraz szybciej, w miarę jak rosła temperatura bulionu. Kiedy pojawiły się pierwsze bąbelki wrzenia, dodała szczyptę soli i ziemniaki, po czym przykryła garnek pokrywką. Dołożyła też kilka drewnien do ognia pod kuchenką, żeby powoli się palił. Ciągłe powstrzymując płacz, chwyciła koszyk z nićmi i zaczęła szyć. Zaległymi robótkami planowała uprzyjemnić sobie oczekiwanie na męża. Od czasu do czasu podnosiła wzrok na drzwi, w nadziei, że Hermann wróci lada chwila.

\* \* \*

Dzwony kościoła w Wiedikon wybijały dziewiątą, kiedy zabrała się za nakrywanie do stołu. Pobiegła do łazienki, żeby przemyć twarz i pozbyć się wszystkich śladów smutku. Nie chciała sprawiać jeszcze większej przykrości Hermannowi ani odgrywać roli ofiary. Wytarła twarz, z godnością spoglądając w lustro i akceptując swój wygląd pomimo mocno podkrążonych oczu. Następnie zmieniła bawełnianą wkładkę, którą nosiła między nogami, chociaż od ponad półtora dnia już nie krwawiła.

Hermann przekroczył próg domu, kiedy Ada wychodziła z łazienki. Rzucił laskę, na której zazwyczaj się opierał, i podbiegł do żony. Przez dłuższą chwilę słyhać było jedynie trzask palących się pod kuchenką drewnien. Obydwoje zamilkli, próbując zdusić smutek w długim uścisku. Z kuchni dochodził przyjemny zapach potrawy. Właśnie wtedy Hermann uświadomił sobie, że nie jadł od dwóch dni. Czuł się winny, że właśnie w takich okolicznościach opuścił swoją żonę. A to, że przyczyna jego wędrówki zniknęła tak szybko, jak pojawiły się problemy w górach, doprowadziło do tego, że poczuł się jeszcze podlej.

Hermann pocałował ją w czoło, mówiąc:

– Wyszłaś dzisiaj? – zapytał cicho.

– Tak – odpowiedziała kobieta, mocno ściskając męża.

– Nadal krwawisz?

– Nie, już nie. Wydaje mi się, że już po wszystkim.

– Jeszcze będziemy mogli mieć dzieci, Ado. Pamiętaj o tym, co powiedział lekarz.

– Nieważne, co mówi lekarz. Tak zdecydował Bóg. On nie chce, żebyśmy mieli dzieci. Nie chce, żebyśmy mieli dzieci w czasie wojny. Gdybyś usłyszał, co mówią ludzie na ulicy...

– Wojna się skończy – przerwał jej – i wtedy będziemy mieć dzieci, Ado. Tyle, ile będziemy chcieli.

– Oby Bóg cię wysłuchał – powiedziała kobieta, wtulając brodę w ramię męża. Niezdolna wyrazić wszystkich myśli, które kumulowały się w jej głowie, patrzyła biernie na zastawiony stół i niedługo potem wyszeptała:

– Hermann, palą ich żywcem...

Mężczyzna przytulił ją jeszcze mocniej, bo wiedział, że to, co się wokół nich działo, nie miało żadnego logicznego wyjaśnienia. Niemożliwe było też żadne inne pocieszenie. Ada zacisnęła powieki, powstrzymując łzy, i przez chwilę stała wtulona w pierś męża. Zawstydziała się własnej słabości, o którą nawet się nie podejrzewała. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła leżącą na ziemi laskę.

– A co to za laska? – zapytała, uwalniając się z jego uścisku.

– Nie należy do mnie. To przesyłka.

– A dlaczego ty się tym zajmujesz, a nie ten drugi mężczyzna?

Hermann przez chwilę się zawahał. Koszmary z dzieciństwa zawładnęły jego dojrzałym już umysłem. Wydawało mu się, że słyszał głos matki: „Ale z ciebie oferma, Hermannie. Zawsze wszystko gubisz!”.

– Bo go zgubiłem – przyznał, uciekając przed spojrzeniem Ady.

Ona patrzyła na niego w ciszy, czekając na wyjaśnienie tego, co przed chwilą usłyszała, ale nie była w stanie niczego zrozumieć.

– Ado, straciłem paczkę – powtórzył mężczyzna. – Wpadł do dziury i złamał nogę. Zostawiłem go opartego o skałę i pobiegłem po pomoc, żebyśmy mogli dokończyć operację. Wziąłem ze sobą laskę, bo wydawało mi się, że tak będzie mi łatwiej przejść przez las – wszystko pokrywała gruba warstwa liści i trudno było

przewidzieć, co się pod nimi znajduje. Położony niedaleko dom drwali został spalony. Spalony! Chociaż to i tak nieważne. Chodzi o to, że kiedy wróciłem, on zniknął.

– Hermannie... jak to zniknął? Dokąd mógł pójść ze złamaną nogą?

– No właśnie. Też nie mogę w to uwierzyć. Nie było go, Ado. Nie było.

– I co zrobisz teraz z laską?

Pytanie zaskoczyło Hermanna. Laska była ostatnią rzeczą, która go teraz martwiła.

– Ado, czy ty wiesz, co to znaczy, że zgubiłem paczkę? Nawet nie wiem, jak się z tego wytłumaczę. Jak mogłem zgubić rannego mężczyznę?

# 11. Zdanie

Styczeń 2010

Tylko odwiedzając cmentarz, Gottfried mógł zweryfikować prawdziwość słów ojca. Nie ulegało wątpliwości, że śmierć zawsze była tuż za rogiem, ale tak jak większość normalnych ludzi wolał o tym nie myśleć. Krótka jesień miała zamienić się w srogą zimę, która groziła, że nie ustąpi przez kilka długich miesięcy, nawet wówczas, kiedy teoretycznie zacznie się już kalendarzowa wiosna. Nigdy nie czuł się wystarczająco przygotowany na nadejście zimy. Nienawidził jej. Jak tylko mógł, unikał również świętowania Bożego Narodzenia przypominającego mu tylko o osobach, które kochał, a które bezpowrotnie odeszły z jego życia. Co więcej, Nowy Rok wcale nie rozpoczął się dla niego dobrze, bo czuł, że od kilku dni ktoś go śledzi. Żadna prześladowcza paranoja nie mogła jednak odwieść go od corocznego rytuału, jedynej rocznicy, o której pamiętał: wizyty na cmentarzu Fluntern 13 stycznia. Miała to być pierwsza wizyta po tym, jak zaakceptował spadek po ojcu.

Tak jak zawsze kiedy za dużo wypił, obudził się z atakiem dny moczanowej, przez którą chodził z trudem, opierając się na odziedziczonej po ojcu lasce. Przez silny i mroźny wiatr wiejący od strony Alp Glarneńskich musiał przytrzymać czapkę. Napis widniejący na budynku stojącym na terenie cmentarza wywołał u niego lekki uśmiech: *Tempus fugit*. „Do jasnej cholery, oczywiście, że czas ucieka, ale chyba nie na cmentarzu”. Przeszedł przez bramę i stawiał kolejne kroki na mokrym asfalcie, aż doszedł do dobrze mu znanych schodów prowadzących na nasyp wznoszący grób Jamesa Joyce’a ponad inne. Dublin 1882 – Zurych 1941. Na grobie leżała granitowa płyta otoczona niskim żywopłotem z zimozielonych roślin. Ktoś odgarnął stamtąd śnieg i usypał go obok, przy pomniku z brązu przedstawiającym ulubionego pisarza jego ojca.

W geście szacunku ściągnął nakrycie głowy, wystawiając głowę na siarczysty mróz. Chwilę potem, przesunąwszy ręką po włosach, poczuł pod dłonią nieprzyjemne ukłucie. W koronach drzew krakały kruki. Ich czarne sylwetki

kontrastowały z szarością nieba. Z położonego nieopodal ogrodu zoologicznego dobiegał zapach odchodów. Z kolei jeszcze dalej można było dostrzec wybudowane przez Międzynarodową Federację Piłki Nożnej, pokryte śniegiem boiska, z których nikt obecnie nie korzystał. Gottfried uśmiechnął się na myśl, że znajdował się na prawdopodobnie jedynym wzgórzu na całym świecie, z którego można było zaobserwować równy podział terytorium pomiędzy zgniliznę, gówno a korupcję.

Nie pomodlił się. Nie wierzył w bogów. Ufał tylko samemu sobie. W pobliżu dało się słyszeć przerywający śmiertelną ciszę, wątki dźwięk trąbki. Z pewnością była to melodia zadedykowana niedawno zmarłej osobie. Mimo że wiedział, jaka to pieśń, nie był w stanie przypomnieć sobie jej tytułu. „Co za gówniana pamięć, że zachowuje i wypiera to, co jej się podoba. Chociaż tak właściwie może nam to przynieść swojego rodzaju pocieszenie. Czasami trzeba o pewnych rzeczach zapomnieć, żeby móc żyć dalej”.

Gottfried prawie nie pamiętał Hermanna. Był zaledwie siedmioletnim chłopcem, kiedy znalazł go na strychu powieszonoego na własnym krawacie. Tego naturalnie nie był w stanie wymazać z pamięci. Tak samo jak nie zapomniał zdania z *Ulisses*a, które ojciec powtarzał mu, kiedy wracał ze szkoły, taszcząc za sobą ogromny bagaż frustracji: „Przechadzamy się wewnątrz siebie, spotykając zbójców, duchy, olbrzymów, starców, młodzieńców, żony, wdowy, szwagrobraci. Ale zawsze spotykając samych siebie”. Ojciec opuścił go, kiedy kończył pierwszy rok szkolny. Nie zdążył pokazać synowi, kim naprawdę był. W jaki sposób Gottfried miał teraz poznać samego siebie? Jak możemy zrozumieć, kim jesteśmy, nie wiedząc, skąd pochodzimy?

Jego matka, Ada, pochodziła z dobrze usytuowanej rodziny z Wiedikon, natomiast rodzice Hermanna byli niemieckimi imigrantami, którzy zamieszkali w Szwajcarii podczas I wojny światowej. W latach sześćdziesiątych, kiedy pamięć o II wojnie światowej była wciąż żywa, dziadkowie z Niemiec byli powodem do dyskryminacji w szkole: mały Gottfried zawsze był złodziejem, a nie policjantem, konikiem, a nie jeźdźcem i ostatnim wybieranym przez inne dzieci zawodnikiem w grach drużynowych.

Nadopiekuńczość Ady spowodowana tym, że Gottfried był nieoczekiwanym i późnym owocem małżeństwa z Hermannem, wcale nie ułatwiała mu walki z małymi tyranami w szkole. Te kilka krótkich lat, które miał szansę dzielić

z ojcem, zasiały w nim przekonanie, że każdy człowiek powinien znaleźć swoje miejsce na ziemi, która była przecież na tyle łaskawa, żeby nas przyjąć, ale i na tyle surowa, żebyśmy nigdy nie poczuli się jej częścią. Stało się to aspiracją małego Gottfrieda, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że to z góry przegrana walka: z będącymi obcokrajowcami dziadkami ze strony ojca nie mógł nazywać się prawdziwym *Eidgenosse*, prawowitym obywatelem Szwajcarii. Ostatecznie wiele lat spędzonych poza granicami kraju sprawiło, że nie czuł przynależności do żadnego miejsca. Ojciec zawsze mu powtarzał, że nacjonalizmy przynoszą same kłopoty, może też właśnie dlatego wybrał bezimienny pochówek, w ziemi, w której chowano wszystkich, a właściwie nikogo.

Właśnie o tym rozmyślał Gottfried, stojąc naprzeciwko grobu Joyce'a. W rzeczywistości nie obchodziło go, gdzie dokładnie znajdowały się szczątki jego ojca. Hermann Messmer i jego skromne życie zakończyły się niewiele znaczącą śmiercią. Przez wojnę i podjęte w tym czasie decyzje jego rodzina po zakończeniu konfliktu żyła na skraju ubóstwa. Utrzymywali się tylko z przychodów Ady. Z tego, co wiedział Gottfried, jego ojciec cierpiał na sezonową depresję, która miała się potem okazać pierwszym symptomem stwardnienia rozsianego. Nie chcąc być w przyszłości ciężarem dla swojej rodziny, postanowił odebrać sobie życie. Zbiorowa mogiła, stanowiąca zwieńczenie jego smutnego życia, została opróżniona lata temu, a jego jedyny syn widniał w raporcie cmentarnym jako „nieodnaleziony potomek”. Syn, który nigdy nie odwiedził tamtego grobu, bo wolał złożyć hołd ojcu na grobie Jamesa Joyce'a. Był to podwójny wyraz szacunku – dla pisarza i jego wiernego czytelnika, nierozłącznych jak melodia i rytm. Nie bez przyczyny, pragnąc dodać dramatyzmu własnemu życiu, Hermann Messmer popełnił samobójstwo 13 stycznia, w dniu, w którym umarł też pisarz.

Dźwięk trąbki ustał i na cmentarz zawitała znowu kompletna cisza. Śnieg padał nieprzerwanie przez cały dzień, a niesione wiatrem drobne płatki śniegu lądowały na przetkanej już zmarszczkami twarzy Gottfrieda. Czuł, jakby w skórę wbijały mu się miliony igiełek.

– Tato, jestem tutaj. Nie zapomniałem o tobie – powiedział wyraźnie i głośno. – I chociaż może chciałbym o tobie zapomnieć, nie mam jak. Niezłą niespodziankę przygotowałeś mi z tą skrytką. Jak mam niby znaleźć jakiegoś Żyda o nieznanym mi imieniu i nazwisku?

Zanim podjął na nowo swoją wypowiedź, zamyslił się przez chwilę. Wiedział, że powiedzenie na głos o natrętnych telefonach, jakie ostatnio odbiera, nie sprawi, że nagle znikną, ale czuł, że musi się komuś zwierzyć, najlepiej komuś, kto będzie umiał dotrzymać tajemnicy. Wydawało mu się, że nie znajdzie nikogo lepszego od nieżyjącego już ojca.

– Nie mam pojęcia, od czego miałbym zacząć. Mam tylko nadzieję, że nie wpakowałeś mnie w żadne tarapaty, bo facet, który do mnie zadzwonił, powiedział, że ten obraz został zrabowany. Liczę tylko na to, że nie miałaś nic wspólnego z nazistami, staruszku. I chcę wierzyć w to, że nie byłeś aż tak bezmyślny, żeby sprowadzić problemy na własnego syna.

Poczuł wzmagający się wiatr i wzbierającą na sile śnieżycę. Niebo pociemniało i stało się ciemnografitowe. Gottfried nie uważał się za szczególnie bojaźliwego, ale nie chciał, żeby noc zastała go na cmentarzu. Oparł się na lasce i kulejąc, wybrał drogę do wyjścia. Stawiając powoli kolejne kroki, napawał się zapachem cyprysów, tą szczególną mieszanką cointreau i żywicy. Chwilę potem schował się pod wiatą przystanku tramwajowego linii 6 i zaniepokojony rzucił okiem na zegarek. Nie widział żywej duszy, a nad głową kołysała się jedyna w promieniu kilkunastu metrów lampa. Chcąc odzyskać spokój, starał się przywołać w pamięci, jak wygląda Julia. Myślał o jej ostrych rysach twarzy. Kochał ją od pięciu lat, a od dwudziestu czterech godzin bał się również o jej życie.



## 12. Płótno

Ada wiedziała, jakie konsekwencje mogło przynieść zgubienie przesyłki. Grupa przestanie ufać Hermannowi, chociaż nikt mu tego nie powie w twarz. Próbowwała się uspokoić, nie odrywając wzroku od leżącej na ziemi laski.

– Hermann, na świecie istnieje zapewne tylko garstka ludzi, którzy zaryzykowałiby własne życie, żeby uratować nieznajomego, zwłaszcza że jakby na to nie patrzeć, nie idzie to w parze ze szwajcarską polityką neutralności. Na pewno cię tak nie zostawią. Nie mogą! – powiedziała, po czym schyliła się, żeby podnieść laskę, na którą patrzyła przez kilka sekund. – Wygląda na bardzo drogi przedmiot. Ile by nam za nią dali?

– Nic! – odpowiedział natychmiast Hermann, urażony niespodziewaną lekkomyślnością żony. – Nie sprzedamy tej laski, Ado. To nie jest nasza własność.

– Nie bądź naiwny. Jeśli ten mężczyzna był ranny, teraz jest już martwy.

– A gdzie jest jego trup? Jeśli nie ma trupa, to znaczy, że nie umarł. Posiadanie czegoś, co do nas nie należy, może nam zaszkodzić. Nie powinniśmy tego tutaj trzymać.

Ada pogładziła głowę ogara wieńczącą jesionową laskę.

– Jest przepiękna – powiedziała, a potem spróbowała obrócić główkę psa.

– Co ty wyrabiasz?! – wykrzyknął Hermann, nerwowo próbując wyrwać jej laskę.

– Zostaw! Patrz! Można ją odkręcić! – odkrzyknęła, śmiejąc się ze wzburzenia męża.

Ada przekręciła gałkę kilka razy. W konsekwencji główka oddzieliła się od laski, w której wnętrzu można było dostrzec rulon o średnicy około jednego centymetra. Złapała delikatnie jeden brzeg zwiniętego płótna, a następnie starannie je rozłożyła.

– Pamiętaj, że to nie jest nasza własność – zastrzegł raz jeszcze Hermann.

– Do tej pory uczciwość wcale się nam nie opłacała – odparowała kobieta. Mąż patrzył na nią zasmucony.

– Ado, nie rób tego – powiedział prawie błagalnym tonem. – Nie pozwól, żeby chwilowe potrzeby cię skorumpowały. Być może jest nam ciężko, ale ty nie jesteś taka. Nie jesteś taka jak oni. Jeśli to sprzedamy, będzie to tylko dowód na to, że to ukradliśmy. Tak samo jak kradną naziści.

Jego słowa sprawiły, że przez chwilę ją zmroziło. Zastanawiała się, czy jej mąż ma rację, czy przejściowe problemy mogły doprowadzić ją do zdrady własnych wartości. Prawie natychmiast usprawiedliwiła się tym, że kierował nią instynkt przetrwania. W ostatecznym rozrachunku ludzie, którzy byli skorzy się dopasować, jedli dużo lepiej niż oni.

– Zostawimy płótno we wnętrzu laski. Zgoda? – powiedział Hermann, szukając u żony aprobaty.

– Szkoda tak to schować. To przepiękny las.

Kiedy Hermann nic nie odpowiadał, Ada podjęła:

– Moglibyśmy powiesić go u siebie – powiedziała, wskazując na gołą ścianę w jadalni.

– Ado, to nie jest nasza własność.

– I co masz zamiar zrobić? Przechowywać w banku? – zapytała prześmiewczym tonem.

– Gestapo nadzoruje banki. Wszędzie szukają pieniędzy, niemieckich i żydowskich majątków, których właścicielom wcale nie spodobałoby się finansowanie wojny.

– Nie mówiłam tego na poważnie.

– Będziemy przechowywać płótno wewnątrz laski – oznajmił Hermann, całkowicie zaabsorbowany swoim planem. – To będzie najbezpieczniejsze miejsce. Nikt, z wyjątkiem ciebie i mnie, nie będzie wiedział, że coś tam w ogóle jest.

\* \* \*

Zapach rosołu wypełnił pustą przestrzeń po sprzedanych meblach. Hermann schował laskę na strychu i wrócił, żeby usiąść przy stole. Ada w zamyśleniu nakładała kolację. Nie podobało jej się, jaki wpływ miała na nią wojna, ale przecież

musiała zdrowo jeść, żeby móc urodzić dziecko. W tak niepewnych czasach jak te, w których żyli, płótno nie było nic warte, ale laska już tak i to sporo. Sprzedaż niepotrzebnego przedmiotu przełożyłaby się na więcej mięsa w garnku. Gdyby wcześniej odżywiała się lepiej, być może wciąż nosiłaby pod sercem dziecko, które niedawno straciła. Znowu zawładnął ją smutek, który poczuła, stojąc w kolejce po jedzenie, a w dodatku spotęgował go odczuwany teraz ogromny niepokój.

Obojętny na emocje żony Hermann ucieszył się na widok kawałka mięsa na talerzu.

– To prawdziwy cud, że znalazłaś mięso. Gdzie?

Ada nie odpowiedziała. Ze spojrzeniem wbitym w kawałki wędzonej wołowiny zaatakowała go nowym pytaniem.

– Słyszałeś, co powiedziałam ci wcześniej?

Hermann podniósł wzrok, żeby przyjrzeć się Adzie i rysującym się na jej nieruchomej twarzy emocjom, które wciąż trzymała na uwięzi. Doskonale wiedział, o czym mówiła żona.

– Palą ich. Ja też o tym słyszałem – powiedział, łapiąc za łyżkę i zanurzając ją w rosole.

Ada ciągle stała przy stole, nie zajmując miejsca. Nagle uderzyła pięścią w blat.

– Nie możemy pozostać obojętni, Hermann! – wykrzyknęła. – Jak mamy sprowadzić na ten świat nasze dziecko?

Hermann wstał, jednym krokiem podszedł do Ady i mocno ją przytulił. Wcześniej zostawił ją samą. Opuścił ją, kiedy najbardziej go potrzebowała. Nieco spokojniejszym tonem oświadczył:

– Ado, nie postępujemy jak inni. My nie jesteśmy obojętni. Pomagamy na tyle, na ile możemy. Mieszkamy w bardzo małym kraju. Jest nas niewielu, ale za to wszyscy jesteśmy wolni i powinniśmy przeżyć te ciężkie czasy, chociażby po to, żeby móc o tym wszystkim opowiedzieć.

– Ale jak oni mogą ich palić? Jak mogą? Jakby chodziło o chore bydło... jak tak mogą? – zapłakała Ada, szukając bez powodzenia jakiegokolwiek wytłumaczenia dla wszystkich zbrodni.

Kolacja już wystygła.

## 13. Julia

Po dyżurze w szpitalu Triemli Julia Vogel była w złym humorze. Próbowwała uciec myślami od kłótni z Gottfriedem. Przed pracą związała włosy w wysoki jak u baletnicy kok, który teraz, wraz z upływem godzin, zaczął się rozluźniać. Zamiast poprawić fryzurę nałożyła na głowę czerwoną kaszmirową czapkę, którą dostała od Gottfrieda na święta. Zakutana w ciemną puchową kurtkę wyszła na ulicę, a jej płuca napełniły się od razu mroźnym, styczniowym powietrzem. Czowała, że przez kumulujące się w czaszce po całym dniu ciśnienie nie widzi wyraźnie swojego otoczenia. W oddali dostrzegła nadjeżdżający autobus i zerwała się do biegu tylko po to, by kilka metrów od pojazdu zdać sobie sprawę, że nie był to numer, który wcześniej zobaczyła. Według rozkładu jazdy czekało ją jeszcze siedem minut stania pod gołym niebem. Dwanaście stopni poniżej zera. Zdawało jej się, że czeka już całą wieczność.

Zanurzając nos w wysoki kołnierz swetra i zaciskając pięści w kieszeniach, Julia pomyślała o Gottfriedzie. Od ich ostatniej kłótni przy kolacji minęły dokładnie dwadzieścia cztery godziny. Była to ich kolejna sprzeczka, którą mogła dodać do wielu innych awantur w ostatnich kilku, dość skomplikowanych dla ich relacji tygodniach. Wyglądało na to, że Gottfried obraził się na cały świat. Spał niewiele i źle. Głową był zupełnie gdzie indziej, ale kiedy pytała go, czy wszystko z nim w porządku, odpowiadał, że nie ma żadnych problemów. Zanim nazwie to kryzysem w związku, wołała tłumaczyć jego zachowanie zmęczeniem lub brakiem słońca. Trzy tygodnie zachmurzonego nieba mogły doprowadzić każdego do przygnębienia. Wciąż oczekując na autobus, Julia starała się zapomnieć o zimnie. Teraz odtwarzała w pamięci to, co wydarzyło się zeszłej nocy.

Gottfried zadzwonił do niej, żeby przyszła na koncert do Glücka, ale ona nie przyjęła zaproszenia, wołąc zostać w domu i poleżeć na kanapie. Choć miała wolne, nigdzie nie wyszła, zajęta nicnierobieniem. Kiedy przyznała, że nic jeszcze nie jadła, Gottfried natychmiast odrzucił muzyczny plan na wieczór i postanowił zaprosić ją do siebie na kolację. Lubił dla niej gotować.

Bez makijażu – malowała się tylko do pracy – i w dobrym humorze była gotowa na randkę dokładnie o umówionej wcześniej godzinie. Następnego dnia pracowała po południu i nie musiała wstawać, dlatego pomyślała, że najprawdopodobniej spędzą noc razem. Uwielbiała, kiedy Gottfried dla niej gotował. Kiedy weszła do jego mieszkania, zauważyła, że wszystko było idealnie przygotowane: na stole leżał obrus i lniane serwetki, a na ścianach odbijało się światło świec stojących w rzędzie na oknie. Julia postanowiła uszczypliwie skomentować zastaną sytuację.

– Kurczę! Mogłeś mi powiedzieć, że to taka romantyczna randka. Przyniosłabym przynajmniej jakieś czekoladki czy coś.

Gottfried uśmiechnął się i otworzył butelkę wina château latour, którego nalał na wysokość trzech palców do kryształowych kieliszków wyciąganych tylko na specjalne okazje. Przedłużał ten moment, aż wreszcie zapraszającym gestem ręki poprosił ją, żeby usiadła przy stole.

– Chyba nie chcesz poprosić mnie o rękę, co?

Wciąż się do niej uśmiechając, Gottfried odpowiedział przeczącym ruchem głowy.

\* \* \*

Dwadzieścia cztery godziny później Julia nie rozumiała zupełnie nic z tej ciszy. Na samym początku spotkania wcale jej to nie przeszkadzało. Było jej nawet miło. Tak właśnie działała miłość: dzięki wzajemnemu zaufaniu mogła cieszyć się pełnym spokojem. Niemniej jednak w miarę upływu czasu jego milczenie stawało się coraz bardziej dokuczliwe. Kiedy zasiedli do kolacji, a Julia położyła serwetkę na udach i zaczęła opowiadać jedną za drugą historię ze szpitala, doszła do wniosku, że Gottfried nie potrzebował wcale rozmowy, a jedynie jej towarzystwa. Właśnie wtedy przypomniała sobie o dacie: był 12 stycznia. Następnego dnia Gottfried obchodził rocznicę śmierci swojego ojca. Czy to było powodem uciążliwego milczenia Gottfrieda? Ale skoro chciał pobyć sam, po co zaprosił ją na kolację?

Opierając się na słupku przystanku autobusowego i tupiąc zziębniętymi stopami, Julia zaczynała rozważać każdy szczegół ostatniego wieczoru. Po tym jak skończyli kolację, Gottfried wstał, żeby posprzątać ze stołu, udając, dość kiepsko,

że kuleje. Następnie zaczął myć naczynia, podczas gdy ona wciąż siedziała przy stole z serwetką na udach.

– Nie masz zamiaru mi nic powiedzieć?

Pytanie odbiło się od jego pleców.

– No weź, Gott. Wiem, że to nie jest dla ciebie najlepszy czas. Przyszłam tutaj, mogę ci potowarzyszyć, ale przestań chować się w swojej skorupie. Przygotowujesz to wszystko, a potem nie masz mi nic do powiedzenia? Nie wydaje ci się to absurdalne?

Ostatecznie Gottfried skierował do niej kilka słów znad zlewozmywaka.

– Lubię na ciebie patrzeć, Julio. Lubię cię słuchać, patrzeć, jak gestykulujesz, wiedzieć, że jesteś przy mnie. Cisza nigdy nie stanowiła dla nas żadnego problemu. Nie muszę wcale mówić.

– No tak! Oczywiście! A nie przyszło ci do głowy, że może ja potrzebuję, żebyś coś do mnie powiedział?

Julia spojrzała na rozkład autobusu, a potem na zegarek. Musiała jeszcze poczekać cztery minuty, żeby cieszyć się ogrzewaniem. Teraz, kiedy udało jej się zdystansować wobec wydarzeń z zeszłej nocy, była jeszcze bardziej przekonana o tym, że coś jej umknęło, coś, co martwiło Gottfrieda i oddalało go od niej. Pozbył się jej jak ktoś, kto strzepuje z płaszcza niechciany paproch.

– A co chcesz, żebym ci powiedział? Że zabija mnie ta cholerna dna moczanowa? Że jutro jest 13 stycznia? Że nienawidzę tego mrozu i że nie wychodziłbym z domu aż do wiosny albo nawet i do lata? Chyba masz już wystarczająco dużo problemów z twoimi umarlakami, Julio. Nie potrzebujesz jeszcze moich.

„Twoje umarlaki”. Właśnie w ten sposób Gottfried nazywał pacjentów Julii, mimo że ona szczerze tego nienawidziła.

– Nie nazywaj ich tak – odpowiedziała, a jej czarne oczy odpowiedziały z wrogością na jego niebieskie, mroźne spojrzenie. – To nic zabawnego, Gott. Mówiłam ci to już z tysiąc razy. To okrutne, że ich tak nazywasz.

– No jasne! Sama się przed sobą przyznaj! Połowę z nich utrzymujecie przy życiu za pomocą maszyn, a druga połowa i tak niedługo umrze. Okrucieństwem jest utrzymywanie ich przy życiu, kiedy są gotowi odejść!

Julia znowu spojrzała na zegarek. Wskazówka wcale się nie poruszała. Była głodna i marzyła o gorącej zupie. Skoro Gottfried doskonale wiedział, że te słowa ją zranią, dlaczego się nie powstrzymał? Po co chciał się kłócić? Co do cholery się z nim działo?

## 14. Dziecko

1953

Od zakończenia wojny minęło kilka lat, kiedy największe marzenie Ady, ale i jej największa obawa, miało się ziścić. Zaginięcie tamtego Żyda – niedostarczona przesyłka – wpłynęło dramatycznie na życie jej męża, a w konsekwencji również i jej los. Oskarżony przez niektórych o złamanie szwajcarskiej neutralności, a przez innych za opuszczenie uchodźcy w trakcie ucieczki, Hermann czuł się podwójnie wykluczony. Stracił pracę gajowego i ledwo udawało mu się znaleźć sporadyczne prace zarobkowe. Teraz, kiedy wreszcie urodziło im się dziecko, nie był w stanie utrzymać rodziny.

Gottfried, ich długo wyczekiwany syn, przyszedł więc na świat, kiedy Hermann był pogrążony w głębokiej depresji. W dniu jego narodzin dobiegła ich również wiadomość, że niedaleko Neapolu, w Trieście, przeprowadzono testy łodzi podwodnej zaprojektowanej przez szwajcarskiego wynalazcę Auguste'a Piccarda, dzięki któremu cała ludzkość mogła dawniej podziwiać najwyższy lot balonem ciśnieniowym, a którego zamiarem było teraz odkrycie tajemnic morskich głębin. Jego przygody wypełniały strony wszystkich gazet.

Ada trzymała kurczowo syna, jakby wychowanie tego nieoczekiwanie przybyłego na świat dziecka miało ochronić ją przed nieszczęśliwym mężem. On jednak jej za to nie obwiniął, czuł bowiem urazę raczej w stosunku do dziecka, które zamiast ich połączyć przyczyniło się do wytworzenia między nimi niewyobrażalnie głębokiej przepaści.

Przez pierwsze dwa lata życia dziecka Hermann prawie w ogóle nie bawił się z małym Gottfriedem. Patrzył jedynie, jak śpi, kiedy Ada wychodziła, żeby zrobić zakupy albo załatwić jakieś sprawy. Jeśli chłopczyk płakał, kołysał go w kołysce. Nie odważył się jednak wziąć go na ręce, nigdy nie zmienił mu pieluszki ani go nie



karmił, ponieważ mężczyźni nie zajmowali się takimi obowiązkami. Lecz teraz nie miał już żadnego innego wyjścia.

– Znalazłam pracę – ogłosiła rozpromieniona Ada po powrocie do domu pewnego popołudnia. – Doktor Lehner potrzebuje asystentki.

Hermann nawet nie zdawał sobie sprawy, że jego żona szukała pracy, dlatego słysząc tę wiadomość, poczuł ukłucie w brzuchu. Tym bardziej, że nie miał innego wyjścia niż to zaakceptować. Ktoś musiał w końcu przynosić do domu pieniądze, skoro on nie mógł wywiązać się z tego obowiązku. Świadoma, że podjęła decyzję, nie pytając wcześniej o zgodę męża, i że nie będzie mogła pracować bez jego akceptacji, Ada starała się zrobić wszystko, żeby mąż nie poczuł się urażony:

– Hermi, dobrze mi robi, jak pobędę trochę między ludźmi. My, kobiety, możemy pracować tak samo jak mężczyźni.

Mimo wszystko Hermann wiedział doskonale, że społeczeństwo nie było tak sprawiedliwe i otwarte, bo wielokrotnie sam doświadczył nieprzyjemności spotykających osoby wykraczające poza ustalone normy. Nie miał wątpliwości, że Ada jest w stanie podjąć pracę. Nie mógł tylko pogodzić się z faktem, że stał się człowiekiem, którego życie całkowicie straciło sens. Nie mógł utrzymać swoich najbliższych. Ada podejrzewała, o czym myślał jej mąż.

– Kochanie, spójrz na mnie – powiedziała z czułością. – Od teraz to ja będę pracować, a ty będziesz się nami opiekować.

Hermann postanowił przyjąć to zobowiązanie. Próbował uchronić żonę przed pogardliwymi spojrzeniami i negatywnymi komentarzami wynikającymi z tego, że nie zajmowała się nieprzerwanie dzieckiem. Starał się wychować małego Gottfrieda na szlachetnego człowieka, posiadającego własne poczucie godności. Musiał to zrobić, bo inaczej chłopak załamałby się z powodu wszystkich kierowanych do niego przykrych słów. Hermann zajmował się domem i dzieckiem, co pozwoliło mu na lepsze poznanie syna. Jego syna. Wypowiadał to słowo z pewnym strachem, ponieważ bał się, że nie sprosta tak ogromnej odpowiedzialności.

Czasami zawodził, kiedy przytłoczony czarnymi myślami nie miał ochoty wstać rano z łóżka. Właśnie w takich chwilach Hermann zaczynał działać jak robot, wykonując bezwiednie wszystkie obowiązki i nie podejmując żadnej, nawet błahej decyzji.

Gottfried dorastał przy ojcu, który mimo wszystkich przeciwności stał się dla niego prawdziwym życiowym drogowskazem. Kiedy Hermann czuł się na siłach, grali na wolnym powietrzu w szachy w dzielnicy Lindenhof. Latem wchodzili na Üetliberg, najwyższe w Zurychu wzgórze, odkrywając wspólnie pobliskie lasy. Kiedy nie dopisywała pogoda, szli do biblioteki i zaczytywali się tam w nowych książkach. Razem odkryli Heidego, Frau Holle, Ursliego i Flurinę, bohaterów bajek dla dzieci. Hermann nauczył syna czytać, kiedy ten miał zaledwie trzy lata, a w miarę jak chłopak rósł, jego lektury stawały się coraz grubsze i coraz mniej było w nich ilustracji. Ojciec pragnął, żeby nadeszła chwila, kiedy mały odkryje Jamesa Joyce'a. Prowadząc dziecko za rękę, odwiedził z nim grób pisarza na cmentarzu Fluntern. Od czasu do czasu recytował na głos zdania z jego dzieł, mimo że syn nie za bardzo zwracał na to uwagę. Żywił tylko nadzieję, że niektóre z nich zapadną na zawsze w jego pamięć.

Bywały też takie dni, kiedy brakowało mu sił i bolały go nogi. Leżał wówczas w łóżku i kładł dziecko u swoich stóp, żeby Gottfried bawił się na łóżku. Hermann ignorował znaki, które wysyłało mu ciało, do momentu aż pewnej niedzieli po powrocie z mszy stracił równowagę w dużym pokoju i nie był już w stanie się podnieść. Ada pobiegła po pomoc do doktora Lehnera. Gottfried widząc ojca leżącego na ziemi, poczuł się całkowicie sparaliżowany, bo nigdy dotychczas nie patrzył na niego z góry.

Diagnoza przyszła kilka tygodni i badań później. Stwardnienie rozsiane – zawyrokowali lekarze. Wreszcie mógł wytłumaczyć wcześniejsze epizody depresyjne, zmęczenie, zaburzenia równowagi, sztywnienie w kończynach, które ukrywał przed Adą. „Piętnaście lat lub mniej”.

Hermann wiedział jednak, że na pewno będzie żył dużo krócej. Nie mógł zapłacić za leczenie, które mogłoby poprawić jakość jego życia, dlatego czekał go proces powolnego wyniszczenia organizmu. Nie miał siły, żeby zmierzyć się z tym wyzwaniem. Gottfried miał niedługo pójść do szkoły. Ada musiała pracować i nie mogła zajmować się niedołęznym mężem.

## 15. Decyzja

Nawet nie zauważyła, że powoli zaczynała się za nią robić kolejka. Julia czekała na autobus wraz z pięcioma innymi osobami. Nadal nie była w stanie uwierzyć, że Gottfried wypowiedział takie słowa. „Przez większość czasu pracuję z ludźmi, którzy nie mają żadnego kontaktu z rzeczywistością – pomyślała. – Jak to możliwe, że on nie jest w stanie postawić się na moim miejscu”.

Mimo wszystko była dumna, że udało jej się zakończyć dyskusję, zanim przerodziła się ona w coś znacznie gorszego. Tak naprawdę przerwał im dzwoniący do Gottfrieda telefon, ale kiedy rzucił okiem na ekran, postanowił nie odebrać połączenia. Julia wiedziała, że stawką ich kłótni nie była wygrana, ale raczej przelanie na drugą osobę odczuwanego w środku bólu, rozładowanie napięcia poprzez krzywdzące słowa. Z tego właśnie powodu mimo naprawdę nerwowej atmosfery postanowiła powiedzieć, co naprawdę myśli.

– Te osoby, które ty nazywasz „moimi umarłakami”, mają rodziny i przyjaciół, Gott. I wcale nie chcą umrzeć. Oni panicznie boją się śmierci! Chociaż tak naprawdę najbardziej boją się cierpienia. Oczywiście leki nie mogą zapobiec umieraniu, ale za to mogą ulżyć ich męce.

Mówienie o pacjentach zawsze uspokajało Julię. Jej głos stawał się od razu dużo słodszy, prawie tak słodki jak miód.

– To, że nie cierpią, jest cudowne, Gott. I wspaniałe jest też to, że mogą cieszyć się swoimi ostatnimi dniami z bliskimi, bez znoszenia ciągłego bólu. Chciałabym mieć jakiś lek dla cierpiących dusz, ale niestety nic takiego nie istnieje. Nie mogę ci zaoferować takiego panaceum. Jedyne, co mogę zrobić, to być przy tobie, na co ty mi nie pozwalasz. Cierpisz i oddalasz się ode mnie, nie rozmawiasz ze mną... albo nawet gorzej, zaczynasz mnie atakować. Jak mam ci pomóc, jeśli tak się zachowujesz?

Mimo że przestała się już gniewać na Gottfrieda, jego odpowiedź znowu wyprowadziła ją z równowagi:

– Nie prosiłem cię o żadną pomoc.

Dosadność tych słów doprowadziła Julię do szału.

– No pewnie, że nie! To byłaby ostatnia rzecz na świecie, jaką byś zrobił, nawet gdybyś miał za chwilę umrzeć. Ale wiesz co, kochanie? Kiedy będziesz umierał, podziękujesz, że na tym świecie istnieją takie osoby jak ja, które cieszą się, że mogą pracować z pacjentami w fazie terminalnej!

Chwilę potem wstała na równe nogi, przez co położona wcześniej na kolanach serwetka spadła na ziemię. Gottfried zebrał ze stołu dwa kieliszki, stoickich świadków ich dyskusji, a następnie zabrał się za mycie naczyń. Nie odezwał się już ani słowem.

W tej sytuacji Julia uznała, że ich wspólny wieczór dobiegł właśnie końca. Nie spoglądając na Gottfrieda, chwyciła płaszcz i wyszła z mieszkania, trzaskając drzwiami. Zanim opuściła przytulny przedpokój, zakończyła sprzeczkę zdaniem, którego zaczęła żałować, jak tylko wyszła na ulicę:

– Odezwij się, kiedy nauczysz się, jak powinno się rozmawiać z innymi ludźmi. Dopóki tego nie zrobisz, lepiej się do mnie nie odzywaj.

Była przekonana, że Gottfried na pewno do niej zadzwoni. Z drugiej strony miała też świadomość, jak bolesne mogło być oczekiwanie na ten telefon.

\* \* \*

Julia chowała przed zimnem malutki, zmarznięty nos, kiedy nagle zobaczyła, jak na przystanek Tremli z za rogu nadjeżdża autobus, którym mogła wrócić do domu. Dokładnie w tej samej chwili usłyszała za plecami hamujący tramwaj 14, który mógł z kolei zawieźć ją bardzo blisko kawiarni Glück. Przyszło jej na myśl, że może był to jakiś znak, że tramwajem dojedzie szybciej do domu. Nadal była obrażona, ale zdawała sobie też sprawę, że jest dokładnie 13 stycznia. Ściągnęła rękawiczkę, żeby znaleźć w torebce telefon, i zadzwoniła do Maxa. Biorąc pod uwagę porę dnia, przypuszczała, że chłopak na pewno będzie teraz przesiadywał w barze Gottfrieda.

– Max, gdzie teraz jesteś?

– W drodze do Glücka. Wybierasz się tam?

– Właśnie się nad tym zastanawiam. Myślisz, że Gott też tam będzie?

– Wątpię. W sumie jestem pewien, że nie. Wiesz, że twój facet uwielbia chodzić na cmentarz nocą. Dzisiaj jest idealny dzień do świętowania. Nie może go tam przecież zabraknąć.

– Dobrze. Widzimy się na miejscu, ale nie mów mu, że się tam wybieram.

– Coś się stało? Znowu się o coś wkurzył?

– Ach... Chciałabym wiedzieć, o co mu chodzi, Max. Ostatnio jest jakiś nieswój.

## 16. List

1960

Batyskaf „Triest” znajdował się na wyspie Guam. Po siedmiu latach pod kuratelą amerykańskiej marynarki i ciągłych udoskonaleniach był wreszcie gotowy do zbadania dna Rowu Mariańskiego. Z Jacques'em Piccardem, synem Auguste'a, jako kapitanem i Donem Walshem na pokładzie, łódź zatoniła 23 stycznia 1960 roku, o czym Hermann nigdy się nie dowiedział, bo sam dziesięć dni wcześniej dosięgnął swojego własnego dna.

Minął zaledwie rok od diagnozy, a jego choroba postępowała znacznie szybciej, niż przewidzieli to lekarze. Doktor Lehner oświadczył, że Hermann straci niedługo możliwość samodzielnego życia i będzie całkowicie zależny od pomocy rodziny. Jednak zanim do tego by doszło, Hermann postanowił zamknąć sprawę, która tak tragicznie wpłynęła na jego los.

Pewnego ranka wstał z łóżka i z trudem podszedł do biurka, przy którym parę godzin później zastała go w niezmienionej pozycji Ada wracająca z pracy. Mały Gottfried był jeszcze w szkole. Kobieta zaskoczył fakt, że Hermann wstał i ubrał się bez niczyjej pomocy. Czuli też strach. Jednak to nie było wszystko, co dla niej przygotował: mąż przywitał ją uśmiechem. Obawiała się, że był to początek końca, szczyt, z którego Hermann popadnie w jeszcze głębszą chorobę.

– Wszystko dobrze? – zapytała, zbliżając się do mężczyzny.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułem się tak dobrze jak dzisiaj, kochanie – odpowiedział, wciąż się do niej uśmiechając.

– A skąd tak nagle wziął się u ciebie ten dobry humor? Czy mógłbyś uchylić mi rąbka tajemnicy?

Wskazał palcem na leżącą na biurku kopertę.

– Napisałem list do Gottfrieda, w którym wyjaśniam to, czego nie mogę powiedzieć mu teraz. Musi dorosnąć, żeby to wszystko zrozumieć.

Ada natychmiast pojęła, o czym mówił mąż, i odwzajemniła jego uśmiech.

– Hermannie, jesteś naprawdę szlachetnym człowiekiem – powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu. – Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Nie musisz przeproszać. Ja zajmę się tym, żeby Gottfried miał po tobie same dobre wspomnienia.

– Mówisz o czasie, kiedy mnie już nie będzie?

– Nie mów tego – odpowiedziała Ada, wbijając wzrok w drewnianą podłogę.

Hermann miał ochotę ją pocałować, ale ona tylko z czułością przytuliła się do jego ramienia, a potem oddaliła się w stronę do kuchni. Niebawem miał zjawić się Gottfried, wyglądający jak każde błyskawicznie rosnące dziecko w jego wieku.

– Poczekaj – zatrzymał ją Hermann. – Chcę, żebyś wyświadczyła mi jedną jedyną przysługę. Potrzebuję tej laski.

Adzie prawie udało się o niej zapomnieć.

– Teraz? A po co?

Hermann odpowiedział z przekonaniem osoby, która zaakceptowała śmierć jako nieuniknioną część życia.

– Mnie zabraknie, a ty przecież jej szczerze nienawidzisz.

Chciała zaprotestować, ale jej na to nie pozwolił.

– Ado, ja się o to nie gniewam. Muszę przyznać, że od kiedy pojawiła się w naszym domu, spotkało nas dużo więcej nieszczęść. Mimo wszystko nie straciłem nadziei, że ta laska wróci kiedyś do swojego prawowitego właściciela. To mój dług.

Ada pokręciła głową i wypuściła głośno powietrze z płuc, zanim powiedziała:

– Nie mogę uwierzyć, że nadal wierzysz w tę historię, Hermannie. Ten mężczyzna od lat jest nawozem dla kwiatów, a ty wciąż się nim zajmujesz...

– A co jeśli się mylisz? – przerwał jej. – A co jeśli on jednak żyje?

– Hermann, kochanie... Gdyby żył, na pewno chciałby cię znaleźć, nie sądzisz? Chociażby z zemsty. Przecież musiało mu się wydawać, że zostawiłeś go tam samego. Nie wiedział, że po niego wrócisz.

Godząc się ze świadomością, że jej słowa ranią męża, kontynuowała:

– W każdym razie, jeśli ta laska i płótno były dla niego tak ważne, czy nie wydaje ci się, że poruszyłyby niebo i ziemię, żeby cię odnaleźć?

– Ado, ale przecież on nic o mnie nie wie. Nie wie, jak się nazywam. Nie wie, gdzie mieszkam. Nie ma żadnej poszlaki, która mogłaby go do mnie doprowadzić.

On sam też nie miał żadnych informacji. Próbował dowiedzieć się, kim był tamten Żyd, wypytując, kto nadał przesyłkę, ale na nic zdały się jego wszystkie wysiłki: naziści znaleźli najpierw jego, a potem krok po kroku rozszyfrowali całą sieć opozycji po drugiej stronie granicy.

– Jak mógł mnie znaleźć, Ado? Od czego zaczęłabyś poszukiwania, gdybyś znalazła się na jego miejscu?

– Od obrazu – odpowiedziała uszczypliwie żona.

Hermann zamknął na chwilę oczy. Trudno mu było uwierzyć, że ostatecznie nawet i jego żona po osiemnastu latach doszła do tego samego wniosku co on. Mimo że przyszło mu na myśl, że powiedziała to, żeby nie wracać po raz kolejny do ich dawnej kłótni, skorzystał z okazji i postanowił jej przedstawić swoje zamiary. Otworzył szeroko oczy i spojrzał na żonę.

– Właśnie na to liczę. Że wciąż będzie poszukiwał obrazu. Dlatego umieszczę laskę w bezpiecznym miejscu, gdzie będzie przechowywana w odpowiednich warunkach, na wypadek gdyby kiedyś poproszono o jej zwrot.

– Hermannie, on już nie żyje – powtórzyła Ada, zanim zeszła do piwnicy, żeby poszukać laski.

Musiła odsunąć kilka ustawionych w stos gratów, żeby do niej się dostać. Rękawem sukienki przetarła kurz i odkręciła gałkę, żeby zobaczyć, czy płótno nadal znajdowało się w środku. Następnie przeszła do salonu, gdzie zobaczyła podekscytowanego Hermanna. Od dawna nie widziała go w takim stanie.

– Proszę. Jest twoja – powiedziała, podając mu laskę. – A teraz, proszę cię, powiedz mi, co zamierzasz zrobić.

Hermann chwycił ją obiema rękami i z nieukrywaną ciekawością spojrzał na przedmiot. Jego życie zmieniło się diametralnie, od kiedy po raz ostatni trzymał laskę w dłoniach. Natomiast kawałek drewna nie został nadszarpnięty zębem czasu. Odkręcił gałkę, żeby zerknąć do środka, i po raz pierwszy przyjrzał się uważnie wyrzeźbionemu ogarowi. Wewnątrz odkrył żłobienia, których nie dostrzegł nigdy wcześniej; były wykonane niepewną ręką i jakimś ostrym narzędziem. Przypominały litery, ale być może były to i liczby. Trudno było cokolwiek odczytać. JS? IS? 15? Czuł, jak narasta w nim desperacja. Wypuścił



szybko powietrze. Było zdecydowanie za późno na znalezienie jakichkolwiek śladów. Odpowiedział Adzie kolejnym pytaniem.

– Pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy wróciłem z tą laską do domu?

Kobieta wywróciła oczami ze wściekłości. To wszystko wydarzyło się dawno temu i jedyną rzeczą, o której marzyła, było wyparcie z pamięci tej przeklętej laski, która zrujnowała im życie.

– Powiedziałaś, że bym zaniósł ją do banku – odpowiedział szybko Hermann. – Ale wtedy nie mieliśmy wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zapłacić za depozyt, a poza tym banki nadzorowało Gestapo.

– Teraz też nie mamy za dużo pieniędzy – przypomniała mu Ada.

– Ale możemy wybrać pieniądze z oszczędności na mój pogrzeb. Możemy zainwestować je w coś bardziej pożytecznego.

Ada chciała zaprotestować, ale Hermann nie pozwolił jej sobie przerwać.

– Wynajmę skrytkę w Zürcher Bank. Pieniądze przeznaczone na mój pogrzeb wpłacę na konto bankowe, żeby opłacać składki do czasu, kiedy Gottfried skończy dwadzieścia lat i stanie się pełnoletni. Wtedy będzie mógł otworzyć skrytkę. Kto wie? Może wtedy będzie wiadomo coś więcej o całej tej sprawie. Możliwe, że to właśnie nasz syn będzie w stanie odnaleźć tego mężczyznę.

Ada nie miała zamiaru siedzieć dłużej cicho:

– Nie, Hermannie, nie zrobisz tego! Nie ma mowy! Jeśli nie chcesz godnego pochówku, to już twoja sprawa, ale nie pozwolę, żeby nasz syn otrzymał w spadku te przeklęte przedmioty!

– Ado, nie masz innego wyjścia – podsumował spokojnie. – To moja ostatnia wola. Musisz ją uszanować.

## 17. Kawiarnia Glück

Max zakończył połączenie telefoniczne, przekraczając próg kawiarni Glück. Wciąż czuł, że wypity zeszłej nocy burbon nie wywietrzył mu z głowy, ale miał wrażenie, że Julia nic nie zauważyła. Rozmawiali w końcu tylko przez chwilę.

Był ciekawy, co wydarzyło się między nią a Gottfriedem. Uważał się za przyjaciela obojga, chociaż dużo łatwiej było mu porozumieć się z Julią niż z własnym szefem. Być może dlatego, że najpierw poznał ją, albo dlatego, że Gottfried nie pozwalał się za bardzo poznać: jedynie niewiele osób dopuszczał do bardzo wąskiego grona przyjaciół. Max nie należał do tych uprzywilejowanych wybrańców, ale w gruncie rzeczy, wcale mu na tym nie zależało.

Gottfried wrócił z cmentarza Fluntern kilka minut wcześniej. Oparł się o poręcz na antresoli lokalu i stamtąd jako pan i władca Glücka z przyjemnością przysłuchiwał się wybranej przez siebie muzyce i spoglądał na swoje królestwo z wysokości. Stamtąd dostrzegł wchodzącego do kawiarni Maxa, który pozdrowił go ledwo zauważalnym machnięciem ręki, a potem usiadł na jednym z obsesyjnie równo ustawionych przy barze wysokich taboretów. Bar został wybudowany z żelaznych płyt pozyskanych ze starych statków. Rzeźby Jezusa i Marii Dziewicy strzegły dostępu do miejsca, w którym można było zamawiać drinki. Tylko nieliczni mogli przekroczyć tę granicę.

Mimo że Gottfried przestał wierzyć w Boga, kiedy jego ojciec popełnił samobójstwo, uznał za doskonały pomysł, żeby miejsce najbardziej splamione grzechem zostało udekorowane dwiema świętymi rzeźbami. Tam, gdzie goście mieli odwagę pokazać swoją prawdziwą twarz, błogosławił ich Chrystus i jego matka dziewica. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że najbardziej spragnieni klienci czuli się w Glückeru lepiej niż we własnym domu.

Życie, ale również i śmierć uosobiona w ogromnym, zwisającym z sufitu szkielecie wplecionym z włókien, to zaledwie dwa z wielu motywów powracających w eklektycznym wystroju baru. Mapy, motywy marynarskie,

akcesoria piłkarskie, obrazy we wszystkich możliwych stylach artystycznych, drobne, różnokolorowe, meksykańskie flagi, oplatające cały lokal girlandy z kwiatów, w które powtykano malutkie żarówki, plakaty obwieszczające zbliżające się koncerty, pamiątki z podróży, trofea, zdjęcia. Stary magazyn wojskowy, w którym teraz mieścił się Glück, był w stanie pomieścić na swoich ścianach i suficie dosłownie wszystko. To miejsce przy rzece Sihl było prawdziwym archiwum życia Gottfrieda. Wszystko, co przeżył, zostało tu udokumentowane, przyklejone, wbite gwoździami lub namalowane na ceglach i belkach pod sufitem. Każde zdjęcie było jego wspomnieniem, każdy przedmiot, prezent, trofeum stanowiło symbol wygranej lub przegranej walki. Gottfried nie kupił niczego do baru ani nawet nie wymienił za to, co już wcześniej posiadał; były to wszystko podarunki, prezenty od wciąż żyjących przyjaciół lub nieme ołtarze ku pamięci zmarłych.

Gottfried opuścił Zurych krótko po śmierci matki, czyli niedługo po tym, jak osiągnął pełnoletność, a wrócił do miasta dopiero grubo po czterdziestce. Przez ponad dwie dekady ciągłych podróży zwiedzał i mieszkał w takich krajach jak Indie, Meksyk, Stany Zjednoczone, Dominikana czy Hiszpania. Te miejsca ukształtowały jego dorosłe życie i charakter, a wszystko dzięki bezcennym doświadczeniom i niezwykłym wydarzeniom możliwym tylko daleko od miejsca, które nazywamy domem. Wszystko, co wtedy przeżył, zarówno w dobrych, jak i złych chwilach, wpłynęło na jego sposób bycia i charakterystyczną pewnością siebie wynikającą z bogactwa zdobytych doświadczeń. Z tego właśnie powodu Gottfried wydawał się innym niezwykle ciekawy: wyjątkowy, czasami nawet przystępny, ale prawie zawsze ekscentryczny. Kochał życie za to, czym było: przywilejem. Kochał Julię z tą samą prawie zażyłością, z jaką wielokrotnie się z nią sprzeczał. Jednak ponad wszystko kochał Glücka. I nienawidził, kiedy inni zbyt natarczywie ingerowali w jego świątynię.

Max obserwował Gottfrieda z dołu, kiedy akurat jakiś klient zabierał się za przenoszenie taboretu przy barze, żeby usiąść przy oknie.

– Ej, ej! Ja chyba nie przychodzę do ciebie do domu, żeby przestawiać ci meble, co? – krzyknął właściciel Glücka z antresoli.

Mężczyzna trzymający w ręce stół spojrzał na niego z dołu. Wyglądał na równie speszzonego, co zaskoczonego. Pokręcił przecząco głową, nie wiedząc zbyt dobrze, czego może się spodziewać.

– Więc lepiej nie przychodź do mojego baru, żeby przestawiać mi rzeczy – orzekł Gottfried. – Proszę odłóż taboret na swoje miejsce.

Mężczyzna spełnił rozkaz, a Gottfried jednym szybkim gestem poprosił Valerię, żeby na koszt firmy połała zmieszanemu całą sytuacją klientowi. Zaraz potem Gottfried zszedł po betonowych schodach prowadzących do serca lokalu i usiadł koło Maxa. W głębi baru można było usłyszeć, jak Ray Charles grał z uczuciem na klawiszach i zadawał sobie dokładnie to samo pytanie co Max: *Tell me what I'd say, tell me what I'd say right now...*

– Nie wiem, dlaczego tak na mnie patrzysz – zagadał do niego Gottfried. – Chyba musisz przyznać, że to było dość dyplomatyczne zagranie. Ten facet niemiłosiernie mnie wkurzył, a ja na dodatek zapłaciłem mu za drinka.

Kiedy Max zaśmiał się, przyznając Gottfriedowi rację, spod czapki wysunął mu się jasny kosmyk włosów. Poprawiając go, spostrzegł, że na rękach wciąż ma czarną farbę. Umył ręce przed wyjściem ze studia, ale nie spojrział w lustro, żeby nie czuć wstydu za zeszłą noc. Nie był wcale dumny z tego, co się stało, i miał nadzieję, że Valeria, kierowniczka kawiarni Glück, też o tym wszystkim zapomni. Max przecież tego nie planował. Nie miał zamiaru się upić, a na pewno nie miał ochoty się z nią przespać, ale co się stało, to się nie odstanie. Zadawał sobie tylko jedno pytanie: jak zareaguje Gottfried, kiedy dowie się, że spędził noc z szefową jego lokalu? Z pewnością nie będzie wtedy szukać żadnych dyplomatycznych rozwiązań.

– Nie rozśmieszaj mnie, Gott... Żaden z ciebie dyplomata, to ja jestem królem dyplomacji. Pamiętasz może Lucasa Steinera, mojego galerzystę, który wystawił u siebie moje prace?

– Oczywiście, że pamiętam Lucky'ego. Chyba ci nie mówiłem, ale był tutaj kilka tygodni temu. Chciał kupić ode mnie jeden obraz.

– Chciał kupić jakiś obraz od ciebie?

– Tak, jeden, który wisi tam na górze, ale powiedziałem mu, że nie jest na sprzedaż. Ani ten, ani żaden inny. Nie mógłbym ich sprzedać. Wszystkie obrazy, jakie mam, to prezenty.

– Wszystkie oprócz jednego.

– O który ci chodzi?

– O ten mały obraz z lasem. Mówiłeś, że odziedziczyłeś go po ojcu.

– Ach, ten. To zupełnie coś innego.

Max zgodził się ze spostrzeżeniem Gottfrieda. To niewielkie płótno było naprawdę unikatowe i to z wielu powodów. Między innymi dlatego, że, jak przypuszczał Max, Gottfried nie zdradzał całej prawdy na temat tego, w jaki sposób obraz naprawdę trafił do Glücka. Ojciec Gottfrieda zmarł w 1960 roku bez grosza przy duszy, a mimo to zostawił synowi w spadku dzieło sztuki. Niepozorne płótno przedstawiające las o wymiarach dwanaście na piętnaście centymetrów z pewnością nie znajdowało się tam, gdzie powinno. Max poczuł, że zaczęło go nurtować coraz więcej pytań.

– Gott, dlaczego ściągnąłeś ten obraz?

– Kurczę. Myślałem, że nikt tego nie zauważy.

– Ja zauważyłem. Dlaczego?

– Właśnie dlatego, że nie jest jak inne obrazy.

– Jak to?

– Do jasnej cholery, co z tobą, Max? Nie mówiliśmy przed chwilą o dyplomacji? Po co zadajesz mi tyle pytań? Należysz do Mossadu czy coś?

Max udał, że się uśmiecha, ale nie zamierzał odpuścić. Gottfried wiedział, że malarz miał żydowskich przodków, co wykorzystywał przy wielu okazjach, żeby stroić sobie z niego kpiny. Chociaż sam był przekonany, że potrafi okazywać innym szacunek, w życiu codziennym w ogóle mu to nie wychodziło.

– Pracuję też dla CIA, pajacu – powiedział Max, imitując ironiczny ton Gottfrieda. – Powiedz mi tylko, dlaczego go ściągnąłeś.

– Lucas zaproponował mi piętnaście tysięcy franków za ten obraz. Nie jest na sprzedaż, ale skoro jest tyle warty, nie chcę, żeby ktoś mi go ukradł. A teraz co? Chcesz mi wmówić, że jesteś cholernym mistrzem dyplomacji?

Max wziął duży łyk piwa, zanim cokolwiek odpowiedział. Tamtego wieczoru pokazał Lucasowi zdjęcie dzieła przedstawiającego las, a on wtedy zaprzeczył, aby kiedykolwiek gdzieś je widział. Okłamał go.

– No więc pewnie nie wiesz, że Lucas był u mnie w studiu, żeby rzucić okiem na obrazy, i chyba nie zdajesz sobie też sprawy, jak wielkim dyplomata trzeba być, żeby umieć gadać z takim typem człowieka. Tam, gdzie jedni widzą sztukę, oni widzą tylko pieniądze. Dobrze, że wypilem pół butelki burbona. To pomaga w dyplomacji.

– Burbon? Od kiedy pijesz, kiedy malujesz?

– Nie malowałem – powiedział Max. – Miałem powód do świętowania. Takie moje małe święto. Skończyłem jeden bardzo wielki obraz. I teraz mogę wreszcie zrobić wystawę – ogłosił, podnosząc wysoko podbródek.

– I jaki tytuł wybrałeś? Czy należysz może do tych artystów, którzy nie fatygują się, żeby tytułować swoje prace?

Max poczuł zadrę zaogniającą się w całym ciele. Przeszkadzało mu, że Gottfried nie potrafił zdobyć się na żaden ludzki gest wobec niego ani nie reagował na jego słowa. Na pewno jeszcze znajdzie się na to jakaś lepsza okazja, lepszy moment, żeby szczerze porozmawiać o obrazie. Przez ostatnich pięć długich lat pracował nad serią obrazów wyrażających całą jego frustrację. Były to dzieła, które miały mu pomóc pogodzić się z męczącymi go duchami przeszłości. Pomyślał o ojcu, o tym, jak bardzo byłby z niego dumny i o tym, że najbardziej zadziwiającym faktem było to, że odnalazł inspirację w małym płótnie, które Gottfried powiesił kilka miesięcy temu w Glücku, a którego teraz nawet tu nie było.

– Zatytułowałem go *Furia* – odpowiedział Max, akcentując każdą literę i próbując odgryźć się Gottfriedowi. – I wiesz co? Jako że użyłeś wcześniej słowa dyplomacja, mam ci coś do powiedzenia. Przydałaby ci się odrobina dyplomacji, żeby poprawić twoje relacje z Julią.

Kiedy właściciel Glücka wykrzywił wargi, Max podjął już decyzję o wkroczeniu na najniebezpieczniejszy teren ich rozmowy:

– Co niby nie gra w moim związku z Julią? – zapytał Gottfried, zaplatając ramiona na piersi w obronie przed atakiem przyjaciela.

– Sam pewnie wiesz lepiej – odpowiedział szybko Max. – Wydaje mi się tylko, że powinienes trochę bardziej o nią zadbać. Przed chwilą do mnie zadzwoniła. Koniec końców pośle cię, gdzie raki zimują. Wygrałeś los na loterii, bo to prawie niemożliwe, żeby taka dziewczyna jak Julia się w tobie zakochała. Chyba jesteśmy na tyle dorośli, żeby przestać owijać w bawełnę? Jak myślisz? No chyba nie powiesz mi, że w tym wieku boisz się zaangażować...

## 18. Po Hermannie

Ada wypełniła ostatnią wolę męża, chociaż nigdy nie zebrała w sobie na tyle sił, żeby odwiedzić zbiorowy grób, w którym został on pochowany. W domu nie miała już ani tej przeklętej laski, ani cierpiącego na depresję męża, więc po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuła, że los dawał jej drugą szansę. Była wdową, miała syna i tylko jedno wyjście: żyć dalej. Chcąc osiągnąć ten cel, musiała mieć pracę, która umożliwiłaby wychowanie siedmioletniego dziecka potrzebującego jak nigdy wcześniej jej zaangażowania.

Rozwiązanie znalazła w sklepie Brockenhaus, składzie z używanymi meblami i innymi przedmiotami, w postaci zakupionej tam maszyny do szycia. Kiedy poczuła, że może opuścić doktora Lehnera, zaczęła szyć na zlecenie rozrastającego się coraz szybciej grona klientów. Szew za szwem zarabiała na wydatki związane z prowadzeniem domu, wychowaniem dziecka oraz swoje własne. I tak aż do lata 1973 roku.

Ada przygotowywała przyjęcie urodzinowe dla Gottfrieda, święcie przekonana, że syn niczego nie podejrzewa. Już z nią nie mieszkał, ponieważ ukończył szkołę i zaczął pracę w restauracji. Z tego też powodu było jej łatwiej utrzymać wszystko w sekrecie. Dopiero po uroczystości, kiedy jej dom opuści ostatni gość, i ani chwili wcześniej – właśnie wtedy powie Gottfriedowi o pozostawionym mu przez ojca darze, który zmieni jego właśnie rozpoczynające się dorosłe życie. Ada modliła się, żeby ten spadek nie zrujnował życia jej syna, tak jak zniszczył życie jej męża.

Usiadła naprzeciwko maszyny i ze skrawków czerwonego jedwabiu uszyła torebkę zapinaną na malutki guzik z masy perłowej. Woreczek był niewielkich rozmiarów. Mieścił się w nim jeden klucz. Przez chwilę poczuła nachodzące ją wątpliwości. Jak mogła postąpić w taki sposób wobec własnego dziecka? Czy naprawdę musiała wypełnić ostatnią wolę męża? Co powstrzymało ją przed otwarciem skrytki i pozbyciem się raz na zawsze laski i płótna?

Chwilę potem poczuła nagły napad gorąca, a jej ciało oblał zimny pot. Ostatnio pracowała bardzo dużo i coś kazało jej myśleć, że to męczący ją od dawna ból mięśni szyjnych wynikający z przygarbionej postawy podczas pracy. Wstała, żeby napić się wody i rozprostować plecy, ale najpierw poczuła zimny dreszcz, a potem silny ból głowy. Niezdolna do poruszenia żadną kończyną upadła bezwładnie na ziemię. Nigdy nie doszła do kranu. Gottfried znalazł ją leżącą na podłodze w kuchni z małą pustą torebką w ręce. Miała pięćdziesiąt dwa lata. Na maszynie do szycia wciąż była nawleczona przez nią nitka. Gottfried podjął niezwłocznie decyzję o sprzedaży maszyny. Sprzedał też meble. Z pamiątek pozostawionych w rodzinnym domu postanowił zatrzymać tylko portret ślubny rodziców wiszący w salonie obok okna. Właśnie skończył dwadzieścia lat i nie miał pojęcia, co zrobi ze swoim życiem. Nie miał też żadnego powodu, żeby zostać. Świat poza Szwajcarią był dla niego wielką niewiadomą. Postanowił go odkryć.



## 19. Gloria

W przeciwieństwie do tego, co myślał Max, Gottfried nie obawiał się zaangażowania: po prostu uważał, że te sprawy nie potrzebowały żadnych etykiet. To, że on i Julia mieszkali osobno, wynikało z tego, że obydwójce doskonale wiedzieli, że to najlepsze rozwiązanie dla dwóch silnych charakterów, niezależnych osobowości, czasami tak bliskich, a czasami zupełnie odmiennych. Tak naprawdę uważał, że to najwygodniejszy układ dla kogoś, kto nie ma zamiaru założyć rodziny, ale nie ma też ochoty odmówić sobie ciepła drugiej osoby i przyjemności płynącej z seksu z kimś, kogo się kocha, akceptuje i podziwia. Poznali się już jako dorosłe osoby i żadne z nich nie miało zamiaru rezygnować z własnej przestrzeni, jeśli akurat by tego potrzebowali. Kto w ogóle prosił Maxa o zdanie? Gottfried nie rozumiał jego tłumaczeń o grze w kotka i myszkę. On nikogo nie gonił. Traktował Julię poważnie, ale już raz był żonaty i nie widział potrzeby, żeby powtórzyć to doświadczenie.

– Już miałem jedną żonę, Max. Julia to coś więcej niż żona. Nie chcę, żeby była drugą, ponieważ pod wieloma względami jest tą jedyną.

Malarz czekał na właśnie tego typu wyznanie. Gottfried wychodził z przepychanek słownych zwycięsko, ośmielając się wypowiedzieć zdania, które innych wprawiałyby w zakłopotanie. Wzbudzał tym szacunek do tego stopnia, że jego powszechna ksywka Gott była nie tylko zdrobnieniem, lecz po prostu niemieckim słowem określającym boga.

Gottfried nie tylko miał wcześniej żonę, ale również syna. Przez dziewięć lat cieszył się dość zwykłym życiem w niezwykłym miejscu, gdzieś na dominikańskiej plaży, gdzie wraz z żoną Gloria prowadzili skromny lokal Café de la Suerte. On gotował wieczorami, Gloria obsługiwała gości przy barze, a tymczasem ich syn, Antonio, biegał pomiędzy stolami i po ulicy, bo do szkoły chodził tylko tyle, ile było naprawdę konieczne. Gloria prowadziła go tam rano, a Gottfried odbierał po południu. Nikt nie wnikał, co chłopak robił w tym czasie. Tak wyglądało ich życie od poniedziałku do piątku. W soboty Antonio grał z kolegami na podwórku,

a w niedziele rodzice zamykali kawiarnię i spędzali dzień we troje, na plaży lub gdziekolwiek indziej. Nie obchodziło ich miejsce, lecz własne towarzystwo.

Jeśli istniała jakakolwiek rzecz, której Gottfried żałował jako pięćdziesięciosześcioletni mężczyzna, to fakt, że nie nacieszył się tym dobrym, prostym życiem. Zrozumiał to dopiero, gdy je stracił. Wydarzyło się to pewnego ranka, tak podobnego do wielu innych. Ciężarówka przecięła drogę Glorii i Antonia, kiedy szli do szkoły. Jedynym pocieszeniem Gottfrieda pozostała świadomość, że zginęli na miejscu. Wypadek odebrał mu żonę i dziecko i zabrał również część jego samego, ojca i męża, którymi przestał być raz na zawsze. „Czas leczy rany”, mówili mu znajomi. Jednak czas pokazał, że nie leczy ran, lecz raczej uczy z nimi żyć, uniemożliwiając pogodzenie się ze śmiercią ukochanych.

Tak samo jak wówczas, gdy umarła jego matka, Gottfried postanowił uciec, żyć dalej. Sprzedał Café de la Suerte i powrócił do życia bez zapuszczania korzeni. Żył oszczędnie przez kilka lat, a po powrocie do Europy i tak nie miał prawie nic. Wylądował w Barcelonie, gdzie postanowił zamieszkać. Było lato, miasto tętniło życiem. Z każdej strony wysypywali się turyści, dlatego łapał się jednej pracy za drugą w tym sektorze, aż uzbierał odpowiednią kwotę, żeby wrócić do Szwajcarii i otworzyć własny biznes, miejsce uwieczniające na zawsze jego Glorię i Antonia. Zaadaptował wcześniejszą nazwę Café de la Suerte na niemiecki, a kawiarnia Glück faktycznie przyniosła mu szczęście pod postacią Julii, jedynej kobiety będącej w stanie wyprowadzić go z równowagi, przez co jedyną poza Glorią, na której mu naprawdę zależało. W przeciwieństwie do tego, co mówił Max, wcale nie uciekał przed związkiem, było bowiem zupełnie na odwrót: nie wyobrażał sobie życia bez Julii. Chociaż tego nie mówił, tak właśnie czuł.

Max uznał, że do tego, co właśnie wyznał Gottfried, nie trzeba dodawać niczego więcej, dlatego skupił całą swoją uwagę na dwóch butelkach vollmonda, które przyniosła im Valeria. Zauważył, że kiedy dziewczyna postawiła butelki na barze, uśmiechnęła się do szefa, ale uniknęła jego spojrzenia. Na pewno pamiętała doskonale, co wydarzyło się wczoraj w nocy. Chcąc zamaskować tę niezręczną sytuację, Max podniósł butelkę i zaproponował Gottfriedowi toast, tak jak mieli to w zwyczaju, kiedy wracał z Fluntern.

– Za twoich zmarłych.

– I za twoich.

– Za naszych zmarłych – powiedzieli razem, stukając się butelkami.

Część druga

# TERAŹNIEJSZOŚĆ

Styczeń–luty 2010

## 20. Valeria

Z głośników w Glücku dało się słyszeć delikatnie słowa O.V. Wrighta: *Precious, precious... I look at love as a two-way street, you get the good with the bad, you take the bitter with the sweet...*

Kiedy Max wzniósł toast z Gottfriedem, okulary ześlizgnęły mu się po grzbiecie nosa prawie na sam czubek, przez co mężczyzna wsunął je z powrotem palcem wskazującym. Uważał, że ten gest sprawia, że wydaje się bardziej interesujący. Valeria patrzyła na niego obojętnie z drugiego końca baru, wycierając krople wody z dopiero co wyjętych ze zmywarki kieliszków. Mimo że próbował przyjąć pozę świadczącą o tym, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, jedyne, co udało mu się osiągnąć, to nieśmiałe pokazanie siekaczy w wymuszonym uśmiechu. Dziewczyna opuściła wzrok poruszona wspomnieniem samej siebie całującej ten wiewiórczy pyszczek wczoraj w nocy. Tony, jej chłopak i szef kuchni w knajpie, akurat miał wolną noc, dzięki czemu Valeria mogła utrzymać w sekrecie to, co wydarzyło się z Maxem, chociaż nie była pewna, na jak długo. W Zurychu wszyscy się znali.

Z kolei malarz myślał o tamtej chwili jak o przechwyceniu cudzego skarbu, którego nie wolno mu było dotknąć, dlatego jedyne, co mu pozostało, to patrzenie. Powracał w myślach do poprzedniej nocy, wiedząc, że już nigdy nie będzie miał dostępu do tego pięknie zaokrąglonego, wypielęgnowanego ciała pachnącego zbożem. Wcale nie planował seksu z Valerią, o ile to, co zaszło między nimi, można w ogóle tak nazwać. Maxowi zależało tylko na zdobyciu klucza do mieszkania Gottfrieda i wykorzystał nadarżającą się okazję. Próbował przekonać samego siebie, że był to jedynie efekt uboczny całej operacji, zło konieczne, kac po szalonej nocy.

Rozmyślenia te przerwał Gottfried, który w pewnej chwili zostawił go samego przy barze, bo chciał porozmawiać z Erikiem, chłopakiem pracującym na nocnej zmianie, który przed chwilą zjawił się w lokalu. Max wykorzystał ten moment, żeby zawołać dyskretnie Valerię.

– Valerio, zostawiłaś to u mnie w domu – powiedział, wyciągając przed siebie pęk kluczy.

Dziewczyna odruchowo je chwyciła, upewniając się, że nikt wokół nie jest przypadkiem świadkiem rozgrywającej się właśnie sceny. Usłyszał oschłe podziękowania, po których dziewczyna odeszła do kuchni. Po chwili wróciła z kilkoma cytrynami, które zaczęła wariacko, lecz precyzyjnie kroić w plasterki. Wiedziała, że musi wykonać to zadanie, zanim bar wypełni się po brzegi. Wszystkie drinki były serwowane z cytrusowym akcentem. Chociaż na zewnątrz panował mróz, najczęściej zamawianym koktajlem był dżin z tonikiem i gespritzt, kieliszek białego wina z wodą sodową i połówką plasterka cytryny.

Valeria czuła, że poprzednia noc była wyjątkowo długa i pełna emocji, a wszystko przez koncert odbywający się na malutkiej scenie w Glücku. Podczas gdy zespół zagrzewał gości do zabawy, ona przygotowała czterdzieści najpopularniejszych w lokalu drinków, w tym trzy dla siebie. Po zakończonej zmianie do listy wypitych drinków dodała kilka piw i kilka kolejek kieliszków wódki, które wypiła ramię w ramię z Maxem, z którym zarzucali się na zmianę anegdotami i zacieśniali niedawno zainicjowaną przy barze przyjaźń. Każdy kolejny wzniesiony toast zbliżał ich do siebie. Skutkiem tego przekłętego alkoholowego transu była dziura w pamięci Valerii i niewybaczalny błąd nocy z Maxem.

Kierowniczką Glücka nie była w stanie przypomnieć sobie, w jaki sposób skończyli nadzy w mieszkaniu malarza, a jedyną rzeczą, której była pewna mimo mglistego obrazu całej sytuacji, było to, że nigdy więcej nie dojdzie do czegoś podobnego. Najbardziej obawiała się tego, że nie użyli prezerwatywy. Nawet tego nie była w stanie sobie przypomnieć.

Max należał do elity stałych gości baru i w jakiś pokrętny sposób rozumiał się z Gottfriedem. Valeria miała tylko nadzieję, że artysta będzie siedział cicho, a to, do czego doszło w jego mieszkaniu, pozostanie tam już na zawsze. Tony za bardzo cenił sobie lojalność, żeby wybaczył jej zdradę, a co gorsza: zdradę z Maxem. Gdyby tylko się o tym dowiedział, nie popuściłby jej.

Gottfried wrócił do Maxa. Chwilę potem byli już zajęci swoimi piwami, dalecy od myśli o Valerii. Szef zwrócił na nią uwagę dopiero wtedy, kiedy bezpośrednio przecięły się ich spojrzenia. Mrugnął do niej porozumiewawczo, a ona odpowiedziała mu bez zażenowania szerokim uśmiechem ujawniającym krzywe

zęby i dołeczki w policzkach. Mokrymi od soku z cytryny palcami odgarnęła z czoła mały lok, a Gottfried uśmiechnął się na ten widok. Lubił Valerię, bo jej łagodna powierzchowność skrywała nieustępliwy charakter idealnie sprawdzający się w pracy z kelnerami. Doceniał jej zaangażowanie w biznes i całkowicie jej ufał, dlatego była jedyną osobą posiadającą klucze do kawiarni. Jeszcze przed tym jak poznał Julię, powierzył Valerii również klucze do własnego mieszkania i nigdy nie poprosił, żeby mu je zwróciła, przeciwnie, niejednokrotnie zmuszony był prosić ją o pomoc w dostaniu się do swojego domu. Ona i Tony, szef kuchni w Glücku, byli jedynymi pracownikami, którzy wiedzieli, jak z nim żartować. Tak samo jak wszyscy inni odnosili się do Gottfrieda z szacunkiem, ale w przeciwieństwie do reszty Tony i Valeria nie bali się go.

## 21. Tony

Tony Bambougou pojawił się w Glücku punktualnie, żeby zacząć nocną zmianę. Miał na sobie kilka warstw ubrań, ale nie nosił czapki, ponieważ do tej pory nie znalazł żadnego nakrycia głowy, które poskromiłoby jego ogromne afro, dodające kilka centymetrów do jego dość krępego ciała. Używał słuchawek jako opaski.

Skierował porozumiewawczy uśmiech do Valerii, z którą rozstał się jakąś godzinę wcześniej. Przywitał się z Gottfriedem przybiciem piątki, skinął też głową na Maxa, na co malarz odpowiedział mu, wyciągając rękę w jego stronę, jakby co najmniej ucieszył się na jego widok. Tony uścisnął jego dłoń, zdejmując w tym samym czasie słuchawki, przez co nieskrępowane włosy wróciły do swojego naturalnego stanu. Dźwięki techno nadal wybrzmiewały ze słuchawek ustawionych na maksymalną głośność, ale kucharz wcale nie zwracał na to uwagi. Dobrze wiedział, że sprowokuje tym samym Gottfrieda, który zareagował natychmiast z dobrze znaną Tony'emu ironią w głosie:

– Ile czasu już dla mnie pracujesz? Trzy lata? – zapytał mężczyznę, nie czekając na żadną odpowiedź. – A wciąż słuchasz tej gównianej muzyki, która tylko niszczy słuch i neurony. Nie potrafię tego zrozumieć – dodał, kiwając głową – spędzasz tutaj pięć nocy w tygodniu w akompaniamencie najlepszej muzyki. Naprawdę niczego się nie nauczyłeś?

– Uczę się odpoczywać od pracy, Gott – odpowiedział Tony, kopiując żartobliwy ton przełożonego. – I wcale nie jest to żadne gówno, tylko muzyka. Muzyka elektroniczna, ale koniec końców muzyka. Jak taki meloman jak ty nie potrafi tego uszanować?

Gottfried nie potrzebował nawet ułamka sekundy, żeby znaleźć odpowiednio uszczypliwą odpowiedź na opinię swojego pracownika.

– Żebyśmy mogli mówić o muzyce, Tony, to twoja kakofonia musiałaby mieć jeszcze jedną rzecz: duszę. Jeśli przysłuchasz się uważnie, właśnie dzięki duszy można doświadczyć muzyki, rozróżnić czy ktoś gra na gitarze, przesuwając po

niej opuszkami palców, szarpiąc struny paznokciem czy kostką. Kiedy będziesz w stanie to zrobić, ty i ja będziemy mogli wrócić do rozmowy o muzyce.

Tony nie miał wcale zamiaru się poddać. Uśmiechnął się szeroko, żeby zaznaczyć, że uważa tę dyskusję za zakończoną i mrugnął okiem do Gottfrieda. To był jego znak pojednawczy. Oboje rozumieli się bez słów:

– Chłopie, całe szczęście, że rzuciłem pracę w Zürcher Bank i zająłem się gotowaniem, a nie didżejowaniem, bo gdybym pracował jako DJ, nigdy byśmy się nie poznali, a to byłaby wielka strata.

Właściciel Glücka odwzajemnił uśmiech. Uścisnął dłoń Tony'ego, a drugą ręką czule objął jego ramię.

\* \* \*

Trzy lata wcześniej Tony stawił się przed nim bez żadnego doświadczenia w kuchni. Jedyną wyróżniającą go cechą było zamiłowanie do smaków i faktur. Jeszcze jako niemowlę wyemigrował z matką z Kenii do Zurychu. Dorastał, będąc jedynym kolorowym dzieckiem w szkole, bardzo wcześnie wyższym o głowę od swoich rówieśników. Jego rodzina wychowała go jednak tak, żeby tam, gdzie inni widzą różnice, on dostrzegał własną wyjątkowość. Wysiłek i wytrwałość w nauce, oprócz wrodzonej smykałki do komputerów, przyczyniły się do jego sukcesu. W wieku dwudziestu trzech lat został pracownikiem Zürcher Bank, gdzie zajmował się dociekaniem pochodzenia podejrzanych kwot zgromadzonych w wyniku bezprawnej działalności. Pięć lat później został kierownikiem działu. Kiedy skończył trzydzieści lat, dopadło go wypalenie zawodowe, z którego wyleczył się bez większych komplikacji, wykorzystując tę okoliczność, by rzucić szanowaną przez wszystkich pracę w banku i poświęcić się jednej ze swoich największych pasji: kuchni. Drugą miłością Tony'ego była muzyka, uszczęśliwiająca go tak jak łączenie ze sobą różnych składników i tworzenie nowych dań.

Kiedy zdecydował o przejściu z poważnej branży do garów, poprosił szefa Glücka o szansę rozpoczęcia kariery w kuchni. Niemal od razu zrozumiał, że decyzja nie wynikała z dobrej woli Gottfrieda, ale z tego, że właściciel ujrzał w nim swojego zmarłego syna Antonia. Widział w nim odważnego i pewnego siebie mężczyznę, którym mogło stać się jego dziecko, o czym tak bardzo kiedyś marzył.



Tony również uległ czarowi Gottfrieda, którego traktował jak utraconego jeszcze w Kenii ojca. Właśnie z tego powodu okazywał mu szacunek i wypełniał wzorowo swoje obowiązki w kuchni, wkładając w oferowane gościom tapasy całe serce.

To dzięki Gottfriedowi, który podczas pobytu w Hiszpanii zaczerpnął tamtejszej kultury, wprowadzili do lokalu zwyczaj picia drinków i zakąszania ich małymi przekąskami, żeby goście zbyt szybko się nie upijali. Tony zrozumiał od razu, że jego największym wyzwaniem w kuchni Glücka było wyczarowanie na malutkich talerzykach takich dań, które stanowiłyby idealne uzupełnienie dla niezrównanego króla niekończących się w barze nocy: najlepszego gatunkowo piwa. Tapasy Tony'ego stały się znakiem rozpoznawczym lokalu, prawie tak samo charakterystycznym jak jego afro.

Niemym świadkiem powitania mężczyzn był siedzący zaraz obok Max. Patrzył, jak grube palce Gottfrieda z czułością oplatają czarną rękę Tony'ego. Może w innych okolicznościach Max zrobiłby wszystko, żeby otrzymać taki gest uznania, ale teraz, kiedy miał w kieszeni klucz do mieszkania Gottfrieda, było mu to obojętne. Czuł, że to on rozdaje karty.

Po krótkiej wymianie zdań z właścicielem Tony poszedł do kuchni za barem, pod schodami. Kiedy przechodził koło Valerii, wymienili czułe spojrzenia, a mężczyzna posłał jej dyskretnego buziaka, którego ona złapała palcami mokrymi od wina i soku z cytryny. Nieświadomy zdrady swojej ukochanej Tony zniknął za plastikową zasłoną z kolorowych taśm oddzielających świat drinków od świata talerzy. Valeria skierowała się do łazienki, żeby umyć ręce. Gottfried wziął ostatni łyk piwa i zostawił Maxa przy barze. Wszedł na antresolę tak szybko, jak pozwalała mu na to dna moczanowa. Nie chciał już więcej rozmawiać o Julii, bo szczerze nienawidził być z nią pokłócony.

## 22. Telefon

Max został sam przy barze, skazany na łaskę i niełaskę pierwszych klientów. Pod wpływem docierającego z kuchni zapachu ziół zdał sobie sprawę, że przez cały dzień nic nie jadł. Zapytał kelnera, jakie tapasy dzisiaj serwują – „Rwany kurczak w stylu prowansalskim. Niedługo będzie gotowy”. Zamówił dwie porcje. Przy jednym stole za jego plecami siedziała grupa przyjaciół relaksująca się przy drinku po całym dniu pracy. W głębi lokalu, na kanapie w kącie całowała się jakaś para. Glücka wypełniał blues.

Gottfried zbliżył się do malutkich okien wychodzących na rzekę Sihl. Przez szybę zobaczył przechodzącą przez most Julię. Chowiała nos w wysokim golfie, a ręce w kieszeni czarnej puchowej kurtki. Miała na sobie czerwoną czapkę, którą kupił jej na Boże Narodzenie. Stawiała szybkie kroki skulona w sobie, jakby szukając we własnym wnętrzu odrobiny ciepła. Ta postawa zdziwiła Gottfrieda, bo przecież kiedyś była tancerką. Właściciel Glücka pospieszył do sprzętu zmienić piosenkę: wybrał Bobby’ego „Blue” Blanda i jego *You or none*.

\* \* \*

Przyzwyczajona do zgadywania nastroju swojego partnera po wybieranych przez niego utworach Julia wyczuła skruchę, jak tylko przekroczyła próg lokalu. Jedwabisty głos Blanda kazał jej myśleć, że podjęła słuszną decyzję, wsiadając do tramwaju numer 14 zamiast autobusu jadącego do domu. Gottfried zachowywał się czasami jak dziecko, a ona nie miała w sobie za grosz instynktu macierzyńskiego. Z drugiej strony nie mogła zignorować szczególnej daty 13 stycznia.

Chociaż cieszyła się przywilejem dziewczyny szefa, który pozwalał jej zamówić drinka z jakiegokolwiek miejsca przy barze, wślizgnęła się w przestrzeń pomiędzy posągami Marii a rzeźbą Chrystusa i składając ręce w geście modlitwy, dała Valerii znać, że chce napić się kawy. Kelnerka natychmiast odszyfrowała jej życzenie

i poszła w kierunku ekspresu. Julia nawiązała w tym czasie rozmowę z opartym łokciami o bar i sączącym z butelki piwo Maxem. Zrzuciła z siebie płaszcz i położyła na wysokim taborecie. Doskonale zdając sobie sprawę, że jest obserwowana z góry, rozpuściła kok scenicznym ruchem ręki, a jej czarne długie włosy opadły na ramiona, układając się w uformowane wcześniej w spięciu fale. Potem podniosła brodę, kierując ją w stronę w antresoli i bezczelnie wbiła wzrok w Gottfrieda.

Jednym gestem ręki poprosił ją, żeby weszła na górę, ale odpowiedziała przecząco palcem wskazującym skierowanym na podłogę. On zaś złożył ręce w błagalnym geście. Julia wywróciła oczami, zostawiła swoje rzeczy pod opieką Maxa i zniechęcona weszła na górę. Kawa z mlekiem, którą przygotowała jej Valeria, została na barze, oczekując na jej pierwszy łyk.

– *You or none?* – prowokująco zapytała Julia.

– Właśnie tak – odpowiedział. – Cieszę się, że przyszłaś. Nie spodziewałem się, że się tutaj zjawisz.

– Wcale nie miałam zamiaru przychodzić, ale tramwaj przyjechał wcześniej niż autobus.

– Czyżby to był jakiś znak? – zasugerował Gottfried, patrząc na nią z ironicznym uśmiechem. Julia wzruszyła tylko ramionami.

– Być może – rzuciła, a potem od razu zaatakowała: – Kiedy zamierzałeś się do mnie odezwać?

– Przecież byłeś w pracy.

– To akurat nie byłby pierwszy raz, kiedy dzwonisz do mnie, gdy pracuję.

– Jak jesteś w pracy, nigdy nie odbierasz. Tak czy owak miałem zamiar pojechać do ciebie dzisiaj w nocy.

– Jasne. Teraz tak mówisz, bo właśnie...

– Chciałem do ciebie przyjechać, bo muszę ci coś powiedzieć – przerwał jej Gottfried. – Właśnie dlatego chciałem, żebyś przyszła do mnie na antresolę. Nie chcę, żeby Max usłyszał, o czym mówimy.

Zamilkła i przestała obstawać przy swojej nierozsądnej urazie, która zaczęła zanikać w miarę tego, im lepiej rozumiała wczorajsze zachowanie Gottfrieda.

– Wczoraj w nocy, zanim do mnie przyszłaś, odebrałem pewien telefon.

Nie miał zamiaru tłumaczyć jej wszystkiego, ale nie mógł też już dłużej ukrywać przed Julią sytuacji, która zaczynała go powoli przerastać. Nie powiedział jej o spadku po ojcu, bo nie chciał, żeby przejęła kontrolę nad sytuacją. Czasami naprawdę potrafiła upierać się przy swoim, zwłaszcza kiedy wyznaczała sobie określony cel, zaś Gottfried wolał uniknąć tego, żeby wzięła na siebie wypełnienie ostatniej woli Hermanna. To on chciał znaleźć właściciela płótna, które zaczęło przysparzać mu kłopotów, dlatego wybrał białe kłamstwo.

– Posiadanie baru niesie ze sobą wiele nieprzyjemności, a jeszcze więcej ich przysparza mój sposób zarządzania. Wiesz, że nie zawsze jestem dla wszystkich miły.

– Sprowadziłeś mnie tutaj, żeby oświadczyć, że nie potrafisz okazać krzty serdeczności innym ludziom?

– Julio, nie wsadź palca do otwartej rany, proszę cię. Chciałem powiedzieć, że bardzo żałuję tego, jak zachowałem się wczoraj w nocy.

– Prosisz mnie o wybaczenie?

– Proszę cię o wybaczenie.

– Poczekaj – powiedziała, wyciągając telefon z tylnej kieszeni dzinsów. – Muszę zapisać tę datę w kalendarzu.

Gottfried zaśmiał się z jej żartu i oboje się rozluźnili.

– No dobrze, opowiedz mi o tym telefonie – powiedziała spokojnie.

– To nie jest pierwszy taki telefon.

– Jak to? Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że od pewnego czasu jakiś mężczyzna mnie szantażuje. Już przyzwyczałem się do rozmawiania z takimi bałwanami jak on, wystarczy, że wyrzucę ich z Glücka, a oni już chcą mi odplacać pięknym za nadobne. Wcale się ich nie boję. Zazwyczaj to jakieś pijaczyny. Najpierw się puszą, ale potem nawet nie potrafią się bić.

– Jasne. Ale skoro już się tak bardzo do tego wszystkiego przyzwyczałeś, to po co mi o tym mówisz?

– Bo wczorajszy telefon to coś innego. Ten skurwysyn wspomniał o tobie.

Wczoraj nie wiedział, jak jej o tym powiedzieć. Mógł tylko na nią patrzeć, podziwiać ją, a złorzeczyć na tę łajzę, która odważyła się wymówić jej imię.

Zawładnął nim strach, bo zdał sobie sprawę, że nie przeżyje, jeśli coś stanie się Julii. Nie miał sił przejść jeszcze raz przez jakąkolwiek tragedię.

Na zewnątrz zaczął prószyć śnieg, co przykuło uwagę Gottfrieda. Z zagubionym wzrokiem patrzył, jak za oknem płatki śniegu powoli i jednostajnie opadają na powierzchnię rzeki, a potem znikają w jej wodach.

Wiedział, że tym razem nie chodziło o jakiegoś podrzędnego pijacznę. Był to bardzo inteligentny mężczyzna z jasno postawionym celem: miał zamiar za wszelką cenę wejść w posiadanie obrazu, który Gottfried odziedziczył po Hermannie.

## 23. Propozycja

Rozmowa Julii i Gottfrieda na antresoli trwała zaledwie kwadrans. Po wszystkim kobieta zeszła po schodach i zabrała swoje rzeczy.

Właśnie stawiano przed Maxem talerzyk z szarpanym kurczakiem, kiedy zobaczył schodzącą po schodach z gracją tancerki Julię. Już od dawna nie tańczyła, ale jej twarz wciąż promieniała młodzieńczą radością. Zapytał, czy się pogodzili. „Gdzie tam” – odparła Julia. Max próbował przez chwilę ją pocieszać, ale w ogóle mu to nie wychodziło. Wcześniej przygotowana dla niej kawa z mlekiem też nie poprawiła jej humoru. Nietknięta filiżanka wciąż stała na barze.

Gottfried został na górze i zajął się przez chwilę porządkowaniem drugiego baru na antresoli. Jeszcze nie było tam gości, bo tę część lokalu otwierali dopiero, gdy zapelniał się parter. Spojrzał na tak dobrze znane mu ściany i dekoracje wiszące na murach i belkach. Jedynie wybrane przez niego elementy mogły być ściągane i zastępowane nowymi. Czasami zostawały tam na zawsze, a czasami zaledwie na kilka dni. Wszystko zależało od nastroju Gottfrieda. Pośród nietykalnych klasyków znajdował się owalny czarno-biały portret w złotej ramie. Wisiał na potężnym filarze podtrzymującym sufit w tej części lokalu, gdzie zasiadał na swojej wieży obserwacyjnej. Gdyby ktokolwiek odważył się dotknąć fotografii, zostałby wyrzucony z Glücka bez żadnych wyjaśnień.

Zdjęcie przedstawiało uśmiechniętą parę stojącą przy drzwiach wejściowych do domu. Kobieta miała na sobie białą, skromną sukienkę, a nad karkiem upięty krótki, falujący na wietrze welon. W jednej ręce ścisnęła małe bukiet dzikich kwiatów ozdabiających również jej włosy, a drugą ścisnęła, cała rozpromieniona, ramię stojącego obok mężczyzny, który mimo wyraźnie znoszonego garnituru dumnie pozował do zdjęcia. To była jedyna fotografia, którą zachował po rodzicach. Świadek na ślubie Hermanna i Ady Messmer uwiecznił tę chwilę właśnie wtedy, kiedy Hermann złamał wszelkie zwyczajowe zasady dotyczące tej uroczystości i odebrał Adę spod jej domu. To były naprawdę ciężkie czasy. Z jednej strony frank powoli się umacniał po straszliwej dewaluacji, a mieszkańcy Zurychu

świętowali sukces wielkiej wystawy krajowej. Z drugiej natomiast strony państwo przygotowywało zbiory, żeby uniknąć problemów z zaopatrzeniem w perspektywie zbliżającego się konfliktu zbrojnego wywołanego tym, że Hitler na nowo zbroił Niemcy, przygotowując wprowadzenie nowego porządku na świecie. Ten portret ślubny był dowodem na to, że Ada i Hermann wierzyli w lepsze jutro, nawet jeśli nie byli w stanie wyobrazić sobie, co spotka ich w nieodległej przyszłości.

Obok obrazu nowożeńców można było dostrzec samotnie tkwiący w ścianie gwóźdź. Trudno było nie odnieść wrażenia, że czegoś tam brakuje. I istotnie, widniał tam ślad po namalowanym na płótnie pejzażu wielkości zwykłej pocztówki. Ta pusta przestrzeń nieustannie przypominała Gottfriedowi o niespełnionej woli ojca. Zwinięty w rulon i schowany wewnątrz drewnianej laski obraz został nielegalnie wprowadzony na terytorium Szwajcarii w 1942 roku i przez pięćdziesiąt lat przechowywany był w bankowej skrytce. Potem zawisł w kawiarni Glück, nie umykając uwadze dwóch jego gości: Maxa Müllera i Lucasa Steinera, malarza i reprezentującego go marszanda prowadzącego własną galerię sztuki.

Max zainteresował się pochodzeniem obrazu, a Gottfried zbywał go, stwierdzając, że odziedziczył go po rodzicach, bez wdawania się w żadne szczegóły. Lucas łaszczył się na obraz ze względów czysto finansowych, nie tracił bowiem żadnej okazji, żeby zarobić. Gottfried pamiętał doskonale rozmowę, która wywiązała się między nimi kilka tygodni wcześniej, kiedy Lucas zamawiał drinka przy barze na antresoli.

– Gottfried, myślałeś kiedyś o sprzedaży któregoś z obrazów z lokalu?

– To prezenty, Lucky. Nie są na sprzedaż.

– No dobrze, teraz tak mówisz, bo Glück to rentowny biznes. Jednak jeśli kiedykolwiek będziesz zainteresowany sprzedażą, po prostu do mnie zadzwoń. Masz tutaj kilka perełek.

– Tak? – westchnął Gottfried, nie okazując żadnego entuzjazmu. Nie potrafił zrozumieć, jak ludzie pokroju Markusa Kielholza i Lucasa Steinera mogą tak gorączkować się z powodu pieniędzy. Oczywiście mógłby sprzedać wszystko i poprawić saldo na swoim koncie, ale przecież nie mógłby udekorować ścian banknotami. Pieniądze nie są w stanie zastąpić wspomnień związanych z każdym z tych dzieł i przedmiotów ozdabiających bar.

Lucas zareagował na jego obojętność lekkim niedowierzaniem, ale na koniec uśmiechnął się do Gottfrieda.

– No przestań. Nie rób z siebie wariata. Już nie musisz udawać. Wiesz doskonale, że za niektóre obrazy dostałbyś krocie.

– Lepiej się nie zapędzaj.

– Ja mam się nie zapędzać? Lepiej popatrz na ten mały obraz wiszący obok ślubnej fotografii.

– Ten z lasem?

– Tak, ten. Precyzja, z jaką malarz skomponował paletę kolorów, jest godna pędzla prawdziwego mistrza. Obstawiałbym koniec XIX lub początek XX wieku. Musiałbym to sprawdzić. Skąd w ogóle go masz?

– To bardzo długa historia. Mogę powiedzieć ci tylko, że zaczyna się w Austrii.

– W Austrii? Właśnie wtedy żyli tam wybitni malarze. Nie trzeba wcale daleko szukać, wystarczy wspomnieć braci Klimtów, Ernsta i Gustava. Co by było, gdyby okazało się to jednym z ich dzieł?

– Gustav Klimt. Tak, oczywiście, a ten drugi obraz to Matisse – powiedział Gottfried, wskazując palcem plakat. – Weź się opanuj, Lucas. I nie pleć mi tu bzdur.

– Ale ja mówię na poważnie – nalegał galerzysta. – Klimt zaczął swoją karierę, malując na małych płótnach właśnie takie pejzaże przedstawiające okolice Wiednia. Wchodził na wzniesienie i wybierał kadr, spoglądając przy pomocy kartonika z wyciętą owalną ramą. Sam zobacz – powiedział, wskazując na środek obrazu. – Widzisz, że na dole widać nawet runo leśne? Malował to, co widział przez okienko w kartonie tak samo jakby patrzył przez dziurkę od klucza.

– No więc Klimt... Ha! Trzeba mieć nie po kolei w głowie...

Gottfried wrócił myślami do listu, który ojciec zostawił mu w skrytce bankowej wraz z drewnianą laską. Właśnie tam Hermann wyjaśniał, że obraz był cenny dla jego właściciela, chociaż Gottfried zrozumiał raczej, że chodziło bardziej o wartość sentymentalną niż rynkową.

– Słuchaj, nie mam już ochoty na jakieś głupie żarty: chyba coś ci się w głowie pomieszało, ale przyjmijmy, że na ścianie naprzeciwko nas wisi Klimt. Ile byś mi za niego dał?

– Czy aby przed chwilą nie zarzekałeś się, że obraz nie jest na sprzedaż?



- Nie zachowuj się jak palant, Lucky.
- Ja nie mógłbym ci za niego zapłacić, bo nie mam takiego kapitału. Ale jeśli to naprawdę byłby Klimt, mogliby ci za niego dać 150 tysięcy franków. Albo nawet i więcej!
- Jasna cholera!
- Co? Teraz zaczęło cię to interesować?
- Nie, nie obchodzi mnie to. I nawet gdybym był zainteresowany, to nie mogę go sprzedać. Tak naprawdę jestem nędznym powiernikiem tego obrazu. To swojego rodzaju spuścizna po moim ojcu.
- Co to ma znaczyć, że to pewnego rodzaju spuścizna?
- Że tak naprawdę nie jest moją własnością.
- Jak to: nie jest twoją własnością?
- Już ci wcześniej tłumaczyłem, że to dość długa historia.
- W takim razie jeśli nie należy do ciebie, to do kogo?
- Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć, ale nie mam pojęcia, jak, do cholery, miałbym się do tego zabrać. Chociaż, jeśli chcesz, możesz mi pomóc w poszukiwaniach. Na pewno wiesz lepiej niż ja, gdzie zacząć śledztwo.

\* \* \*

Gottfried mówił wówczas na poważnie, ale od tamtej chwili minął już ponad miesiąc, a właściciel galerii nie dawał żadnych znaków życia. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że ten malutki obraz mógłby być tyle wart. Płótno wywoływało w nim uczucie niepokoju. Czasami miał nawet wrażenie, że go przytłacza. Rodzice nigdy nie powiedzieli mu o jego istnieniu, a tymczasem jest to jedyna rzecz, która mu po nich została, nie licząc zdjęcia ze ślubu. Ada i Hermann, Hermann i Ada. Gottfried nie zachował w pamięci prawie żadnych wspomnień o ojcu, oprócz tego, co opowiedziała mu matka. A teraz kilka telefonów miało podać w wątpliwość kryształową biografię ojca, której nauczył się jak pacierza, będąc jeszcze małym dzieckiem.

Słyszał, jak kilka metrów pod nim muzyka i rozmowy prowadzone w Glücku zaczynały przybierać na sile. Do jego uszu dochodził brzęk wznoszących toast kieliszków, śmiechu, pojedynczych słów uchwyconych w locie, które w jakiś

sposób definiowały osoby odwiedzające jego bar: „Dobry film”, „Kiepski etap w życiu osobistym”, „Cóż to był za koncert”, „Narty”, „Bardzo fajny”, „Powerpoint”. Była prawie północ, kiedy wreszcie zszedł po schodach. Wyglądał na zmęczonego, ale poruszał nogami na tyle, na ile umożliwiała mu choroba. Wyciągnął wierzchnie ubranie z szatni dla pracowników i zanurzył się w wilgotnym zuryskim mrozie, nie żegnając się z nikim. Cienka warstwa lodu pokrywała zaparkowane samochody. Metaliczna woń Sihlu, którą skatalogował w swojej bibliotece zapachów już w dzieciństwie, towarzyszyła mu nawet, gdy przekroczył już most. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu Julii. Obiecała, że będzie na niego czekać i nie położy się spać, więc Gottfried żywił nadzieję, że pomimo bólu głowy, o którym powiedziała mu wcześniej, uda jej się wygrać walkę ze zmęczeniem.

## 24. Zdrada

Kiedy Gottfried wyszedł z baru, Max wypił ostatni łyk ciepłego już piwa. Przytrzymał butelkę małym palcem. Złoty znaczek na etykiecie błyszczał, odbijając światło małej, wiszącej tuż nad nim żarówki. W tym oświetleniu wydawał się przygnębiony. Dałby się teraz zabić za chociażby jednego papierosa. Zostawił napiwek na barze i wyszedł z Glücka, nie żegnając się z Valerią. Zresztą dziewczyna i tak udawała zajętą.

Z kluczem do mieszkania Gottfrieda w kieszeni malarz wyczekiwał okazji, żeby go użyć, a tymczasem los się do niego uśmiechnął, bo sposobność nadarzyła się niecałe dwadzieścia cztery godziny po tym, jak wszedł w posiadanie klucza. Czuł niesamowitą satysfakcję, wiedząc, że ten mały metalowy wyszczerbiony przedmiot dawał mu pewnego rodzaju przewagę nad osobą, którą tak wielu nazywało bogiem.

Poprzedniego dnia po skończonej zmianie Valeria i Max pili drinki, najpierw sam na sam, a potem wraz z członkami zespołu, aż do samego rana.

– Ostatnia kolejka, Valerio? – zapytał perkusista, ziewając i opierając się o bar. Siedząca koło niego kelnerka bujała się mocno na wysokim taborecie. Nie wyglądało to na zbyt bezpieczne manewry.

– Uff... Chyba spasuję. Wydaje mi się, że już mi na dzisiaj wystarczy.

Na ziemi kłębiły się śmieci po szalonej nocy, a wilgotne, przesiąknięte potem i alkoholem powietrze stało w miejscu.

– Pomóż mi zejść z tego badziewia, Max – poprosiła go nieoczekiwanie Valeria.  
– Chcę pójść już do domu.

– A kto zamknie bar? – zapytał chłopak.

– Nie ja. Nie mogę dzisiaj. Niech Eric zamknie. Zaraz dam mu klucz. Jutro pogadam o tym z Gottfriedem.

Max złapał ją w pasie i pomógł postawić nogi na ziemi, chociaż i jemu było dość trudno utrzymać równowagę. Ciepło bijące od ciała Valerii obudziło w nim dawno

drzemiące pokusy i fantazje, o których nigdy nikomu nie powiedział. Co prawda była dziewczyną Tony'ego, ale jego tam nie było.

– Odprowadzę cię – powiedział, obejmując ją ramieniem. Z kolei ona złapała go za rękę.

Zaciągnięcie jej z baru do swojego domu na ulicy Zurlinden nie należało do łatwych zadań, chociaż znajdował się on o wiele bliżej niż jej mieszkanie. Malarz widział wszystko jak za mgłą, a ona ledwo stała na nogach. Podobało mu się, że bez skrępowania opierała się na jego ramieniu, podczas gdy on pomagał jej stawiać kolejne kroki na śniegu.

Kiedy Max otwierał bramę, Valeria raptem pocałowała go w policzek. Był to równie zaskakujący, co wyczekiwany przez Maxa zbieg okoliczności. On odwzajemnił jej pocałunek, zbliżając swoje spękane od mrozu usta do jej warg. W windzie stopili się w namiętym uścisku. Po przekroczeniu progu mieszkania Max podszedł z nią do kanapy.

– Jestem mega pijana, Max – powiedziała, leżąc pośród starych skórzanych poduszek.

– Ja też – przyznał się, odbierając jej torebkę, po czym przeprosił ją na chwilę, żeby zdjąć kurtkę. Stojąc przy wieszaku, zauważył, że jego koleżanka ściągnęła z siebie szalik i skórzaną kurtkę, ale musiał jej pomóc, kiedy ściągała z siebie sweter. Potem pozbyli się resztek ubrań, aż w końcu stanęli przed sobą zupełnie nadszy. Wtulili się w siebie. Max pieścił jej krągłości z zamilowaniem garncarza tworzącego nowe dzieło, a tymczasem ona pozwalała mu się wszędzie dotykać. Miała zamknięte oczy. Wyszepiała imię swojego chłopaka, ale Max udął, że tego nie słyszy, żeby utrzymać i tak osłabioną przez alkohol erekcję. Ściągnął czapkę i okulary, a Valeria głaskała go po włosach, plecach i pośladkach. Splatali zapalczywie swoje palce, szukali się niecierpliwymi dłońmi i całowali spragnioną czułości skórę. Krótkie oddechy, szepty i wymiana płynów – scena autentycznej miłości fizycznej, będąca owocem nieprawdziwego pożądania zakrapianego absolutem. Valeria doszła wcześniej. On natychmiast po niej. Cały ten czas współzawodniczył z Tonym, o którym nie mógł przestać myśleć.

– Pójdę na chwilę do łazienki – powiedział Max, kiedy skończyli. Rozłożona na kanapie Valeria nic nie odpowiedziała. Nie otworzyła nawet oczu. Zabrał ze sobą jej torebkę, którą wcześniej rzuciła na podłogę. Pęk kluczy, którego szukał, znalazł

w wewnętrznej kieszonce. Pomyślał, że musiałby sprawdzić je wszystkie, żeby dowiedzieć się, który pasuje do zamka w drzwiach Gottfrieda.

Wrócił na kanapę, schował klucze pod jedną z poduszek i położył głowę na brzuchu Valerii, rozkoszując się zapachem swojej spermy na jej ciele, po czym zasnął na jej ciepłej skórze.

## 25. Wina

Już niewiele brakowało do świtu, gdy Valeria wróciła do swojego mieszkania. Przestał padać śnieg, chociaż ona i tak wiedziała, że ze strony złej pogody to tylko chwilowy rozejm. Wciąż struta mieszanką różnych alkoholi ledwo była w stanie powstrzymać nudności, za pomocą których jej ciało próbowało się z nich oczyścić. Skoro nie mogła pozbyć się toksyn z krwi, to przynajmniej upominał się o to jej żołądek.

Piętnaście minut wcześniej obudziła się naga. W pamięci miała jedną ogromną dziurę, a żołądek przypominał wirującą pralkę. Nie potrafiła zrozumieć, w jaki sposób znalazła się w tych okolicznościach. Dlaczego siedziała w mieszkaniu Maxa? Nagi, chrapiący malarz leżał obok niej na kanapie w kolorze whisky.

Ubrania ich obojga leżały porozrzucone byle jak na oparciu sofy. Czując się obserwowana, Valeria szybko się ubrała i wyszła z mieszkania, modląc się, żeby Max nie otworzył wcześniej oczu. Pragnęła sama chronologicznie odtworzyć wydarzenia zeszłej nocy, zanim zostanie skonfrontowana z wersją kogoś innego.

Na szczęście Tony miał wolne, kiedy w Glücku grano koncerty, a Valeria była pewna, że w barze do niczego nie doszło. Co najwyżej Max w trakcie jakiejś absurdalnej gry mógł jakoś nieopatrznie gdzieś ją dotknąć, kiedy pili z tego samego kieliszka. Propozycja nie mogła wyjść od niej, ale nie odmówiła chłopakowi. Był tylko jej kolegą. Przez chwilę przeszło jej przez myśl, że mógł chcieć ją upić. „Co za bzdury – powiedziała sama do siebie. – Jestem za dużą dziewczynką, żeby ktokolwiek mógł mnie upić”. Przynęła sobie, że już nigdy więcej nie tknie wódki. Albo nawet lepiej: przez jakiś czas nie tknie w ogóle alkoholu.

\* \* \*

Zaspany Tony otworzył jej drzwi. Właśnie miał zamiar zapytać, dlaczego nie użyła własnych kluczy, ale odgrodziła się od niego szybkim ruchem ręki i natychmiast

pobiegła do łazienki, w tym samym czasie ściągnając z siebie szalik. Nie zdążyła jednak zdjąć kurtki. Złapała się muszli klozetowej, nie będąc dłużej w stanie zatrzymać w sobie koktajlu najróżniejszych alkoholi wypełniających jej żołądek. Walczyła też z ogromnym poczuciem winy. Zdradziła Tony'ego i nawet nie wiedziała, jak i dlaczego do tego doszło. Ostatnią rzeczą, którą była w stanie sobie przypomnieć, było to, że nagle poczuła się bardzo pijana, a Max zaproponował, że odprowadzi ją do domu.

Zwymiotowała, a potem próbowała stanąć niepewnie o własnych siłach, ale musiała trzymać się spluczki, żeby nie upaść. Kiedy udało jej się wyprostować nogi, rozebrała się, zostawiając ubrania na ziemi, a później weszła pod prysznic. Włożyła głowę pod lodowaty strumień wody w nadziei, że ją to obudzi. Jej białą skórę na plecach przeszedł gwałtowny dreszcz, tak że musiała zdusić w sobie krzyk, kiedy woda dotarła już do jej stóp. Bez namysłu namydliła całe ciało i dopiero wtedy puściła ciepłą wodę. Usiadła w brodziku i patrzyła bezmyślnie w odpływ, marząc, żeby wraz ze znikającymi tam mydlinami opuściło ją poczucie winy. Nie wiedziała, co dokładnie się wydarzyło, ale była pewna, że to się nigdy nie powtórzy. Tony jej ufał i chciała, żeby nadal tak było. Nie miała prawa zapaskudzić jego głowy tym gównem i zniszczyć jego marzeń. Zdradziła go i musiała przyjąć tę winę na siebie. Jej związek z Tonym znaczył dla niej zbyt wiele, żeby wyrzucić mu krzywdę czymś, czego nawet dobrze nie pamiętała. Skoro tego nie pamiętała, być może mogłaby żyć, jakby to się nigdy nie wydarzyło.

– To chyba była bardzo długa noc, co? – zapytał ją Tony ze zrozumieniem w głosie.

Ona odetchnęła głośno, zanim odparła:

– Nawet nie wyobrażasz sobie jak długa.

Potem wślizgnęła się pod kołdrę, wyczekując, aż Tony utuli ją do snu w swoich ogromnych ramionach, po czym ona zapadnie w głęboki sen.

\* \* \*

Obudzili się późnym popołudniem, wtuleni w siebie, ale wypuścili się z ramion dopiero po kolejnej godzinie, kiedy po namiętym seksie, spoceni i zestresowani zbliżającymi się obowiązkami zawodowymi, postanowili opuścić futon i zacząć dzień, chociaż była już praktycznie noc.

Valeria ubrała się i poszła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę; nie mogła jeszcze niczego zjeść. Kilka minut później w pomieszczeniu pojawił się Tony.

– Wszystko dobrze, Val? – zapytał. – Wyglądałaś, jakbyś myślami była gdzieś zupełnie indziej.

– Za dużo wypiałam – utrzymywała. – Mam kaca.

– Możesz coś na to wziąć? Jakies leki przeciwbólowe?

– Zaraz mi przejdzie. Nie martw się o mnie. Daj mi wypić herbatę, wykąpiemy się i potem wyjdziemy razem z domu. Chcesz herbatę?

– Nie, nie mam ochoty. Dzięki. Tak naprawdę to wolałbym się przed pracą wykapać u siebie. Tańczyłem w Moods całą noc i ubrania mi nieładzko śmierdzą.

Valeria podeszła do niego i przyznała rację, marszcząc nos w geście udawanego obrzydzenia.

– Mogłeś wykapać się tutaj wczoraj w nocy – zauważyła. – Teraz chyba już rozumiesz, dlaczego byłam myślami zupełnie gdzieś indziej – zażartowała, próbując dosięgnąć mięsistych ust Tony'ego. W tym samym momencie on pochylił się i dosięgnął jej warg. Valeria zamknęła oczy, żeby nie spotkać jego spojrzenia, a potem odprowadziła go do drzwi.

– Widzimy się niedługo – powiedział. Jednak zanim zamknęła za nim drzwi, Tony zawrócił i rzucił jej jedno pytanie.

– Póki jeszcze pamiętam, chciałem zapytać, dlaczego zadzwoniłaś dzisiaj rano dzwonkiem do drzwi.

– Nie mogłam znaleźć kluczy – odpowiedziała Valeria. – Chyba zostawiłam je w Glücku.

– Chcesz moje?

– Nie przejmuj się. Zatrzasnę drzwi, jak będę wychodzić.



## 26. Furia

Kiedy Max się obudził, intensywne białe światło zalewało jego salon. Valeria zniknęła, a on nie miał pojęcia, kiedy to się stało. Zaczął szukać okularów. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy je zdjął, ani gdzie je zostawił. W końcu znalazł je na podłodze obok kanapy. Potem włożył dłoń pod poduszkę i uśmiechnął się, kiedy pod palcami poczuł breloczek. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście: Valeria zaznaczyła klucz do mieszkania Gottfrieda jego czteroliterowym przezwiskiem: Gott. Dzięki temu nie musiał sprawdzać każdego klucza z osobna. Postanowił, że zrobi kopię przed pójściem do studia, a wieczorem w kawiarni zwróci klucze ich właścicielce.

Nie zwracając uwagi na spiętrzone na oparciu kanapy ubrania, zerwał się na równe nogi i poszedł do pokoju, żeby się ubrać. Przepelniające go podekscytowanie wyparło całkowicie kaca. Wiszący na ścianie elektroniczny kalendarz przypominał mu dzisiejszą datę: 13 stycznia.

Wrócił do salonu, bo tam właśnie leżała czapka, jego znak rozpoznawczy i jeden z nielicznych otrzymanych od ojca prezentów. Podniósł ją z ziemi. Była wyblakła i nieco wytarta, ale gdy nie miał jej na sobie, nie czuł się sobą. Zrobił sobie mocną kawę, którą wypił szybkimi łykami. Spieszył się do pracowni: czuł inspirację i był pewien, że resztę dnia spędzi, pracując nad płótnem, które miał właśnie skończyć.

\* \* \*

Kiedy przechodził przez Idaplatz, towarzyszyły mu gitarowe akordy. Dźwięk dochodził z jednego ze starych budynków otaczających mały plac. Max zauważył tam jedno szeroko otwarte mimo obezwładniającego zimna okno, z którego dochodziła muzyka. Można było odnieść wrażenie, że temperatura nie przeszkadza świętującym miłośnikom nocnych imprez, ponieważ cały chodnik był zasłany pustymi puszkami po piwie. Już dawno zdał sobie sprawę z tego, że nastroje w mieście drastycznie się zmieniły. Gottfried nie był zachwycony, że

Wiedikon staje się modną dzielnicą Zurychu. Nie życzył sobie kolejnego wzrostu czynszu. Max zatrzymał się, żeby kupić papierosy w kiosku, a potem poszedł w kierunku malarskiego studia.

Stare drzwi do jego lokum tuż przy Idaplatz nie zamykały się zbyt dobrze, dlatego Max musiał je mocno popchnąć, żeby wreszcie ustąpiły. Usłyszawszy ostry trzask, zobaczył, że przy zamku wypadł kawałek futryny. „Niech to szlag trafi. Znowu będę musiał zadzwonić po stolarza – wymamrotał. – Jakbym spał na pieniądzech!”.

To samo śnieżnobiałe światło, które obudziło go zaledwie godzinę wcześniej, wypełniało pomieszczenie. Wszędzie pachniało rozpuszczalnikiem i tytoniem. Stary wieszak na ubrania w stylu Thoneta, leżący na podłodze materac, małeńka kuchnia i drewniana deska oparta na dwóch żelaznych kozłach pełniąca funkcję stołu stanowiły całe wyposażenie pracowni. Na blacie, ale także wszędzie na podłodze rozciągał się chaos pędzli, butelek, tub, szmat, papierów, płyt kompaktowych i wszelkiego rodzaju narzędzi. Natomiast prace Maxa stały oparte o ścianę w idealnym porządku, jakby sprzeciwiając się swojej ekspresyjnej naturze i tworząc harmonijną, przynajmniej na pierwszy rzut oka, kolekcję. Tylko jedno dzieło spoczywało na podłodze, na samym środku studia, przykryte prześcieradłem w trudnym do określenia kolorze.

Max włączył ogrzewanie i powiesił kurtkę na jednym z ramion secesyjnego wieszaka. Jego kombinezon wisiał obok. Postanowił włożyć go na ubranie, dopóki się nie rozgrzeje. Potem zamienił swoje grube skórzane buty na stare adidasy, których używał do pracy, i zaczął szukać płyty Rammsteina. Play. Dziesięć sekund syntezatora ustąpiło miejsca nieokiełznanemu brzmieniu gitary elektrycznej w utworze *Feuer Frei!* Chciał przetestować moc niepozornych i strategicznie rozmieszczonych w każdym rogu studia głośników. Otoczony ochrypłymi wokalami i wystrzałami Max potrząsał energicznie głową w rytm muzyki, równocześnie ściągając prześcieradło zakrywające leżące na podłodze płótno. Później postawił je w pionie i oparł o jedyną wolną ścianę. Stał na rozkładanej drabinie w niewielkiej odległości od obrazu, żeby móc przyjrzeć się z bliska wysokiemu na prawie dwa i pół metra i szerokiemu na ponad metr materiałowi, którego nie dotykał od dwóch dni. Zadowolony uśmiechnął się z góry. Niewiele brakowało, żeby skończył dzieło.

Zaczynał ten obraz trzy razy. Za każdym razem w bardzo odmiennym od poprzedniego nastroju. Nakładał poprawki w nieskończoność. Grubość nałożonej farby zaczynała utrudniać korekty, ale nadawała obrazowi fakturę. Wierzył, że właśnie to zachwyci krytyków sztuki. W górnej części kompozycji dominowały odcienie piasku i krwi nakładane szorstkimi pociągnięciami farb akrylowych, natomiast w dolnej części królowały czernie i fiolety tworzące jakby ciemną studnię. Mroczna plama sprawiała wrażenie odrębnego obrazu i momentalnie przyciągała wzrok każdej patrzącej osoby. Gwałtowność linii z pewnością mogła budzić u odbiorcy niepokój, z kolei wertykalność obrazu onieśmiała, przytłaczając obserwatora. Tak jakby stało się u podnóża drapacza chmur i patrzyło na gnane wiatrem chmury.

Rammstein katował jasne studio swoim ponurym, wypływającym z głośników gniewem. Max zszedł po drabinie z zamiarem przygotowania pędzli do dalszej pracy, ale gdy podszedł do stołu, jego wzrok padł na pistolet do tapicerowania, którego używał do montażu ram. Podniósł narzędzie, włożył nowy ładunek i pociągnął za spust, celując w ramę raz za razem, bezlitośnie, jakby opętany. Gwoździe przebiły się bez szwanku przez osnowę tkaniny i utkwily w drewnianym krzyżaku. Wiedziony muzyką Max strzelał bez wytchnienia ze swojego zaimprovizowanego karabinu maszynowego, ogarniając wzrokiem ramę obrazu. Potem wycelował niżej i nawet się nie wahając, naszpikował najciemniejszy obszar płótna metalowymi gwoździami. Kiedy wreszcie opuścił broń, adrenalina wrzała w jego wnętrzu jak magma wylewająca się z krateru wulkanu. Chwycił gwałtownie tubkę z czarną farbą akrylową, wycisnął ją sobie na dłoń i wykrzykując na głos jedno słowo, wypisał je na brzegu obrazu wielkimi literami: FURIA.

Dzieło zostało ukończone.

Strzepnął z rąk farbę, która rozprysła się obficie po podłodze. Poszedł umyć ręce. Z mokrymi dłońmi przeszedł do kuchni, nalał do plastikowego kubka trochę burbona i opadł swobodnie na materac, którego używał, kiedy potrzebował czasami odpocząć, zwłaszcza w nocy męczony bezsennością.

Zapalił papierosa, później drugiego, przez cały czas z zadowoleniem kontemplując zmalretowane płótno. Opróżniwszy kubek, w końcu wstał i zaczął odwracać po kolei oparte o ścianę dzieła. Kiedy wreszcie odwrócił ostatni obraz, nabrał pewności, że seria, nad którą spędził ostatnie pięć lat swojego życia, jest

kompletna. Artysta Max Müller znowu wracał na salony i był gotowy na kolejną wystawę.

– Müller, co masz mi, skurczybyku, do powiedzenia?

– Lucas, mam to. Albo nawet lepiej: mam je wszystkie. Skończyłem całą serię. Szczeka ci opadnie, jak ją zobaczysz.

## 27. Lucas

Kilka przecnic od pracowni Maxa Lucas Steiner obracał między palcami długopis i triumfalnie się uśmiechał. Siedział w imponującym fotelu w biurze w galerii sztuki, którą prowadził na Zentralstrasse, i tylko trzymany w ręku telefon powstrzymywał go przed zwycięskim potarciem dłoni. Ukończona przez Maxa seria pojawiła się bowiem w najlepszym dla niego momencie, jako że artysta był dla niego pewną kartą, którą on musiał niezwłocznie zagrać, aby poprawić stan konta galerii i wciąż móc się z niej utrzymywać.

Lucas Steiner, dla klientów i znajomych: Lucky, wyemigrował do Zurychu z Nowego Jorku dziesięć lat temu. Dzięki niemu zamknęło się koło losu, ponieważ dziadkowie ze strony matki sto lat wcześniej wyruszyli w dokładnie przeciwnym kierunku. To im zawdzięczał kultywowanie tradycji i poszanowanie języka, dlatego też dla dwujęzycznego od najmłodszych lat Lucasa niemiecki nie był przeszkodą, gdy podjął decyzję o zamieszkaniu w Szwajcarii.

Niemal natychmiast zorientował się, że na tutejszym rynku dzieł sztuki warunkiem koniecznym jest rodzime nazwisko umożliwiające zapukanie do niektórych ważnych drzwi, a co ważniejsze, może i nawet ich otwarcie. Aby to osiągnąć, wystarczyły trzy miesiące zalotów: tyle czasu zajęło Lucasowi Guestowi, mężczyźnie o imponującej sylwetce, biegle posługującemu się niemieckim, żeby oświadczyć się Myriam Steiner, pracownicze banku, która dostrzegła w Amerykaninie egzotykę brakującą w jej nudnym życiu.

Związek trwał akurat na tyle długo, żeby Lucas ulokował swoje szwajcarskie nazwisko w nazwie galerii. Choć małżeństwo nie skończyło się zbyt dobrze, z biegiem czasu zostali z Myriam przyjaciółmi. Koniec końców oboje byli reprezentantami dwóch bardzo bliskich sobie światów: pieniądza i sztuki. Myriam zaczęła swoje życie na nowo. Niestety nie można było powiedzieć tego samego o Lucasie. Oprócz starego Gabriela Barona, jego najlepszego klienta wiernego mu jeszcze od czasów galerii w Nowym Jorku, jego najdłuższym związkiem była przyjaźń z Maxem – choć tak naprawdę był to czysto biznesowy układ.

Po drugiej stronie telefonu malarz małymi łykami popijał coś, co Lucas wyobrażał sobie jako jego alkoholowe śniadanie. Chociaż Max wypowiedział zaledwie cztery zdania, wszystkie były dość bełkotliwe.

– Max, jest jedenasta rano. Lepiej utwierdź mnie w przekonaniu, że to, co pijesz, to kawa.

Artysta zaśmiał się łobuzersko w głos, ciesząc się, że został zdemaskowany.

– Naprawdę myślisz, że będę świętował zakończenie pięcioletniego cyklu pracy przy filizance kawy? – zapytał i ponownie się zaśmiał. – Nie, Lucky. To burbon. Bez żadnego dodatku. Piję go ze wstrętnego, plastikowego kubka.

Przyzwyczajony do alkoholowych wybryków Maxa właściciel galerii postanowił dopasować się do jego zasad gry.

– I myślisz, że wolno ci się upijać samemu?

Max nie wiedział, jak zareagować na to pytanie. Wiele lat temu świętował sukces ostatniej wystawy w kawiarni Glück, kiedy Gottfried ją właśnie otworzył. Tam spotkał Valerię. Był pewien, że za ich ostatnią szaloną noc był odpowiedzialny alkohol; jednak sama myśl o dziewczynie napelniała go melancholią. Zamiast odpowiedzieć na pytanie wołał porzucić grzeczności i przejść do jedyne go tematu, którym był zainteresowany Lucas.

– *Furia*, Lucky. To tytuł mojego ostatniego obrazu i taki będzie też tytuł całej wystawy.

– Podoba mi się – odpowiedział właściciel galerii z aprobatą. – Ale mam jeden pomysł. Lepiej nie wypijaj całego alkoholu. Zostaw też coś dla mnie. Jesteś w studiu?

– A gdzie indziej mógłbym być?

– To poczekaj tam na mnie. Chcę, żebyś mi wszystko dokładnie pokazał.

Potem odłożył słuchawkę, chwycił płaszcz i kapelusz, po czym wyszedł z biura tak szybko, jak pozwalała na to jego tusza. Nawet nie zatrzymał się, żeby zgasić światło. Spowity lodem chodnik zmusił go do zmniejszenia tempa: nie miał zamiaru skrócić sobie karku akurat wtedy, gdy zaczynały wiać pomyslnie dla niego wiatry.

\* \* \*

Pracownię Maxa od galerii Lucasa dzieliło zaledwie dziesięć minut spaceru. Skręcając w róg Gertrudstrasse, usłyszał dudniącą muzykę dobiegającą ze studia malarza. Jak tylko Max zdał sobie sprawę, że właściciel galerii przyszedł w odwiedziny, ściszył muzykę do znośnego poziomu i zabrał się za rozlewanie burbona.

– Od kiedy pracujesz przy otwartych drzwiach? – zapytał na dzień dobry Lucas.

– Zaczynały się, a dzisiaj rano szarpnąłem nimi za mocno. Chyba je zepsułem. Muszę zadzwonić do stolarza – odpowiedział Max. Natychmiast wskazał obraz oparty o pustą ścianę. Uśmiech świadczący o stanie między samozadowoleniem a delirium zdradzał ilość wypitego na pusty żołądek alkoholu. Zupełnie jakby był niepotrafiącym zapanować nad emocjami chłopcem oczekującym na prezent.

Lucas przeszedł kilka kroków przed siebie i nie ściągając płaszcza ani kapelusza, stanął przed niedawno ukończonym dziełem. Przesunął pulchnymi palcami po główkach gwoździ, starając się nie naruszyć farby. Z boku płótna widniało jeszcze mokre słowo FURIA. Chwilę potem Lucas wspiał się kilka stopni po skrzypiącej przy każdym jego kroku drabinie. Kiedy stanął już na samej górze, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– A skąd wzięła się u ciebie taka furia, Max? – odważył się zapytać, wskazując na słowo zapisane z brzegu płótna.

## 28. *Las w ciszy*

Max nie potrafił ująć w kilku słowach, w jaki sposób narastała w nim złość. Po prostu czuł ją przez całe życie. Być może była to wina ojca, który uparcie powtarzał, że żyją poniżej jego oczekiwań, ponieważ odebrano im szansę na lepsze życie. Jeden konkretny powód wzbierającej w Maksie furii był mu jednak doskonale znany i było nim małe płótno wiszące w Glücku. Obraz, który, był tego prawie pewien, należał do niego. Musiał to tylko udowodnić.

Spędził z Lucasem większość dnia. Przez ten czas nic nie zjedli, ale wypili za to dwie butelki burbona. Zza firan przedzierał się już półmrok, a w powietrzu zawisło wcześniej zadane przez Lucasa pytanie: skąd w Maksie tyle złości, wręcz furii?

– Chodź ze mną do Glücka – rzucił niespodziewanie malarz do właściciela galerii. – Chciałbym ci coś pokazać.

Potem natychmiast odwrócił się do niego plecami, podszedł do wieszaka i zdjął kombinezon roboczy. Czuć było od niego potem, ale wcale nie miał teraz zamiaru zawracać sobie głowy kąpielą. Chciał dostać się do Glücka przed Gottfriedem, który miał pojawić się w barze dopiero przed rozpoczęciem nocnej zmiany. Wiedział, że ta informacja była więcej niż pewna: był 13 stycznia. Właściciel miał wstąpić do baru dopiero w drodze powrotnej z Fluntern.

Lucas nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Nie miał ochoty już więcej pić, ale przede wszystkim nie miał ochoty spotkać się z Gottfriedem. Kiedy widzieli się po raz ostatni, Lucas przedstawił mu konkretną propozycję, na którą właściciel kawiarni w żaden sposób nie zareagował. Najwidoczniej nie miał zamiaru przyjąć jego oferty. Jeśli nie rwał się do rozmowy o interesach, on też nie miał żadnego tematu do rozmowy, dlatego szybko wymówił się pierwszą rzeczą, jaka przyszła mu do głowy:

– Nie mogę teraz pójść do Glücka. Muszę wrócić do galerii. Zostawiłem zapalone wszystkie światła, a zbliża się godzina zamknięcia. Ty zresztą też nie powinieneś tam iść. Chyba wystarczy ci już burbona.



Max chciał ukryć poirytowanie, ale na twarzy zarysował mu się grymas złości. Zamiast nalegać, żeby Lucas poszedł z nim do baru, podszedł do stołu i zaczął grzebać w rozrzuconych tam rzeczach. Niewiele później wrócił do Lucasa ze zdjęciem w dłoni. Było to zdjęcie zrobione w kawiarni przedstawiające tamto płótno. Jesienny pejzaż obrazujący środkowoeuropejski las z wysokimi drzewami i krzewami. Z pewnością była to scena uchwycona późnym latem. Miodowe liście pokrywały ziemię, lecz wierzchołki drzew były nadal w przeważającej części soczyście zielone. Drzewa rozgałęziały się na stromym zboczu, torując sobie drogę do światła. Słońce przebijało się przez konary i oświetlało wnętrze lasu, ale przedstawioną na pierwszym planie roślinność skrywał mrok. Autor tej pracy musiał wybrać i namalować scenę, stojąc na podwyższeniu, przez co można odnieść wrażenie, że kieruje wzrok odbiorcy w dół. Ciemny, pionowy pień dzielił obraz na dwie równe części. Pociągnięcia pędzlem artysty były krótkie i zdecydowane, można było w nich dostrzec niezwykłą precyzję w odwzorowaniu tonów i światłocienia. Nie było żadnych wątpliwości: płótno musiało wyjść spod ręki mistrza. Brak jakichkolwiek śladów, obecności zwierząt czy ludzi czynił z malarza intruza, a odbiorcę – świadkiem tego wtargnięcia. W lesie nie śpiewały ptaki, nie było owadów, a wiatr nie poruszał liśćmi. Czas stanął w miejscu. Bezruch był równie niepokojący, jak cisza, z jaką płatki śniegu spadały na ziemię po drugiej stronie okna.

– Co to jest? – zapytał Lucas, udając, że widzi obraz po raz pierwszy. Przez chwilę poczuł strach. Bał się, że pomyślnie wiatry, które zaczęły wiać dla niego tego ranka, nagle przerodzą się w niosący zniszczenie huragan. Musiał działać bardzo ostrożnie.

– Obraz.

– To akurat widzę.

– Czy wiesz, co to za obraz?

– Nie. A powinienem wiedzieć?

– Pochodzi z XIX wieku, Lucas. To chyba okres, w którym się specjalizujesz.

– Specjalizowałem, zanim zamieszkałem w Szwajcarii.

– Wiem, ale chyba nie chcesz mi wmówić, że zapomniałeś wszystko, czego nauczyłeś się na studiach?

– No, oczywiście, że nie. Ale żeby powiedzieć ci coś więcej, musiałbym zobaczyć oryginał. Gdzie znajduje się ten obraz?

– To dobre pytanie. Wcześniej wisiał w Glücku, ale już go tam nie znajdziesz. Gottfried go zdjął.

– Niech się temu lepiej przyjrzę... – zaczął Lucas, biorąc zdjęcie do ręki. – Nie widząc oryginału, mogę powiedzieć, że tak jak słusznie podejrzewasz, obraz pochodzi z XIX wieku lub z początków XX. I wygląda na dzieło jakiegoś dobrego malarza, bo jak zwrócisz uwagę na sposób, w jakim gra światłem i kolorami, i jak precyzyjne są pociągnięcia pędzla, nie będziesz miał najmniejszych wątpliwości. Mogę zapytać, dlaczego jesteś tak bardzo zainteresowany tymi informacjami?

– Myślę, że ten obraz należał kiedyś do mojego ojca.

Lucas nie chciał wyglądać na zaskoczonego, ale z trudem ukrył zdziwienie. To wyznanie, o ile było zgodne z prawdą, mogło zmienić absolutnie wszystko. Właściciel galerii spróbował odpowiedzieć z jak największym luzem.

– A gdyby nawet tak było, to dlaczego obraz wisiał w Glücku?

– Gottfried powiedział mi, że odziedziczył go po ojcu. Jednak jestem prawie pewien, że to nieprawda. Jego rodzina żyła w ubóstwie. Trudno mi uwierzyć, że byliby w stanie kupić taki obraz. Tak jak sam przyznałeś, to musi być płótno jakiegoś uznanego malarza.

Lucas uśmiechnął się. Nie wszystko było stracone.

– Cóż, ale może jego ojciec kupił go za jakieś śmiesznie pieniądze. Dlaczego Gottfried miałby cię okłamywać? W całej historii ludzkości była tylko garstka wirtuozów, którzy za życia odnieśli sukces. Sam zresztą to dobrze wiesz. Ilu jest wielkich i anonimowych artystów? Spójrz – powiedział, wskazując na obraz – nawet nie ma podpisu autora. A poza tym w twojej rodzinie chyba też się nie przelewało, co?

Max milczał. W biografii jego ojca można było mówić o pierwszym i drugim życiu, ale Lucas znał tylko to drugie. Nigdy nie był z nim na tyle blisko, żeby opowiedział mu o pierwszym. Na tyle nigdy nie zaufała właściwie nikomu. Max przedstawiał ojca jako Jakoba Müllera, ale nigdy nie mówił o Jakobie Sandlerze.

– Może masz rację, Lucas. Może Gottfried wcale nie kłamie. Sam nie wiem. Chyba zrobiłem się jakiś wrażliwy. To nic takiego.

– No właśnie, Max. Lepiej już o tym nie myśl. To, co się stało, to się nie odstanie.

Oczywiście to nie była cała historia. Lucas opuścił studio razem z Maxem, nie wykazując większego zainteresowania tym niezatytułowanym pejzażem, którego tak obsesyjnie poszukiwał, odkąd zauważył go na ścianie w Glücku. Szukał go przez połowę swojego życia.

Pożegnali się na ulicy, a Lucas wrócił do galerii. Max próbował zatrzęsnać drzwi studia, ale nie był w stanie ich zamknąć. Postanowił, że zostawi je półprzymknięte. Uspokoił się dopiero, kiedy spostrzegł, że prawie nie widać, że drzwi są zepsute. Zapalił papierosa, a na herbie na jego złotym sygnecie odbiło się światło pobliskiej latarni. Potem włożył na głowę czapkę i poszedł do Glücka. Wyjął telefon komórkowy, żeby sprawdzić godzinę. Na ekranie wyświetliła mu się wiadomość od Gottfrieda o tym, że wrócił już z Fluntern. A więc zjawił się w barze wcześniej, niż Max się spodziewał.

Pewnie Valeria też już tam była, dlatego Max zadawał sobie tylko jedno pytanie. Jak zareaguje na to, do czego doszło zeszłej nocy? Z drugiej strony sam nie wiedział, co zrobi i jak się poczuje, kiedy ją zobaczy.

Telefon od Julii przerwał jego myśli. Po raz setny pokłóciła się z Gottfriedem i wypytywała Maxa, czy jedzie do Glücka. Właśnie wyszła z pracy w szpitalu w Triemli. Max odpowiedział, że Gott jest już w drodze. Był 13 stycznia.

## 29. Szansa

Julia zadzwoniła do Maxa w idealnym wręcz momencie, a ich krótka rozmowa wystarczyła, żeby chłopak domyślił się, że Gottfried najprawdopodobniej nie będzie spał tej nocy u siebie w domu. Dwadzieścia cztery godziny temu udało mu się zdobyć klucz do jego mieszkania, a teraz nadarzała mu się taka okazja.

Max i Julia poznali się w operze w Zurychu, gdzie ona pracowała jako tancerka, a on był młodym, obiecującym malarzem ozdabiającym ściany wielkiego gmachu. To były czasy, gdy obydwójce byli artystycznymi duszami i stałymi bywalcami Café Voltaire. Ogrzewali się przy znajdującym się w lokalu kominku, mając świadomość, że to samo ciepło przyciągnęło również pierwszych dadaistów, którzy dokładnie w tym miejscu zainicjowali początek nowego ruchu w sztuce.

Później przez lata nie utrzymywali ze sobą kontaktu, aż wreszcie spotkali się w Glücku. Julia określiła to spotkanie jako niezwykły zbieg okoliczności. Zamieniła już wtedy baletki na chodaki pielęgniarki, on natomiast wymienił schodzone adidas na najnowsze, najbardziej ekskluzywne buty słynnego japońskiego projektanta. Julia była dziewczyną Gottfrieda, a Max stał się bywalcem w jego barze.

\* \* \*

Malarz siedział już od pół godziny w Glücku, kiedy nagle pojawiła się w nim Julia. Wyziębiona poprosiła Valerię o kawę i zapytała Maxa, czy widział Gottfrieda. On wskazał na antresolę.

– Nie jest w najlepszym humorze. Powiedziałem mu, że ma przestać bawić się z tobą w kotka i myszkę i ożenić się z tobą – zażartował Max.

– W ogóle chyba mnie nie lubisz – odpowiedziała szyderczo Julia.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, chociaż Max wiedział, że obchodziła ją tylko antresola i nie miało znaczenia, co do niej mówił. W końcu zostawiła swoją kurtkę zimową i czapkę na taborecie koło Maxa i weszła po schodach, żeby

rozmówić się z Gottfriedem. Co dziwne, nie posiedziała z nim zbyt długo. Kiedy wróciła, Max natychmiast zrozumiał, że ich rozmowa nie poszła zbyt dobrze. Choć Julia miała to wypisane na twarzy, mimo wszystko podjął:

– Wszystko już sobie wyjaśniliście?

– Co ty! Gdybym ci powtórzyła to, co mi powiedział, sam byś w to nie uwierzył. Ale teraz jestem za bardzo zmęczona, żeby wysłuchiwać jego paranoicznych opowieści. I w dodatku boli mnie głowa, więc lepiej już pójdę do domu.

– Spokojnie – odpowiedział, chociaż miał świadomość, że w tej sytuacji prosi ją o zbyt wiele.

– Jasne. Zobaczmy, jak szybko skończy mi się moja święta cierpliwość – zareagowała, zakładając na głowę czapkę.

– Nie gniewaj się, Julio. To i tak niczego nie zmieni. Sama zresztą wiesz, że zaraz cię za wszystko przeprosi.

– Ale ja wcale się nie gniewam, Max. Mam tylko wrażenie, że nie wyjawiał mi całej prawdy. Ale ja już znajdę sposób, żeby się wszystkiego dowiedzieć.

– W to akurat nie wątpię – skwitował Max i uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. – Zawsze wiedziałaś, jak dogadać się z Gottem. I to od samego początku waszej znajomości. Pewnie dlatego jesteś jedyną osobą, którą tak naprawdę szanuje. Może właśnie dlatego taka z was udana para.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie rozumiem tylko jednej rzeczy – dodał. – Dlaczego nie mieszkanie razem?

A wtedy uśmiech w okamgnieniu zniknął z jej twarzy.

– Max, nie myślę o wspólnym mieszkaniu z Gottfriedem. Kocham go, ale nie chcę z nim mieszkać. Lubię wrócić do domu i nie mieć żadnych cudzych zmartwień na głowie. Poza tym już wcześniej powiedziałam ci, że ostatnio jest jakiś dziwny. I na domiar złego przed chwilą zaczął opowiadać mi jakieś niestworzone rzeczy.

Przez ułamek sekundy Max poczuł, że jego dotychczasowe szczęście za chwilę pryśnie. Nie wiedząc dobrze, czy bardziej zależy mu na zaklinaniu rzeczywistości, czy na upewnieniu się, czy los z niego teraz nie drwi, rzucił jej ostatnie pytanie:

– To co? Tej nocy każdy w swoim domu czy jak?

– Nie, dzisiaj w nocy śpi u mnie.

Przytulili się na pożegnanie, po czym Max odprowadził ją wzrokiem. Kiedy mijała drzwi, zauważył, że nie tknęła nawet zamówionej wcześniej kawy z mlekiem.

## 30. Przeszukanie mieszkania

Max opuścił Glückę minutę po Gottfriedzie i stanął w drzwiach kawiarni, żeby zapalić papierosa. Stamtąd obserwował, jak właściciel kuśtyka przez most na rzece Sihl, a potem przechodzi obok imponującego gmachu poczty, aż wreszcie znika z jego pola widzenia. Kiedy upewnił się, że mężczyzna nie zawróci, ruszył do jego mieszkania.

Wsiadł do tramwaju linii 3 na Stauffacher Platz i pojechał w stronę Zypressenstrasse. Na ulicy nie było widać żywej duszy. Stojąc naprzeciwko domofonu, wybrał dzwonek zarezerwowany dla listonosza i brama ustąpiła niezwykle gładko, chociaż przecież nikt nie miał zamiaru dostarczać teraz żadnych listów.

Max wszedł na strych najszybciej, jak mógł, mając nadzieję, że jego głośnie stąpanie po schodach nie obudzi sąsiadów. Wcześniej spędził godziny, rozmyślając nad tym, w jaki sposób przekroczy próg tego mieszkania, ale w tej chwili zadawał sobie tylko jedno pytanie: czy kopia klucza będzie pasowała do zamka?

Stres i bieg po schodach przyspieszyły bicie jego serca, tak że czuł, jak pulsują mu skronie, aż rozbolała go głowa. Odetchnął z ulgą, kiedy przekonał się, że klucz pasuje do zamka mieszkania Gottfrieda.

Drzwi otworzyły się bez najmniejszego problemu, a Max wszedł do ogarniętego ciszą i cuchnącego barem pomieszczenia. Od razu zlokalizował źródło nieprzyjemnego zapachu: były nim umieszczone na wieszaku kurtki. Krótki korytarz prowadził prosto do królestwa właściciela apartamentu: sypialni, łazienki i aneksu kuchennego z naprawdę ograniczoną liczbą mebli i panującym wszędzie obsesyjnym porządkiem, który był już znany Maxowi z wcześniejszej wizyty w tym domu. Serce biło mu jak szalone. Po głowie krążyło mu jedno i to samo pytanie. Czy Gottfried znowu kłóci się z Julią? Z tego właśnie powodu mógł też w każdej

chwili wrócić. Max przekonywał sam siebie, że podjął słuszną decyzję i robił to, co trzeba: jeśli Gottfried coś ukrywał, miał prawo dowiedzieć się, co to jest.

Nie miał w zanadrzu żadnego planu, dlatego postanowił zacząć od pierwszego lepszego miejsca i zaglądał wszędzie, nie zachowując żadnego określonego porządku. Na szczęście mieszkanie było równie surowe, jak jego właściciel, prawdziwy wręcz wędrowiec przyzwyczajony do zabierania ze sobą tylko najbardziej niezbędnych rzeczy. W przeciwieństwie do Julii nienawidził gromadzenia rzeczy. Niemniej jednak obraz wielkości dłoni mógł zostać ukryty w zasadzie wszędzie.

Mieszkanie zostało urządzone meblami z drugiej ręki. Każde z nich Gottfried wybrał po starannym namyśle i bez pośpiechu, ale posiadał jeden jedyny nabytek, którego wykonanie zlecił niezwłocznie po przeprowadzce zimą do Zurychu, a był nim nowoczesny, metalowy kominek. Sprawił sobie ten kaprys po otwarciu Glücka, ale nie używał go zbyt często, bo nie lubił sprzątać popiołu. Na parapecie przy oknie ustawił świece, a z małego drewnianego stolika stojącego przy kanapie spoglądały na Maxa cztery twarze: Gottfried i Julia na wakacjach na Madagaskarze trzy lata temu oraz Gloria i Antonio w Café de la Suerte na Dominikanie kilkanaście lat temu. Na ścianach wisiały plakaty koncertów popularnych kiedyś wykonawców – Franka Zappy, Boba Marleya, Johnnycashy, Muddy'ego Watersa – których łączyło to, że wszyscy byli już martwi. Na jednej drewnianej półce Gottfried ustawił płyty i książki. To kolekcja, którą zdążył zgromadzić, od kiedy porzucił wcześniejszy styl życia. Max nie znalazł żadnego śladu kurzu.

Spojrzał pospiesznie na kuchnię. Na początku dość nieśmiało, a potem z coraz większym impetem otwierał po kolei wszystkie szafki i szuflady. Nie znalazł niczego szczególnego. Podczas rewizji łazienki znalazł opakowanie prezerwatyw, pod wpływem którego poczuł się winny, że przeszukuje czyjeś prywatne mieszkanie, ale natychmiast pozbył się niewygodnego uczucia. Elektroniczny odświeżacz powietrza spryskał powietrze niedaleko jego ucha pachnącą cytrusami mgiełką, czym prawie doprowadził go do zawału. Wcześniej nawet nie zauważył urządzenia. Nadal czuł, że trzęsą mu się nogi, kiedy przekroczył próg sypialni Gottfrieda.

W jego szafie znalazł tylko ubrania, ręczniki i pościel. Sprawdził nawet kieszenie w marynarkach, ale niestety nic nie znalazł. Kilka lnianych serwetek



leżało w koszu w oczekiwaniu na kolejne pranie. Gottfried żył jak prawdziwy asceta, a Max zdał sobie sprawę, że nie tylko nie znajdzie płótna w tym mieszkaniu, ale że cały przekręt z Valerią był w zasadzie po nic. Nie docenił przeciwnika. Musiał natychmiast zapalić i papierosem zgasić płonąca w jego wnętrzu frustrację.

Powłóczył zrezygnowane ciało aż do wyjścia, przy którym zobaczył nagle przedmiot, któremu wcześniej się nawet nie przyjrzał. Za drzwiami stała drewniana laska. Max złapał za nią i z wściekłością odkręcił gałkę w kształcie ogara, żeby sprawdzić, czy znajdowały się tam inicjały, których tylko głupiec by nie szukał: J.S.

Jego instynkt go nie zawiódł. Gottfried go okłamał. Zszedł po schodach, przeskakując po kilka stopni, nie myśląc już nawet o tym, co powiedzą na to sąsiedzi.

## 31. Ocalały

Za pierwszym zakrętem Max wreszcie zapalił papierosa, a przed oczami zobaczył migawki z całego swojego życia, nierozzerwalnie związanego ze wspomnieniami o jego ojcu. Krótco przed śmiercią wyjawiał mu, że w tragicznych wojennych warunkach był zmuszony uciekać przed nazistami. Przeszedł wzdłuż i wszerz państwo, które uznało go za wroga. Każdego ranka budził się i męczył samego siebie jednym i tym samym pytaniem, czy nadejdzie kolejny dzień. Wędrował, omijając drogi i miasta. Żył dzięki temu, co znalazł lub ukradł. I zawsze jego jedynym celem było pozostanie niewidocznym.

Pod koniec 1942 roku, kiedy w końcu przedostał się na teren Szwajcarii, Jakob Sandler miał wypadek, a mężczyzna, który obiecał go uratować, porzucił go, ukradłszy jedyny przedmiot, z jakim Jakob wiązał nadzieje na odnalezienie rodziny. Odebrał mu wiarę w to, że kiedyś mógłby zacząć życie od nowa. Max nie mógł uwierzyć, że właśnie trzyma w rękach dokładnie tę samą laskę. Podczas gdy Jakob Sandler stracił ją i resztki nadziei, Max odzyskiwał przedmiot i część historii ojca.

Ranny, porzucony przy skale i gwałtownie spadającej temperaturze Jakob Sandler postanowił kurczowo trzymać się życia, ponieważ nadal należał do tego świata, w którym miał żonę i córkę. Tak bardzo chciał się z nimi jeszcze zobaczyć. Tak bardzo pragnął żyć, że wymazał z pamięci długie lata spędzone na tułaczce po ucieczce z Linzu. Instykt przetrwania wziął górę nad wszystkim innym, tak że przestał czuć chłód, strach i zapomniał o sytuacjach, w których chciał się poddać. Dzięki temu pozbył się również poczucia głodu, zmęczenia i beznadziei w swoim aktualnym położeniu. Zapomniał również o mężczyźnie, który zostawił go samego ze złamaną nogą. Niemniej jednak był w stanie przywołać każdy najmniejszy szczegół dotyczący tego, co stało się już po wypadku. Skalę, o którą był oparty. Szwajcarski patrol, który zlitował się nad nim, widząc jego niesprawną kończynę. Nową tożsamość, którą przyjął, żeby ukryć żydowskie pochodzenie. Cios, jakim było odkrycie, że jego żona i dziecko nigdy nie dotarli do Zurychu. Anonimowe

życie w wiosce Grisones położonej w tak głębokiej i wąskiej dolinie, że zimą nie dochodził tam nawet promień słońca. W wyniku tego, że nie rozumiał lokalnego dialektu, ale też trochę z własnego wyboru, spędził następne lata w izolacji. Nie był w stanie zmienić swojego stylu życia. Nie zebrał nawet sił, kiedy odwiedził go pewien ksiądz i przyniósł najgorsze wiadomości: imiona jego żony i córki widniały na listach ofiar reżimu narodowosocjalistycznego. Nigdy nie dotarły do Szwajcarii.

Nowym domem Jakoba stały się więc pastwiska położone tysiąc metrów nad poziomem morza. W cieplejszych miesiącach pasł bydło. Zimą pomagał proboszczowi i oddawał się czytaniu. Czytał wszystko, co wpadło mu w ręce. A zanim się spostrzegł, skończył pięćdziesiąt lat.

Właśnie wtedy do wioski przyjechała nauczycielka. Za niewielką interwencją księdza i dzięki wspólnemu zamiłowaniu do książek zbliżył się do Gertrudy, która wkrótce została jego żoną. Małżeństwo pod neutralnie brzmiącym nazwiskiem Müller, przy pomocy którego nielegalnie dostał się do Szwajcarii, dało mu drugie życie, a także drugie dziecko. W 1970 roku, pięć lat po ich ślubie, urodził się chłopiec, którego nazwali Max.

\* \* \*

Ta drewniana laska symbolizowała wszystko to, o czym Jakob Sandler chciał zapomnieć, a Jakob Müller pragnął zatrzymać w pamięci – wspomnienie pierwszej połowy życia, którą opowiedział Maxowi, żeby syn wiedział, skąd pochodzi, i żeby mógł dojść do sprawiedliwości, jeśli nadarzyłaby się taka okazja. Kawalek drewna będący dowodem na to, że Gottfried go okłamał.

Max wiedział, że w tej lasce znajdowało się małe płótno, które zostało przemycone przez Jakoba z Linzu do Szwajcarii. Wiszący w Glücku obraz, który tyle razy widział w barze, nie mógł być spadkiem po Hermannie, jak utrzymywał Gottfried, bo był kiedyś własnością Jakoba. I dlatego nie mógł należeć do Gottfrieda, lecz do Maxa. Musiał to sprawdzić, biorąc płótno we własne dłonie. Pocałował rodzinną pieczęć na swoim pierścieniu, jakby szukał pomocy przodków. Max nigdy o nich nie mówił, ponieważ nikt by mu w to nie uwierzył. *Las w ciszy* był dowodem na to, że kiedyś istnieli, że nie był tylko dzieckiem pasterza i wiejskiej

nauczycielki, lecz jedynym spadkobiercą rodziny Sandler. Musiał odzyskać płótno.  
Był to winien swojej rodzinie.

## 32. Dom

Przechodząc obok budynku poczty i będąc poza zasięgiem wzroku Maxa, Gottfried kontynuował marsz wzdłuż Militärstrasse, aż wreszcie doszedł do jedynej nieciekawej dzielnicy w Zurychu. Stojąca tam i czekająca na klientów kobieta spojrzała na jego lewą stopę w czarnej grubej skarpecie i sportowym sandale. To było jedynie obuwie, jakie mógł nosić, kiedy w małym palcu odkładał mu się nadmiar kwasu moczowego, co zamieniało zwykły spacer w prawdziwą torturę.

– Podejź tu, kochaniutki – powiedziała. – Już ja rozgrzeję tę stopę, bo na pewno ci zmarzła.

Gottfried uśmiechnął się i przeszedł koło niej bez słowa, chociaż nie mógł nie poczuć współczucia wobec jej rozneglizowanego ciała stojącego na mrozie na dwunastocentymetrowych szpilkach.

Dotarł do mieszkania Julii po północy. Otworzyła mu drzwi dokładnie w tej chwili, kiedy miał zamiar włożyć klucz do zamka.

– Usłyszałam, jak wchodziłeś po schodach – oznajmiła, zanim delikatnie pocałowała Gottfrieda w usta. – Robisz hałas, jak stawiasz zdrową nogę, bo nie słychać nogi w sandale. Poza tym w tej kamienicy nie ma więcej kulawych.

\* \* \*

Mieszkanie Julii było pomalowane na pudrowy róż. Wybrała ten kolor, ponieważ przypominał jej pierwszą sukienkę baletnicy, którą mama kupiła jej w sklepie Jelmoli. Od szóstego do dwudziestego piątego roku życia jej dni miały przy akompaniamencie francuskich słów sprzed co najmniej trzech wieków: *jeté*, *plié*, *fouté*, *entrechat*. Po latach ćwiczeń baletowych odziedziczyła w spadku proste plecy, długą szyję oraz elastyczne ścięgna. Przez ten czas chodziła częściej na czubkach palców niż normalnie, aż do chwili, gdy obciążone ćwiczeniami kolana, poddały

się sile grawitacji. Potem inne tragiczne wydarzenie sprawiło, że jej ciało straciło wcześniejszą równowagę.

– Julia, tu mama. Zadzwoń do mnie, jak będziesz mogła. Już mam wyniki. To guz, kochanie. Złośliwy. Rak.

Powiedziała jej to właśnie w ten sposób, jak gdyby nigdy nic, nagrywając się na automatyczną sekretarkę. Po tygodniu przeprowadzili operację, ale ta szybka interwencja nie była w stanie zapobiec temu, co niechybnie miało wydarzyć się sześć miesięcy później. Bezrobotna w tamtym czasie baletnica mogła być przy matce fizycznie i duchowo, poświęcając się jej w ostatnich miesiącach życia. Właśnie tam, pod fluorescencyjnymi lampami na oddziale chirurgicznym, Julia dostrzegła światło, którego potrzebowała, żeby rozpocząć swoje drugie życie – etap, w którym miała zastąpić tiulowe spódnice i choreografie białymi chodakami i książkami o pielęgniarstwie. Po śmierci matki postanowiła skończyć studia. Wybrała specjalizację z opieki paliatywnej. Znajomy ze studiów zaproponował, żeby poszli świętować odbiór dyplomu do nowo otwartego baru Glück. To właśnie tam, otoczona zdjęciami, plakatami, religijnymi figurkami, w towarzystwie spoglądającego na nią z sufitu szkieletu, poznała mężczyznę, którego kroki stawiane na stuletniej, drewnianej klatce schodowej w zuryskiej dzielnicy czerwonych latarni była w stanie rozpoznać o każdej porze dnia i nocy. Julia była pewna, że musiało ich połączyć przeznaczenie. Zbliżyły ich osobiste doświadczenia. Ale strach przed tym, że coś złego spotka tę drugą osobę, oddalał ich od siebie. Zamieszkanie razem było granicą, którą bały przekroczyć się ich poturbowane wcześniej serca, nie zamierzali więc naruszać tej cienkiej linii. Dla obojga miłość była płomieniem, którym już raz się poparzyli, a ból wciąż był zbyt dotkliwy. Panicznie obawiali się tego, że mogłoby im się to powtórnie przydarzyć.

Niemniej mieszkanie Julii było dla Gottfrieda czymś najbliższym domu, miejsca, w którym czuł się kochany. Odpiął sandał i drugi but, zostawił je koło drzwi przy kilku parach rozrzuconych damskich butów. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić, że Julia lubiła gromadzić rzeczy: buty w przedpokoju, marynarki na wieszakach. Rozstawiała wszędzie malutkie, metalowe, stare pudełka. Miała całe mnóstwo książek na półkach – niektóre z nich układała w stosach na podłodze, obok swojej aksamitnej kanapy – pełno poduszek na sofie i sterty przepisów, z których nigdy nie korzystała.

Natomiast Gottfried używał kawiarni jako magazynu na wszystkie te rzeczy, z którymi nie chciał się rozstać, ale którymi nie chciał zagrabić sobie mieszkania. Jedynym wyjątkiem była kuchnia, w której nie brakowało żadnych przyborów. Gotowanie go uspokajało.

– Kupiłam sól epsom na twoją dnę moczaniową – rzuciła, odchodząc w kierunku salonu. – Napełnij wannę wodą, dodaj dwie filiżanki soli i leż tam, dopóki woda się nie ochłodzi. To na pewno ukozi ból.

Gottfried udał się posłusznie do łazienki, odkręcił kran w wannie i puścił wodę, sprawdzając, czy jest wystarczająco gorąca. Następnie włożył korek, zostawił odkręcony kran i poszedł do swojej ukochanej.

Julia leżała na sofie i czytała. Miała na sobie wytartą szarą koszulkę New York Yankees, owinięta była beżowym pledem zakrywającym jej zgrabne, umięśnione nogi. Gottfried podszedł do niej i czule pogładził ją po włosach.

– Jak tam twój ból głowy? – zapytał.

– Już lepiej – wyznała, odrywając na kilka sekund wzrok od książki, żeby na niego spojrzeć.

– Wzięłaś jakieś leki?

– Nie, zbiegło mi się kilka stresujących dni. Potrzebowałam tylko chwili spokoju. Miałam ochotę pobyć w domu.

– Jadłaś już kolację?

– Krem marchewkowy. Zostało trochę w lodówce, jeśli masz ochotę zjeść coś po kąpieli.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że wzięłaś się za gotowanie... – zaczął zaskoczony Gottfried.

– To zupa z kartonu – przyznała Julia z zalotnym uśmiechem.

Mężczyzna zaśmiał się na jej szczere wyznanie. Nie mógł się powstrzymać przed dodaniem:

– Nie wątpię, że jest smaczna, ale pewnie nie smakuje jak prawdziwa zupa z marchwi.

– No dobrze, mądrało, lepiej wskakuj do wanny – rozkazała, rzucając w niego poduszką. – Potem pogadamy.

Gottfried wiedział, że jej „porozmawiamy później” odnosiło się do rozmowy, która rozpoczęła się kilka godzin temu na antresoli w barze. Wiedział, że Julia była zbyt inteligentna, żeby zadowolić się jego grubymi nićmi szytym wyjaśnieniem. Włożył stopę do nasyczonej solami, parującej wody, a następnie zanurzył się we własnych rozmyślaniach o tym, jak opowiedzieć Julii, że spadek, o którym nie wspomniał, przysporzy mu wielu problemów.

Kiedy pół godziny później okryty tylko zawiązanym w pasie ręcznikiem wrócił do salonu, Julia już zasnęła. W złożonych na piersi rękach wciąż leżała książka, a na jej twarzy malował się spokój, którego Gottfried natychmiast jej pozazdrościł. Przez chwilę stał wpatrzony w Julię, po czym przykrył ją leżącym na jej na nogach pledem, wyłączył lampkę do czytania i położył się na sofie naprzeciwko. Przez kilka minut obserwował, jak puszysty koc unosi się i opada w rytm oddechu jego ukochanej.

Neon ze stojącego po drugiej stronie ulicy domu schadzek co dziewięć sekund zalewał pokój czerwonym światłem, nadając nocy wygląd piekła. To był długi dzień, a powieki Gottfrieda były ciężkie od zmęczenia i nadmiaru emocji. Będą musieli odłożyć rozmowę do następnego rana i porozmawiać o wszystkim przy jednej z tych mdłych kaw, które ona uwielbiała, a on nienawidził. Do tego czasu Gottfried musiał znaleźć jakieś nieobrażające inteligencji Julii wyjaśnienie, zatem chyba był zmuszony powiedzieć jej prawdę.

Julia obudziła się wraz z pierwszym promieniem słońca, który rzucił światło na jej twarz, i natychmiast zerwała się na równe nogi, żeby pójść do kuchni i zrobić sobie latte. Stawiała świadomie krok za krokiem, rozciągając jednocześnie ramiona i plecy, obolałe po nocy spędzonej na sofie. Leżący na drugiej kanapie Gottfried czekał z zamkniętymi oczami, aż Julia zakończy poranny rytuał. Doskonale wiedział, że jeśli nie chce narażać się na wybuch złego humoru, lepiej było z nią nie rozmawiać, dopóki nie wypije co najmniej pół szklanki tej mdłej, przesłodzonej mikstury, którą tak uwielbiała. Dopiero wtedy sytuacja ustabilizuje się na tyle, żeby, jak to było w zwyczaju, móc oczekiwać tego porannego uśmiechu, którym cieszył się tylko wtedy, gdy spędzali noc razem. Dla Gottfrieda poranki w kuchni Julii były ciepłem emanującym z innego wymiaru, pochodzącym z innych czasów i miejsc, w których wciąż żyli Gloria i Antonio. Poranki z Julią napełniały go szczęściem, ale również w tym samym stopniu raniły.



Usiedli naprzeciwko siebie na wysokich stołkach przy drewnianej wyspie. Zbliżająca się rocznica była pretekstem do rozpoczęcia dnia od przyjemnej rozmowy, chociaż Julia natychmiast przejęła inicjatywę i zaczęła planować randkę. Gottfried dał się jej porwać, wiedząc, że jego własne propozycje są zawsze gorsze niż sugestie ukochanej. Odniósł wrażenie, że Julia chce natychmiast wszystko zaplanować, aż w końcu zrozumiał jej pośpiech, kiedy już ustalili szczegóły. Kobieta nie czekając nawet pół sekundy, przeszła do rzeczy, zadając mu pytanie, które miała w zanadrzu od czasu ich wczorajszej rozmowy w Glücku:

– No dobrze, skoro już wiemy, co będziemy robić w naszą rocznicę, może opowiesz mi, o co chodzi z tymi tajemniczymi telefonami? Bo chyba nie myślisz, że uwierzę w historię o jakimś pijaczynie wydzwanającym do ciebie z pogrózkami? Jeśli naprawdę muszę na siebie uważać, nie sądzisz, że powinnam wiedzieć dlaczego?

## 33. Wyznanie

Oczywiście Julia miała rację: musiała wiedzieć, z czym ma do czynienia. W przeciwieństwie do ostatniego wieczoru tym razem Gottfried był gotów jej to wytłumaczyć. Spędził większość nocy, układając w całość to, co miał zamiar powiedzieć. Dzięki temu zaplanował, co powinna wiedzieć o ich sytuacji i następnym kroku obmyślonym przez Gottfrieda. Nadszedł czas, żeby podjąć stanowcze kroki.

– Julio, zanim cokolwiek ci powiem, musisz zrozumieć dobrze jedną rzecz: chociaż zajęło mi trochę zebranie się, żeby ci o tym powiedzieć, jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię.

– Wszystko rozumiem – powiedziała, stukając palcami o drewniany blat. – Dajesz.

– Trzy miesiące temu dostałem telefon z Zürcher Bank z informacją, że odziedziczyłem po ojcu skrytkę, której otwarcie zlecił pięćdziesiąt lat temu.

Julia podniosła brwi ze zdziwienia, ale pozwoliła Gottfriedowi mówić dalej.

– Wiem, że to dziwne. Na początku też wydawało mi się, jakby ktoś zadzwonił do mnie co najmniej z Marsa, ale okazało się, że to prawda. W skrytce znajdowała się drewniana laska, od której wszystko się zaczęło.

– Chcesz mi powiedzieć, że ktoś cię szantażuje z powodu jakiejś laski? – przerwała mu.

– Nie, nie przez laskę. Przez to, co znajduje się w jej wnętrzu. Do środka włożono zwinięte w rulon płótno. Jest to bardzo mały obraz, mniej więcej wielkości dłoni. Przypomina małą pocztówkę. Chyba wiesz, o czym mówię.

Zdenerwowany Gottfried zaczął niepotrzebnie komplikować swoją historię, dodając zbędne szczegóły. Rozczarowanie jego ukochanej stawało się coraz bardziej oczywiste. Zdawał sobie też sprawę z tego, że bez względu na to, jak szczegółowe byłyby jego wyjaśnienia, nie uniknie z jej strony wyrzutów, że do tej pory nic jej nie powiedział. Starał się trzymać zapisanego zeszłej nocy w głowie

scenariusza, by jak najszybciej dokończyć opowieść, mając również świadomość, że jeśli Julia wybuchnie, nie da mu dokończyć.

– Zrobiłem z obrazem dokładnie to samo, co robię z innymi rzeczami: zaniósłem go do Glücku. Oprawiłem w ramkę i powiesiłem na antresoli, obok zdjęcia moich rodziców. Pomyślałem, że te dwa przedmioty powinny być blisko siebie. Koniec końców, to jedyne, co mi po nich pozostało.

Julia przyglądała mu się uważnie, nie będąc w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa. Czekwała na koniec historii, która wydawała jej się o wiele za długa.

– I tutaj popełniłem najgłupszy błąd. Bo po dwóch tygodniach zadzwonił do mnie jakiś mężczyzna, który powiedział, że widział płótno w Glücku. Zapytał mnie o jego cenę, a ja odpowiedziałem, że nie jest na sprzedaż. To była już druga osoba zainteresowana kupnem, więc zdenerwowałem się i zabrałem obraz z baru.

– Poczekaj chwilę – przerwała Julia. – Kim była pierwsza osoba?

– Lucas, właściciel galerii i agent Maxa. Powiedział, że może to być prawdziwe dzieło sztuki, obraz znanego artysty, i zapytał, czy chciałbym go sprzedać albo znaleźć na niego kupca. Powiedział, że jest wart kupę kasy.

– I miał rację?

– Nie mam najmniejszego pojęcia, bo powiedziałem mu, że nie myślę o sprzedaży, a on się potem już nie odezwał – wyznał Gottfried. – Tak naprawdę to powiedziałem mu, że obraz nie jest wystawiony na sprzedaż, bo nie jest moją własnością, że ja muszę tylko znaleźć jego właściciela. A on odpowiedział, że jeśli w końcu go znajdę, jego oferta będzie nadal aktualna.

– Okej, Gott. Zatrzymaj się na chwilkę. Mam wrażenie, że trochę się w tym pogubiłam. Jak to nie jest twój? To nie jest przypadkiem twój spadek?

– Nie. Mój ojciec nie miał grosza przy duszy, Julio. O tym chyba już doskonale wiesz. Ja jestem tylko powiernikiem zarówno tej laski, jak i płótna. Hermann zostawił mi w skrytce instrukcje: powinienem znaleźć właściciela obrazu lub jego potomków i zwrócić im ich własność.

\* \* \*

Gottfried przypomniał sobie chwilę, w której laska i znajdujący się w niej obraz olejny stały się częścią jego życia. Nie chciał otwierać listu ojca w skarbcu Zürcher Bank ani tym bardziej na ulicy. Począł, aż wróci do domu, aby to zrobić. Nie

polubił Markusa Kielholza, więc cieszył się, że proces spadkowy dobiegł końca i nie musi już widzieć się z bankowcem. Miał nadzieję, że list był tego wart, ponieważ jego zdobycie kosztowało go niemałą fortunę.

Wchodząc do swojego mieszkania, poszedł prosto do lodówki po piwo. Wypił kilka łyków, postawił butelkę na stoliku z fotografiami i opadł na sofę z kopertą w dłoni. Przez kilka sekund wpatrywał się w nią, aż wreszcie przełamał woskową pieczęć, która pękła na pół, wydając krótki trzask. W środku znajdowało się kilka kartek papieru zapisanych czarnym atramentem i nieskazitelną kaligrafią Hermanna Messmera. Gottfried położył za plecami poduszkę, pociągnął kolejny łyk piwa i przeczytał list, który ojciec napisał do niego w 1960 roku:

„Jesteś bystrym chłopakiem obdarzonym mocną osobowością. Jestem pewien, że poradzisz sobie doskonale w dorosłym życiu. Myśl o tym, że wyrośniesz na porządnego, uczciwego człowieka, napawa mnie dumą. Naprawdę jest to moje największe marzenie”.

Gottfried czytał dalej, bez żadnych trudności. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo brakowało mu ojca.

„Ten list, kochany synu, pozwoli ci poznać mnie trochę lepiej, a dzięki temu – poznać lepiej samego siebie. Ponieważ tylko znając dobrze samego siebie, będziesz umiał uodpornić się na ból, który będą chcieli zadać ci inni”.

\* \* \*

Od tego czasu wiele się zmieniło. Gottfried, siedmioletni chłopiec, do którego adresowane były te słowa, dorósł i wbrew przewidywaniom ojca nadal nie wiedział, kim jest. Przeżył swoje życie, uciekając przed melancholią, która mimo jego wysiłków zawsze mu towarzyszyła jak własny cień. Osłonił swoją bezbronność. Podniósł tarczę przeciwko smutkowi. Chronił samego siebie, żeby nie cierpieć, ale zapomniał żyć. Dlatego plany Julii zawsze wydawały mu się lepsze: w przeciwieństwie do niego ona nauczyła się, że aby docenić dobre chwile, trzeba też przeżyć te gorsze. Być może dlatego, że pracowała z ludźmi na skraju śmierci, a może właśnie dlatego, że Julia wybrała życie. Julia, która odkąd zaczęła czytać Carla Junga, nazywała samą siebie *animus* równoważącym *anima* Gottfrieda, siedziała teraz naprzeciwko niego przy kuchennej wyspie z niezwykle posępną miną. Gottfried zdał sobie sprawę, że wcześniej nie wspomniał też nic o liście.

Ukrył przed nią spadek, płótno, list i prośby jego ojca. Nagle uświadomił sobie, jaki dystans wytworzył między sobą a Julią, i zaczął zastanawiać się, czy chronił ją z czystego egoizmu, żeby chronić samego siebie. Bał się. Bał się, że ją utraci.

## 34. Szantaż

Jeszcze zanim skończył mówić, Julia wypila latte i podeszła ze szklanką do zlewu. Już go nie słuchała. Potem zaczęła obijać się o ściany kuchni jak kula bilardowa, zupełnie niepotrzebnie przestawiając rzeczy. Gottfried wiedział, że istniały tylko dwa powody, dla których jego ukochana poczuła nagłą potrzebę posprzątania: robiła tak, gdy nie mogła już niczego znaleźć lub kiedy była naprawdę wściekła. Nic w kuchni nie było na swoim miejscu poza szklanką i łyżeczką, które właśnie zostawiła w zlewie, więc Gottfried dostrzegł nadciągającą burzę. Doszedł do wniosku, że najkrótsza droga do pojednania prowadzi przez przyznanie się do błędu.

– Julio, błagam cię, spójrz na mnie – prosił.

Ona go zignorowała.

– Zależało mi na tym, żeby znaleźć właściciela obrazu, zanim ci o tym powiem. Chciałem, żeby to był mój osobisty sukces, ale nie wiedziałem, od czego powinienem zacząć poszukiwania, dlatego powiesiłem płótno w Glücku. Przyszło mi do głowy, że jeśli będę codziennie na nie patrzeć, to może wtedy wpadnę na jakiś pomysł. Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Łudziłem się, że coś wskaże mi prawidłową drogę. Przecież zanoszę tam wszystkie swoje rzeczy. Dlaczego tak bardzo obrażasz się za ten obraz?

Julia spojrzała na niego wściekła i zaczęła nerwowo myć szklankę i łyżeczkę, nie odpowiadając na jego pytanie.

– Powiedziałem ci, że nie jest moją własnością. Nie należał też do mojego ojca. Muszę dowiedzieć się, kto jest jego właścicielem – mówił dalej Gottfried, a w tej chwili Julia obróciła się jak porażona piorunem i atmosfera stała się naprawdę burzowa.

– Ale głównie mnie obchodzi, do kogo należy ten przeklęty obraz! – krzyknęła, rzucając w niego nasączoną płynem do mycia naczyń gąbką. Gottfried uniknął jej pocisku dzięki szybkiemu ruchowi głową, a mokra ścierka odbiła się od ściany,

pozostawiając na niej kleks po spienionej wodzie. – Nie ukrywasz przede mną jedynie obrazu, Gott! Czasami mam wrażenie, że między nami otwiera się jakaś przepaść. Czy ty tego nie jesteś w stanie zrozumieć? Zawsze jestem ostatnią osobą, która dowiaduje się, że coś cię martwi. Nigdy nie dzielisz się ze mną swoimi problemami!

Kiedy Julia się denerwowała, jej ciało zaczynało wyginać się jak sprężyna. Zaczęła nerwowo podskakiwać, jakby rozgrzewała mięśnie, by odskoczyć na bok lub rzucić się na Gottfrieda jak dzika bestia. On starał się zachować spokój.

– Julio, proszę cię. Zawsze i nigdy to chyba zbyt mocne słowa. I nie jesteś ostatnią osobą, która się o tym dowiaduje. Przed chwilą powiedziałem ci przecież, że jesteś pierwszą osobą, której się z tego zwierzam.

– Ha! Ja, Lucas i ten wariat grożący ci przez telefon, który wysyła pogróżki nie tylko tobie, ale nam.

*Touché*, pomyślał Gottfried, kiedy Julia ciągnęła ofensywę:

– Czy możesz wytłumaczyć mi raz a dobrze, dlaczego ten typ ci grozi? Co ma do ciebie, Gott? I po co mnie w to wszystko wplątuje?

Gottfried westchnął. Gniew Julii był bardziej niż uzasadniony. Próbując ją chronić, wpędził ją w kłopoty. Chciał poradzić sobie z tym sam, tak jak postępował, odkąd skończył dwadzieścia lat. Ale nie był już sam. Byli z Julią parą. I jednocześnie był też daleki od spełnienia życzenia ojca. Chociaż w słowniku Gottfrieda nie istniało słowo potrzeba, wiedział, że tego potrzebuje. Potrzebował jej, żeby wyrwała go z amoku uzalania się nad sobą. Potrzebował jej energii, by zacząć działać. Potrzebował jej jako partnerki.

– Julio, zaczekaj chwilę. Rozumiem, że jesteś zdenerwowana. Przyznaję, że to schrzaniłem. I nawet bardzo schrzaniłem. Obiecuję, że opowiem ci wszystko, ale daj mi to zrobić krok po kroku. Potrzebuję, żebyś mnie w tym wspierała.

– W tym? – odpowiedziała niezwłocznie.

Gottfried poprawił się:

– Potrzebuję cię. Przy mnie. We wszystkim.

Uznawszy, że wyszła ze starcia zwycięsko, Julia pozwoliła mu mówić. Gottfried uśmiechnął się szczerze. Pomyślał, że prawie zapomniał, że w ogóle umie w ten sposób się uśmiechać. Czuł, że są teraz jedną drużyną, taką, jaką kiedyś tworzył

z Glorią i Antonio. Łódź, w której do tej pory wiosłował sam, nagle miała sternika. Poczuł, że wracają mu siły, że historia zaczyna pisać się na nowo.

– Mój ojciec w 1960 roku wynajął skrytkę depozytową powiązaną z kontem w Zürcher Bank. Ponieważ od tego czasu nie było żadnego ruchu, konto zamrożono, a bank zaczął szukać spadkobierców, aby móc zamknąć rachunek, który nie generował już dywidend. Skontaktowali się ze mną, zapłaciłem za skrytkę i otrzymałem w spadku jej zawartość, jeśli w ogóle można to tak to nazwać. W skrytce znajdowała się laska i list. Czytając go, dowiedziałem się, że wewnątrz laski znajdę mały obraz olejny przedstawiający las.

– Niezła historia. A twoja matka nigdy nie powiedziała ci nic o tej skrytce? – zapytała Julia.

– Nie pisnęła słowem. W liście ojciec wyjaśnił mi, że miała dotrzymać sekretu do dnia, w którym skończę dwadzieścia lat. Ale matka umarła i niczego nigdy mi nie powiedziała.

– Przecież umarła w dzień twoich urodzin! A co masz teraz z tym wszystkim zrobić?

– W liście ojciec prosi mnie o odnalezienie właściciela płótna i zwrócenie mu obrazu. Nie wiem, po co mnie, do diabła, wpakował w ten syf, bo potencjalny właściciel byłby w takim wieku, że prawdopodobnie już nie żyje. Nie znam nawet jego nazwiska. Hermann prosi, żebym go poszukał, ale drań nie daje mi żadnych wskazówek. A ten pieprzony obraz nie ma nawet podpisu.

– I dlatego nie przyszło ci nic mądrzejszego do głowy niż powieszenie obrazu w Glücku.

– Tak. Tak jak powiedziałem ci to już wcześniej: może akurat przyszłoby mi coś do głowy, gdybym musiał na niego codziennie patrzeć, ale też może ktoś mógłby mi coś doradzić. Przez Glück przewija się mnóstwo ludzi.

– Ale wcale ci to nie pomogło, bo w końcu zdjęłeś obraz.

– Julio, zaczekaj. Nie biegnij od razu jak szalona.

Gottfried poczuł suchość w gardle. Wstał, żeby napęlić dzbanek wodą i postawił go na stole razem z dwiema szklankami.

– Nie przyniosło to zamierzonych skutków – kontynuował po wypiciu kilku dużych łyków wody. – Przynajmniej nie tak, jak to sobie wcześniej obmyśliłem. Co



by nie było, od czasu, kiedy powiesiłem obraz na antresoli w Glücku, zdążyły się nim zainteresować trzy osoby.

– Nie dwie?

– Dwie osoby zaproponowały mi kupno, ale trzecia z nich zapytała o pochodzenie płótna. Był to Max.

– Max Müller? Nasz Max?

– Nasz Max. Zapytał mnie, skąd wytrzasnąłem ten obraz. Odpowiedziałem, że odziedziczyłem go po ojcu. Nic więcej. Przypuszczam, że pytał z czystej ciekawości.

– No dobrze, Gott, mamy z jednej strony Maxa, a z drugiej Lucasa i tego typa od pogróżek przez telefon.

– Prawda. Oferta Lucasa doprowadziła do tego, że zdjąłem obraz. Powiedział mi, że ten maleńki obraz może być wart nawet 150 tysięcy franków. Czy możesz w to w ogóle uwierzyć?

– A dlaczego by nie? Nie trzeba być nie wiadomo jak ogarniętym, żeby wiedzieć, że na tym świecie można przypadkowo wpaść na wielką fortunę.

– Od razu popadłem w paranoję, że ktoś mi ukradnie obraz, więc zaniósłem go na zaplecze Glücka, gdzie zazwyczaj przechowuję wszystkie rzeczy, które wieszam potem na ścianach.

– No, logicznie. 150 tysięcy franków to kupa pieniędzy... A tak swoją drogą... nie obraź się, że pytam, ale faktycznie nie byłbyś zainteresowany sprzedażą?

Gottfried zmarszczył brwi i wziął ze szklanki łyk wody.

– Julio, musisz mnie zrozumieć. Możesz mnie nazwać upartym głupcem, ale jedyną rzeczą, którą muszę uszanować, jest prośba mojego ojca.

– W porządku, przepraszam – powiedziała, chcąc się z nim wreszcie pogodzić. – Zapomnij o tym głupim pytaniu. Ale nie myślałeś nigdy, żeby wystawić ten obraz na licytację?

– Oczywiście, że tak. Właśnie dlatego w całej historii pojawia się typ od pogróżek przez telefon.

– Jest rzeczoznawcą? – zapytała zdziwiona Julia.

Odpowiedź zajęła Gottfriedowi kilka sekund. Nie, facet od telefonów nie jest rzeczoznawcą. Jest zwykłym sukinsynem. To tylko zwykły drań grożący, że

skrzywdzi Julię, jeśli Gottfried nie odda mu obrazu. Imbecyl wydzwanający do niego z zastrzeżonego numeru, który na domiar złego oskarżył Hermanna Messmera o obrabowanie żydowskiej rodziny i handel dziełami sztuki zrabowanymi przez nazistów podczas II wojny światowej.

– Nie wiem. Powiedziałbym, że zna się bardziej na pieniądzach niż na sztuce. Ale przez informacje, które mam od tego faceta, boję się zanieść płótno na licytację, bo mogą wyniknąć z tego kolejne problemy. Nie tylko dla mnie, ale i dla mojego ojca.

– Pogubiłam się.

– Zaraz to wszystko zrozumiesz. Ten skurczybyk zaproponował mi 500 tysięcy franków za obraz. Odrzuciłem jego ofertę, dlatego po kilku dniach zadzwonił ponownie, żeby powiedzieć, że obraz figuruje na liście zrabowanych podczas II wojny światowej przez nazistów dzieł sztuki i że jeśli mu go nie oddam, powiadomi odpowiednie służby i złoży na mnie doniesienie.

– Gott, kochanie, czy masz świadomość, że to, co mi teraz mówisz, brzmi jak jakaś książka? Wiesz o tym? I co mu powiedziałeś?

– Że już nie mam obrazu. Że dokładnie po to, aby nie wpaść w kłopoty, oddałem obraz w rządowe ręce.

– Okłamałeś go?

– Oczywiście, że tak. Myślałem, że to zakończy historię. Ale on zadzwonił po raz trzeci i powiedział, że sprawdził listy zrabowanych dzieł sztuki i że tego obrazu nadal brakuje. Potem pomyślałem, że może być glina, detektywem czy kimś takim, że mnie testuje. Ale od razu to wykluczyłem, bo facet podniósł swoją ofertę.

– Do jakiej kwoty?

– Podwoił stawkę.

– Do jasnej cholery, Gott. Teraz naprawdę się zestresowałam. Muszę się czegoś napić – powiedziała, patrząc na stojącą na stole szklanekę wody, której do tej pory nawet nie tknęła. – Ale czegoś z procentami.

Julia podeszła do lodówki i wróciła z dwiema butelkami piwa. Nie przeszkadzało im, że była dopiero dziesiąta rano. Usiadła znowu na taborecie i wzniesli toast za płótno.

– Dobrze. Mów dalej.

– Nie przyjąłem jego nowej oferty.

– I co stało się później?

– Powiedział mi, że ten obraz został skradziony pewnemu Żydowi. Że mój ojciec był przestępcą. Że jeśli nie zwrócę płótna jego właścicielowi, stanę się współnikiem w tym przestępstwie. Skoro nie przyjąłem jego oferty pieniężnej, facet najwyraźniej chciał zagrać mi na uczuciach.

– Ale skoro obraz został według niego skradziony, po co chce ci za niego zapłacić?

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale powiedział, że jest człowiekiem z misją. Że jego misja polega na kupieniu tego obrazu i oddaniu go jego prawowitemu właścicielowi.

– I nie powiedziałaś mu, że ty masz dokładnie taki sam zamiar?

– No oczywiście, że mu to powiedziałem. I zapytałem, skąd mam być pewien, że nie zgłosi mnie na policję po tym, jak sprzedam mu obraz. I właśnie wtedy skurwysyn zakończył połączenie.

– Niemożliwe!

– A właśnie, że możliwe. Skurczybyk się rozłączył.

– I co teraz? Bo to, co powiedział ci twój ojciec, nie jest chyba prawdą.

Gottfried spuścił głowę. Nie chciał uznać winy ojca, ale nie mógł też zaprzeczyć, że było to możliwe. Julia zauważyła zaniepokojenie ukochanego, ale najpierw chciała powiedzieć coś, co wydawało jej się dużo ważniejsze niż jego zmartwienie.

– Ale przyjrzyjmy się temu lepiej: powiedziałaś, że ten facet wie, że odziedzyczyłeś obraz po ojcu. I jeśli się nie mylę, tylko Max i Lucas o tym wiedzą. Czy jeden z nich nie mógł być tym wydzwanającym i grożącym ci przez telefon mężczyzną?

Gottfried nie wziął pod uwagę takiej możliwości. Cieszył się, że wyjaśnił wszystko Julii, ponieważ jej analityczny umysł, rozwijany w codziennej pracy pielęgniarki, mógł dojść do wniosków, których on, przy znacznie bardziej nieuporządkowanym myśleniu, nie był w stanie wyciągnąć. Jednak nadal nie powiedział jej o ostatnim, czwartym telefonie.

## 35. Melancholia

– Muszę przyznać, że możesz mieć rację. To mógłby być jeden z nich, ale po czwartym telefonie, który odebrałem, myślę, że to raczej mało prawdopodobne. Obaj cię znają i wątpię, żeby odważyli się cię tknąć.

– Czwarty telefon to ten, o którym powiedziałaś mi na antresoli w Glücku.

– Dokładnie tak. Skurwysyn dał mi do zrozumienia, że znajdzie sposób, żeby przemówić mi do rozumu, że znajdzie mój słaby punkt, o ile już w zasadzie go nie znalazł. I wtedy wspomniał o tobie. A ja natychmiast się wściekłem i straciwszy nad sobą panowanie, przyznałem mu rację. Teraz wie, że to ty jesteś moim słabym punktem.

Bezbronność Gottfrieda nie była dla Julii niczym nowym, natomiast nowa była desperacja, jaką widziała w jego oczach. Ze współczuciem pogładziła go po włosach. Przytulił ją tak mocno, jakby ktoś chciał mu ją odebrać, i wyszeptał jej do ucha:

– Gdyby coś ci się stało, nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Właśnie dlatego zdecydowałem, że oddam mu ten obraz.

Julia od razu zareagowała na wiadomość, że Gottfried zamierza się poddać.

– Czy ty do końca już zwariowałaś? – wykrzyczała, uwalniając się z jego uścisku.

– Nie ma mowy, Gott! Znajdziemy właściciela tego obrazu i go oddamy. Taka jest ostatnia wola twojego ojca, a z tego, co rozumiałam, chciałeś ją wypełnić. Rzeczy nie dzieją się bez przyczyny, ten obraz pojawił się z jakiegoś powodu w twoim życiu. Wszystko, co robimy, ma swoją przyczynę i skutek; nie ma akcji bez reakcji, tak jak nie ma rezultatu bez wcześniejszego powodu. Czy zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego wróciłeś do Zurychu? A raczej: co zamierzałeś osiągnąć, wracając tutaj?

Gottfried nie odpowiedział. Wiedział, że Julia nie skończyła jeszcze mówić i miał też świadomość, że na wszystkie zadane mu pytania miała już odpowiedzi.

– Być może musiałeś wrócić do Zurychu, żeby wypełnić wolę ojca – mówiła dalej Julia. – Może to właśnie prośba Hermanna nada twojemu życiu jakiś sens. Może

przy pomocy tej skrytki zamkniesz cykl, który otworzył kiedyś twój ojciec. Nazwij to sprawiedliwością tego świata. Nazwij to przeznaczeniem.

To, jak Gottfried widział Hermanna, było w głównej mierze powtarzaną przez jego matkę opowieścią. Nie miał związanych z nim prawie żadnych wspomnień. Chciał myśleć, że jego ojciec był porządnym człowiekiem, któremu przyszło zmierzyć się z ciężkim losem. Mogło się jednak też okazać, że wcale tak nie było. Nie mógł mieć żadnej pewności.

– Julio, nie mamy śladów. Nie widzę żadnego z tych znaków, w które ty tak bardzo chcesz wierzyć. Wierzę tylko w rzeczy materialne: imię, dane, coś, od czego moglibyśmy zacząć. Ale nic takiego nie istnieje. A poza tym wyobraź sobie, że facet nie kłamał na temat mojego ojca – powiedział pokornym tonem, którego Julia nigdy u niego nie słyszała. – To były trudne czasy. Ludzie byli w potrzebie. Wszystko jest możliwe. Często dopadają mnie wątpliwości, dlatego zastanawiam się, jak naprawdę obraz trafił w jego ręce. Czy nie wydaje ci się niewiarygodne, że przypadkiem znalazł płótno w lasce pozostawionej przez Żyda, jak napisał mi w liście?

Julia podała mu rękę. Współczuła mu. Gottfried był naprawdę sfrustrowany. Po jakimś czasie kontynuował:

– A jeśli to nie jest prawda, że tak zdobył obraz? Ukradł go? Dogadał się z nazistami? Przyjął go jako zapłatę?

– Zapłatę za co? – zapytała szybko Julia.

Gottfried utkwiał martwy wzrok w kuchennej ścianie. „Nigdy nie dostałem zapłaty za pomoc Żydowi w przekroczeniu granicy” – napisał w liście ojciec. Co miało oznaczać to stwierdzenie? Myślni Gottfried był bardzo daleko od miejsca, w którym znajdował się fizycznie. Odpowiedział na pytanie Julii z miejsca położonego bardzo głęboko w jego pamięci. Piwa stały na stole, zupełnie ciepłe, kiedy Gottfried opowiadał Julii, jak jego ojciec, również syn emigrantów, dołączył do nielegalnej grupy, która przemycała do kraju ludzi szukających schronienia. Wszystko miało miejsce w 1942 roku, kiedy granica szwajcarska została zamknięta dla żydowskich uchodźców. Członkowie tej grupy nazywali siebie kurierami. Hermann Messmer był jednym z nich. Jako strażnik leśny znał góry jak własną kieszeń i był odpowiedzialny za przeprowadzanie uchodźców przez alpejskie granice.

Kiedy Gottfried wspominał rozmowy z Adą, nie przychodziło mu na myśl takie słowo jak zapłata. Jego matka mówiła raczej o solidarności i współczuciu.

– Nie mam wielu wspomnień z ojcem, Julio. Tak jak ci wcześniej opowiadałem, cierpiał na depresję, chociaż miewał też dobre dni. Wtedy uczył mnie czytać albo zabierał mnie w góry, aby podziwiać przyrodę. Zabierał mnie do miejsc, które doskonale znał. Uwielbiał góry.

Julia słuchała uważnie, zaskoczona nieznaną częścią biografii Hermanna. Siedziała w ciszy przy swoim ukochanym i trzymała go czule za rękę. Nigdy wcześniej nie zwierzył się jej z tylu intymnych historii. Gottfried walczył ze swoją wrażliwością, ponieważ nikt nigdy nie nauczył go rozumieć jej jako zalety, jako cechy potrzebnej do radzenia sobie z najdelikatniejszą sferą życia każdego człowieka: uczuciami.

– Mimo wszystko – mówił dalej – te kilka wspomnień, które przypominają coś na kształt szczęścia, nie były udziałem ojca. Nie widziałem radości w jego oczach, lecz coś, co umiałem nazwać dopiero jako dorosły człowiek, bo to przypadłość dorosłych.

– Co masz na myśli, mówiąc o przypadłości nękającej tylko dorosłych? Wszyscy ludzie cierpią, a choroba jest chorobą.

– Może masz rację, ale to przypadłość, na którą cierpią najczęściej dorośli, ponieważ tylko ten, kto przeżył wystarczająco dużo, może czuć nostalgię za tym, co zostawił za sobą. Właśnie dlatego, kiedy byłem już dorosłym mężczyzną, wiedziałem, że chorobą, na którą cierpiał mój ojciec, była melancholia. To widziałem w jego oczach, kiedy szliśmy razem do lasu: melancholię i smutek. Tęsknił za czasami, kiedy był w stanie utrzymać rodzinę, czasami, kiedy czuł się potrzebny i wierzył, że może zmienić świat.

## 36. Wizyta

Lucas Steiner pożegnał się z Maxem w drzwiach pracowni malarza i rzeczywiście udał się do galerii, aby ją zamknąć, chociaż skończyło się na tym, że został na godzinę, bo musiał przygotować sprawy na następny dzień. Potem wyłączył wszystkie światła i poszedł do domu. Wcześniej rozkazał Marcie, swojej pomocy domowej, przygotować dla siebie lekką kolację, ponieważ miał zamiar położyć się wcześniej spać.

Runął na łóżko jak kamień i dość szybko zasnął, ale potem budziło go w nocy własne chrapanie i bezdech. Lucas nie mógł spać. Jeszcze nie zaczęło świtać, kiedy zmęczony przerzucaniem się z boku na bok i bezsensownym wierceniem się pod kołdrą, postanowił wstać i wziąć prysznic, żeby zebrać myśli. Najlepsze pomysły przychodziły mu do głowy pod prawie wrzącym strumieniem wody. Trzymał pod prysznicem wodoodporny marker, którym robił notatki na wykafelkowanej ścianie. Jak tylko poczuł na ciele strumienie wody, jego umysł przebudził się, a wcześniej niepołączone ze sobą pomysły zaczynały nabierać sensu.

W kuchni zaparzył sobie bardzo mocną kawę i z filiżanką w ręku udał się do biblioteki zajmującej najprzystrojnniejszy pokój w jego domu przy Lindenstrasse nad Jeziorem Zuryskim, w jednej z najdroższych dzielnic miasta.

W tym pomieszczeniu Marta nie mogła niczego dotykać. Zabronił jej nawet ścierać tam kurz. Biblioteka była jedynym miejscem, które Lucas zamykał na klucz, kiedy wychodził z domu. To tam, na stole w stylu Ludwika XVI, trzymał swój komputer, zgromadził tam też książki o sztuce, fotografii, historii, biografii i publikacje z najróżniejszych innych dziedzin leżące bezładnie na półkach z drewna orzechowego. Zajmowały one trzy pozbawione okien ściany. Był to chaos, nad którym panował wyłącznie jego właściciel.

Lucas rzucił okiem na półki w poszukiwaniu jednej książki. Tytuł, wydrukowany srebrnym atramentem na oprawie z czarnej tkaniny, brzmiał: *Operowanie światłem*

w *środkowoeuropejskim naturalizmie*. Postawił filiżankę kawy na innej półce. Zaczął czytać na stojąco. Kawa po pewnym czasie wystygła.

Służąca wychyliła głowę zza framugi drzwi. Stała naprzeciwko Lucasa w uniformie, ale nie była jeszcze uczesana.

– Dzień dobry, panu. Wstał pan dziś niezmiernie wcześnie.

Lucas odpowiedział, prawie na nią nie patrząc:

– Marto, wracaj do łóżka. Możesz jeszcze pospać kilka godzin. U mnie wszystko w porządku. Nie przejmuj się mną.

Marta pracowała dla niego już osiem lat. Bardzo wcześnie owdowiała i nie miała dzieci. Zatrudnił ją dzięki pomocy Myriam, byłej żony, na długo potem, jak już się rozstali. Lucas zatrzymał szwajcarskie nazwisko, a w zamian uczynił ją prawdziwą wielbicielką sztuki. Zapraszał ją na wernisaże, na których zawsze pojawiała się, chociażby tylko po to, żeby go krytykować. Rozstali się za porozumieniem stron. I nawet przez lata separacji dobrze się ze sobą dogadywali. Myriam była osobą, która w Szwajcarii najlepiej go znała.

Kiedy gosposia opuściła pokój, Lucas położył książkę na jedynym w pomieszczeniu parapecie przy oknie wychodzącym na jezioro i zaczął szukać innej części z tej serii, dużo większej i cięższej. Otworzył książkę na spisie treści.

Przesunął palcem po różnych tytułach, aż wreszcie dotarł do tego, który go interesował. Potem usiadł zmęczony przed komputerem i poszukał w zapisanych stronach adresu Narodowego Archiwum Skradzionych Dzieł Sztuki udostępnianego przez FBI.

RODZAJ PRZEDMIOTU: Obraz na płótnie

TYTUŁ: *Las w ciszy*

AUTOR: Gustav Klimt

EPOKA: XIX wiek

DATA: 1881/1884

REZULTAT POSZUKIWAŃ: Nie znaleziono

Ostatni wpis wskazywał, że nawet największa na świecie agencja śledcza wciąż nie zlokalizowała obrazu. Próbował innych baz danych, ale również bezskutecznie.



Lucas wiedział o istnieniu tego płótna już od 1999 roku, kiedy do jego galerii w nowojorskiej dzielnicy Chelsea przybył niejaki Gabriel Baron przekonujący Lucasa, aby pomógł mu odnaleźć obraz. Galerzysta miał wtedy czterdzieści siedem lat – miał dużo więcej ambicji i dużo mniej kilogramów. Dorastał w New Jersey w przekonaniu, że Manhattan jest centrum świata sztuki. Nie miał zamiaru spocząć, dopóki nie przekroczył rzeki Hudson z głową pełną pomysłów. Uczył się fachu u swojego ojca, znanego handlarza dziełami sztuki, a kiedy skończył trzydzieści pięć lat, postanowił zaryzykować i opuścić swój wygodny mały domek na wsi, żeby osiedlić się w Nowym Jorku, w mikroskopijnym mieszkanku naprzeciwko Tompkins Park na południowym wschodzie wyspy. Wkrótce potem otworzył niedaleko swoją pierwszą galerię. Z biegiem czasu przeniósł skromną firmę z Lower East Side do znacznie większej przestrzeni położonej w kwitnącej dzielnicy Chelsea w zachodniej części Nowego Jorku. Nie było mu łatwo wyrobić sobie markę na konkurencyjnej scenie artystycznej metropolii, ale sprawy potoczyły się pomyślnie, gdy tylko Lucas odkrył, że przed wielką karierą powstrzymują go jedynie skrupuły. Kiedy je zarzucił, jego interes natychmiast nabrał tempa. Wkrótce potem, upalnego lata 1999 roku, w jego ręce wpadła lista Jakoba Sandlera.

## 37. Gabriel Baron

W sierpniu 1999 roku w prognozie pogody zapowiadano kolejną falę upałów i chociaż był jeszcze wczesny ranek, można było to odczuć w całym Nowym Jorku. Lucas czytał gazetę w swojej niedawno otwartej galerii sztuki, siedząc przy elektrycznym wiatraku, przemieszczającym powietrze z jednej strony pokoju na drugą. Przystarzała instalacja elektryczna w jego lokalu w Chelsea nie była kompatybilna z klimatyzacją. W radiu po raz tysięczny puszczali *Bailamos*, przebój Enrique Iglesiasa górujący na szczycie listy „Billboardu”, kiedy nagle brzęczący niespodziewanie dzwonek przerwał Lucasowi nucenie hitu hiszpańskiego wokalisty.

Do galerii wszedł mężczyzna po siedemdziesiątce, który zaczął się błąkać między wystawionymi na sprzedaż dziełami sztuki. Był lekko zgarbiony i udawał zaciekawienie niektórymi obrazami, chociaż zważywszy na tempo, z jakim przechodził od jednego płótna do drugiego, Lucas założył, że żadnego z nich nie kupi i czytał dalej „New York Timesa”.

Gość obszedł całą wystawę, po czym podjął próbę nawiązania kontaktu wzrokowego z Lucasem. Właściciel galerii poczuł się nieswojo i niezręcznie na myśl, że jest zmuszony odłożyć gazetę. Był prawie pewien, że czas poświęcony mężczyźnie nie przyniesie mu żadnych korzyści finansowych. Z czystej uprzejmości zapytał, czy jest zainteresowany kupnem któregoś obrazu, a wtedy mężczyzna zaskoczył go szczerą i zupełnie niespodziewaną odpowiedzią.

– Tak właściwie to nie za bardzo. Szukam właściciela galerii, Lucasa Guesta.

– Stoi naprzeciwko pana. Lucas Guest to właśnie ja – odpowiedział właściciel galerii, wyciągając przed siebie dłoń. Ręka zawisła nieruchomo w powietrzu.

Mężczyzna wyglądał na zmieszanego, a Lucas zrozumiał od razu, dlaczego tak zareagował. Już niejednokrotnie zdarzało mu się to w pracy na kierowniczym stanowisku. Na jego twarzy zarysował się półuśmiech, po czym zwrócił się do swojego gościa z pewnością siebie:

– Nie jestem tak młody, na jakiego wyglądam.

Starszy mężczyzna lekko się zaczerwienił i przeprosił:

– Bardzo mi przykro, ale powiedziano mi, że jest pan ekspertem w dziedzinie, w której mam najczęściej do czynienia z osobami raczej w moim wieku, a nie pana.

– Proszę się nie martwić. Już nie raz mi się to zdarzyło – przyznał Lucas. – Większość osób myśli, że doświadczenie przychodzi z wiekiem, ale niewiele osób wie, że nie jestem pierwszą osobą w mojej rodzinie, która poświęciła swoje życie sztuce. To już nasza rodzinna tradycja...

– No tak, wszystko zostaje w rodzinie – odpowiedział mężczyzna.

– Dokładnie tak. A pan...?

– To dość osobiste pytanie, ale muszę przyznać, że jestem raczej normalnym człowiekiem – powiedział i zaśmiał się w głos, a Lucas nie był w stanie powstrzymać się od uśmiechu. Potem mężczyzna przedstawił się i wyciągnął rękę w stronę właściciela galerii, a on nie zawahał się ani chwili i ją uściśnął. – Proszę mi wybaczyć ten napad śmiechu, panie Guest, ale musi mi pan przyznać, że dość zabawnie wyszło z tym pańskim pytaniem po takim wstępie. Ja nazywam się Gabriel Baron.

Śmiech przełamał pierwsze lody i rozpoczęli swobodną rozmowę. Zwiedzający zaczął od opowiadania o malarstwie naturalistycznym, a potem przeszedł do impresjonizmu z końca XIX i początku XX wieku. Lucas zdał sobie sprawę, że facet sprawdzał jego wiedzę w tej dziedzinie, dlatego poczuł, że może się przed nim po prostu popisać.

Po długiej rozmowie właścicielowi galerii udało się nawet sprzedać jeden mały obraz. Mężczyzna oświadczył, że odbierze go po południu i zaraz potem opuścił lokal. Lucas został nagle sam z dwiema niewiadomymi: jaki był sens tego spotkania? Ale przede wszystkim: dlaczego ten człowiek był nim tak zainteresowany? Zapakował obraz zakupiony przez Barona i wypełnił certyfikat własności. Potem położył płótno obok stołu, oczekując, że jego nowy właściciel przyjdzie wkrótce do galerii, żeby go odebrać.

– Kiedyś już kupiłem u pana obraz, panie Guest, ale zarówno pan, jak i ja wiemy, że nie chodzi tu o zwykłą transakcję. Muszę też przyznać, że jest pan wybitnym

sprzedawcą. Ale nasza rozmowa nie miała służyć zakupom. Chciałem głównie sprawdzić, czy jest pan osobą, o której mi mówiono.

– No tak... – odpowiedział zaskoczony Lucas. – Z tego, co mi wiadomo, jestem Lucasem Guestem. Umieram też z ciekawości, żeby dowiedzieć się, co powiedzieli panu o mnie inni.

Starszy mężczyzna przyjrzał mu się uważnie.

– Powiedziano mi, że nie zarabia pan na życie, prowadząc tę galerię.

Lucas nawet się nie skrzywił i natychmiast mu odpowiedział:

– Panie Baron, gdybym nie zarabiał na życie dzięki tej galerii, nie spędzałbym w niej tylu godzin. Tak jak sam pan widzi, nie mam żadnych pracowników. Ta galeria to całe moje życie.

– Jest pan zbyt młody na takie wyznanie, panie Guest. Życie jest bardzo długie.

Lucas poczuł się niezręcznie przez wyższość, z jaką potraktował go nieznajomy.

– Chodzi mi raczej o to, że znalazłem coś, co mnie pasjonuje. A pan? Czy znalazł pan swoją pasję, panie Baron?

Mężczyzna od razu uciął ironię Lucasa.

– Mogę panu powiedzieć, że wcale nie podoba mi się to, co pana tak pasjonuje, panie Guest. Wiem, kim pan jest – bynajmniej nie tylko właścicielem tej galerii. Jest pan *courier*. Handluje pan nielegalnymi dziełami sztuki. – A następnie, rzucając spojrzeniem na galerię, dodał: – To wyjaśnia, dlaczego wystawiając tu takie gówno, może sobie pan pozwolić na lokal w Chelsea.

## 38. Lista

Lucasowi zaczynały już brzydnać odwiedziny Gabriela Barona. Osiągnięcie obecnego statusu kosztowało go wiele wysiłku. Starzec zdawał się wiedzieć o nim wszystko, podczas gdy on nie miał pojęcia, czy imię, które mężczyzna mu podał, jest nawet prawdziwe.

W radiu dało się słyszeć ogłuszający rytm *Livin' la vida loca* Ricky'ego Martina. Nagle Lucas wstał, żeby wreszcie wyłączyć wyjące urządzenie. Czuł, że jest zagrożony.

Nie miał ochoty dłużej rozmawiać, bo utracił kontrolę nad sytuacją, więc postanowił zakończyć całą tę farsę.

– Panie Baron, pana obraz został już przygotowany, chociaż jeśli się panu nie podoba, nie musi go pan wcale kupować. Zniszczę certyfikat własności i po sprawie. A teraz, jeśli pan pozwoli, muszę zamknąć lokal, ponieważ za piętnaście minut jestem umówiony na kolację – skłamał.

Jego rozmówca nerwowo poprawił się na krześle i położył na stole oprawioną w skórę teczkę. Ręce zaczęły mu delikatnie drżeć, kiedy rozpinał zamek, żeby wyciągnąć ze środka zapisany na maszynie do pisania mały żółty kartonik. Tusz na samym dole był lekko rozmazany. Podał kartkę Lucasowi i poczekał na jego reakcję, nie odrywając od niego wzroku.

Właściciel galerii omiótł kartkę wzrokiem z góry na dół.

– Co to ma być? – zapytał.

– Proszę spokojnie to przeczytać – zasugerował Baron. – Umie pan czytać po niemiecku, prawda?

Lucas rzucił jeszcze raz wzrokiem na kartkę, ale tym razem przyjrzał się jej uważniej, z poczuciem narastającej niezręczności. Skąd stary wiedział, że mówi po niemiecku? Co jeszcze o nim wiedział? Kiedy skończył czytać, podniósł głowę i z błyskiem w oczach zapytał:

– Czy te dzieła należą do pańskiej kolekcji?

– Nie – odpowiedział mężczyzna. – Należą do mojego kolegi, który nie jest w stanie ich odebrać.

– Więc po co pan mi to wszystko pokazuje?

Baron wyjaśnił swoje powody jasnym i pewnym tonem:

– Chcę, żeby znalazł pan obrazy znajdujące się na tej liście i je dla mnie kupił, panie Guest. Proszę zrobić sobie kserokopię. Zapłacę naprawdę sporo, ale ostrzegam, że jeśli wpadnie pan w kłopoty, będę utrzymywał, że się nie znamy.

– Chwileczkę, proszę poczekać. Jeśli obrazy należą do pańskiego kolegi, dlaczego on się tym nie zajmie?

– Bo nie żyje.

– A więc dlaczego chce pan kupić obrazy pańskiego kolegi?

– Powód, dla którego chcę to zrobić, nie powinien pana interesować, panie Guest. I przecież powiedziałem już panu, że on nie może żądać ich zwrotu.

– Żądać zwrotu? Ale od kogo?

– Od kogokolwiek, kto jest w ich posiadaniu. Mój przyjaciel był zmuszony porzucić te dzieła, kiedy uciekł z Linzu po aneksji Austrii do nazistowskiej Rzeszy. Od tamtej chwili słuch po nich zaginął.

– Rozumiem. Czyli to lista zrabowanych dzieł sztuki – podsumował Lucas, opierając plecy o oparcie krzesła. – Muszę niestety panu odmówić, panie Baron. Nie chcę problemów z FBI.

Starzec zaśmiał się w głos.

– Rozumiem. Ile pan weźmie?

– Nie, nie. Źle mnie pan zrozumiał. Nie chcę żadnych problemów.

– Panie Guest, proszę spojrzeć na to z innej strony: zapłacę 10 tysięcy dolarów za każdy znaleziony przez pana obraz z listy. Jeśli uda się panu je kupić, otrzyma pan prowizję w wysokości dwudziestu pięciu procent od ceny sprzedaży, niezależnie od kwoty. Oczywiście nie będzie musiał pan wyciągać pieniędzy z własnej kieszeni, żeby zakupić te obrazy – powiedział z chytrym uśmiechem. – Za wszystko zapłacę. Na liście znajduje się dwadzieścia jeden pozycji. Jeśli uda się panu pozyskać dziesięć z nich, otrzyma pan ode mnie milion dolarów premii. Jeśli zdobędzie wszystkie prace, otrzyma pan kolejne, znacznie hojniejsze wynagrodzenie.

Lucas musiał zapanować nad sobą, żeby nie dać po sobie poznać, jak bardzo zaskoczyła go propozycja Barona. Przyszło mu do głowy, że Baron mógł być również agentem FBI podającym się za kogoś innego i odpowiedział przebiegle, uśmiechając się sam do siebie.

– Kupno skradzionych dzieł sztuki nie jest dobrym uczynkiem, panie Baron.

– Jest dobrym uczynkiem, jeśli celem tej operacji jest oddanie obrazów ich prawowitemu właścicielowi. Podejrzewam, że wie pan też, że w zeszłym roku podpisano Deklarację Waszyngtońską. Czterdzieści cztery kraje zgodziły się współpracować, żeby odzyskać zrabowane przez nazistów podczas II wojny światowej dzieła sztuki. Ale na świecie jest o wiele więcej krajów. Ponadto, te postanowienia nie są wciąż wiążące, więc dopóki nie zostaną wprowadzone odpowiednie prawa restytucyjne, jedyną opcją odzyskania zrabowanych dzieł sztuki jest gra podług zasad czarnego rynku.

Lucas wiedział, że starzec ma rację. Baron nie był jedyną osobą, która doszła do tych wniosków – a dokładnie dzięki takim ludziom jak on łowcy dzieł sztuki pokroju Guesta mogli bardzo się wzbogacić.

– Doskonale wiem, o czym pan mówi, panie Baron – odpowiedział Lucas. – Ale o ile się nie mylę, wcześniej oświadczył pan, że właściciel tych dzieł już nie żyje. Co ma pan zamiar zrobić? Zanieść obrazy na cmentarz? Stworzyć z nich zmarłemu mauzoleum?

Baron stracił cierpliwość.

– Proszę tylko pana, żeby miał pan poszanowanie dla zmarłych, panie Guest!

Lucas wiedział, że przesadził, więc poprosił o wybaczenie. Co by nie mówić, starzec nie wyglądał na żadnego agenta służb specjalnych, raczej sprawiał wrażenie kogoś, kto ma w życiu jeden konkretny cel, więc nie zaszkodziło go posłuchać. W najgorszym razie straciłby trochę czasu. Po przyjęciu przeprosin Baron uspokoił się i opowiadał dalej:

– Tak naprawdę ma pan rację, panie Guest. Powiedziałem panu, że właściciel dzieł nie żyje. Chociaż tak naprawdę nie mogę pana o tym zapewnić. Nazywał się Jakob Sandler. Kiedy go poznałem, byłem jeszcze nastolatkiem. Obaj uciekaliśmy przed rychłą śmiercią. Ja miałem rodzinę w Nowym Jorku, dlatego przybyłem do Stanów Zjednoczonych. On zmierzał w kierunku Szwajcarii, gdzie ślad po nim się gubi. Nie mogę więc zapewnić, że umarł, chociaż jako że był o dziesięć lat ode

mnie starszy, prawdopodobieństwo tego, że jeszcze żyje, z każdym rokiem maleje. Niemniej jednak nawet jeśli zmarł, miał być może rodzinę. A ja nie spocznę, dopóki jej nie odnajdę.

Baron wypowiedział wszystkie te słowa, wpatrując się w oprawioną w skórę teczkę, którą zostawił otwartą na stole. Kiedy skończył mówić, spojrzał Lucasowi w oczy.

– To już moja sprawa. Ale odpowiedź na moją ofertę należy do pana, a wciąż nie powiedział mi pan, co o tym wszystkim myśli.

– Jeśli pozwoli mi pan na odrobinę szczerości, muszę panu powiedzieć, że bawi się pan w Don Kiszota. Co chce pan zrobić z tymi obrazami? Po co chce pan zainwestować tyle pieniędzy w obrazy, które nie przyniosą panu żadnych korzyści?

Gabriel Baron odzyskał swoją początkową pewność i odpowiedział:

– To, panie Guest, niech już lepiej pana nie obchodzi. Jedyne, co od pana zależy, to przyjęcie lub odrzucenie mojej oferty.

Stojąc przed oknem wychodzącym na jezioro w bibliotece swojego zuryskiego domu, Lucas przypomniał sobie, że kiedy stary Gabriel Baron opuszczał galerię w Nowym Jorku, wydawał mu się wyższy i lżejszy niż wtedy, gdy do niej wchodził. Od tamtego wydarzenia minęło dziesięć i pół roku. Przez cały ten czas Lucas szukał obrazów z listy zapisanej na maszynie do pisania jeszcze przed tym, jak cała Europa Zachodnia została zburzona przez bombardowania II wojny światowej.

Dotychczas udało mu się zlokalizować i kupić dla Barona dziewięć dzieł. Zainwestował wszystkie zarobki w prowadzenie galerii i zakup wspianego domu z ogrodem przy Lindenstrasse. Miał nawet własną kolekcję dzieł sztuki, której nie zamierzał nigdy sprzedać. Mimo wszystko brak mu było płynności finansowej i miał dość sporo długów. Daleko było do wystawy Maxa, od której i tak musiałoby minąć jeszcze kilka miesięcy, zanim obrazy przyniosłyby mu jakikolwiek dochód. Tymczasem premia w wysokości miliona dolarów znajdowała się na wyciągnięcie ręki, a jeszcze niedawno wisiała na starej belce w Glücku tylko po to, żeby zaraz zniknąć mu sprzed nosa. Dlatego musiał znaleźć sposób, żeby odzyskać *Las w ciszy*.



## 39. Obiekt pożądania

Lucas przechowywał kopię listy w sejfie znajdującym się w podłodze biblioteki. Wyjął ją ze skrytki, żeby jeszcze raz ją przeanalizować, mimo że znał wszystkie jej szczegóły na pamięć. Niektóre obrazy nie przetrwały próby czasu, a ich twórcy popadli w zapomnienie, co odbijało się na niskiej wartości ich prac – to też miało wpływ na to, czy Lucasowi opłacało się podjąć wysiłek, żeby je zlokalizować. Niektóre zaś dzieła zwielokrotniły swoją wartość i to na niewyobrażalną skalę. Jednym z nich był mały obraz olejny, który Lucas odkrył w Glücku. *Las w ciszy* był ostatnim tytułem na liście Jakoba Sandlera. Galerzysta mógł po prostu ukraść go z Glücka, bo pewnie zauważyłby to tylko Gottfried. Było jednak za późno.

Z powodu różnicy czasowej dzielącej Zurych i Nowy Jork Lucas nie mógł jeszcze zadzwonić do Barona. Kiedy tylko staruszek dowie się, że upragniony obraz przepadł, na pewno się wścieknie. Nie wiedział, jak miał mu o tym powiedzieć. Poza tym nie miał pojęcia, jak przekazać Baronowi, że nie jest on jedyną osobą zainteresowaną Klimtem, ponieważ teraz szukał go również Max Müller. Zarzekał się, że obraz należał do jego ojca, co nie szło w parze z interesami Lucasa.

Właściciel galerii przechowywał w segregatorze nieliczne informacje, które udało mu się znaleźć na temat tego niewielkiego płótna przedstawiającego leśny krajobraz. Ze wszystkich prac widniejących na liście Jakoba Sandlera *Las w ciszy* był najmniej znanym. Znajdowały się tam prace o znacznie większej wartości, ale brak danych dotyczących tego obrazu stał się jego osobistą obsesją, a dzieło – szczególnym przedmiotem pożądania.

Spędził resztę poranka w bibliotece, poszukując w internecie nowych informacji na temat dzieła Klimta. Koło dwunastej, kiedy Marta podała mu posiłek, zrobił sobie małą przerwę, a potem poszedł do galerii. Musiał obrać jakąś strategię na potrzeby rozmowy z Baronem, ponieważ nie tylko nie udało mu się zdobyć obrazu, ale na dodatek przepuścił wszystkie pieniądze przeznaczone na jego kupno. Mimo że od ich pierwszego spotkania minęło ponad dziesięć lat, czas nie

zatarł wypowiedzianych przez starca słów, które w głowie Lucasa wybrzmiewały jak wyrok: „Jest pan tylko *courier*”.

I rzeczywiście Lucas był tylko *courier*, tak samo jak jego ojciec. Prowadząc przez lata galerię na Lower East Side i próbując utrzymać się z legalnej działalności, szybko był niemal zmuszony ją zakończyć. Sława ojca jako odnoszącego sukcesy właściciela galerii i handlarza dziełami sztuki doprowadziła do tego, że jego porażki były jeszcze bardziej dotkliwe. Właśnie wtedy ojciec wyjawiał mu sekret swojego sukcesu. „Lucas, to ty wybierzesz, który styl życia bardziej ci odpowiada – tłumaczył mu ojciec. – W życiu można wybrać dwie ścieżki: pierwsza to droga, w której ograniczasz się do tego, żeby przeżyć z dnia na dzień, a druga polega tym, że żyjesz, jak ci się podoba. Właśnie na tym, co ci przed chwilą powiedziałem, zasadza się cała różnica. Zapomnij o jakichkolwiek skrupułach. Jeśli zgodzisz się na takie zasady, już nie będziesz miał żadnego innego wyjścia. Jeśli w grę wchodzi pieniądze, nigdy nie brakuje chętnych do zabawy”.

Lucas wybrał tę drugą ścieżkę, chociaż nie zawsze szło mu to gładko. W istocie raz poszło mu tak źle, że musiał uciec z Nowego Jorku w kajdankach. Jeden nieuczciwy układ z bardzo ambitnymi spadkobiercami pewnej zamożnej rodziny w Connecticut doprowadził do zrujnowania jego wizerunku poważanego właściciela galerii, tak że był zmuszony stanąć twarzą w twarz z władzami federalnymi.

Gabriel Baron sfinansował jego ucieczkę, a znajomość niemieckiego ułatwiła wybór kraju. Natomiast Myriam Steiner pomogła mu w zdobyciu nazwiska na początek nowego życia w Europie. Ostatnie dziesięć lat upłynęło bez większych problemów, ale teraz musiał znaleźć *Las w ciszy*, zanim utraci zaufanie Barona. Nie mógł już więcej ryzykować. Nie mógł pozwolić sobie na to, żeby starzec stał się teraz jego wrogiem.

## 40. Lojalność

W Nowym Jorku zaczynało dopiero świtać, kiedy w rezydencji Gabriela Barona na Upper East Side zadzwonił telefon. Mimo że służący powiadomił Lucasa, że staruszek jeszcze śpi, poszedł do jego pokoju, kiedy właściciel galerii zaczął nalegać, że musi natychmiast się z nim skontaktować. Długi sygnał obwieścił Lucasowi, że jego połączenie zostało przekazane do Barona. Kiedy w końcu odebrał, ten nawet się z nim nie przywitał, ponieważ nie był w stanie powstrzymać podekscytowania.

– Masz już *Las w ciszy*?!

Tak bezpośrednie pytanie wytrąciło Lucasa z równowagi i zawahał się przed wypowiedzeniem słowa. Starzec zinterpretował to jako przeczącą odpowiedź.

– Dlaczego go jeszcze nie zdobyłeś? – zapytał poirytowany. – Przecież dostałeś już pieniądze.

– Wiem – powiedział Lucas. – Ale Messmer nie chce go sprzedać.

– Jak to: nie chce sprzedać? Wie, że ten obraz zrabowano?

– Tak, oczywiście. Spróbowałem go podejść po dobremu, przycisnąłem go, ale nic to nie dało.

– Do niczego się nie nadajesz! Mówiłem ci, żebyś go nie przyciskał. I lepiej módl się, żeby nie poszedł z tą sprawą na policję!

– Nie pójdzie – powiedział przekonany Lucas.

– Nie? A skąd to niby wiesz?

– Ponieważ mógł już to dawno zrobić. Mógł to zrobić przez ten cały czas, ale tego nie zrobił.

– Więc dlaczego jeszcze nie mam obrazu?

– Bo nie wiem, gdzie jest. Nie ma go już w kawiarni.

– Ale Messmer wciąż go ma?

– Mam nadzieję, że tak, ale nie jest już pan jedyną osobą poszukującą tego obrazu, właśnie dlatego teraz dzwonię.

Staruszek po drugiej stronie Atlantyku zamilkł, a Lucas przerwał ciszę, żeby dodać:

– Jeden z moich artystów zapytał mnie o ten obraz.

Baron nie miał zamiaru ukrywać swojego rozdrażnienia.

– A kogo do cholery obchodzą twoi artyści? Gównu mnie obchodzą twoi artyści, Lucas! – wykrzyczał Baron. – Nie wymyślaj wymówek i lepiej znajdź płótno. Masz pieniądze. Musisz je znaleźć i nie obchodzi mnie, jak to zrobisz!

Lucas nie odważył się przyznać, że pieniędzy już nie ma. Musiał więc grać na czas.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, panie Baron. Obiecuję to panu. Zresztą sam pan wie, że zawsze dotrzymuję słowa. I tak już prawie osiągnąłem swój cel: znalazłem słaby punkt Gottfrieda Messmera. Myślę, że teraz będzie musiał zaakceptować moją ofertę.

– Nie dzwoń do mnie, dopóki nie będziesz mieć obrazu w rękach – powiedział Baron gotowy, żeby zakończyć rozmowę, ale Lucas mu na to nie pozwolił.

– Proszę poczekać, panie Baron. Mam jedno pytanie.

Jako że starzec nie odłożył słuchawki, Lucas przejął inicjatywę:

– Dlaczego panu tak na tym zależy? Po co całe życie uganiać się za obrazami, które nawet nie są pańską własnością?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. W oczekiwaniu na odpowiedź Lucas słyszał w słuchawce świszczący oddech Barona. Po drugiej stronie linii rozmówca wrócił myślami do wszystkich wspomnień układających się teraz w historię najważniejszego momentu jego życia: „Ponieważ ich prawowity właściciel uratował mi życie i jestem mu to winien. Ponieważ po to właśnie udałem się do twojej nijakiej galerii w Chelsea, próbowałem wszystkich znanych mi sposobów, żeby odnaleźć jego żonę i córkę, które opuściły Linz na krótko przed aneksją i wyruszyły w stronę Zurychu, gdzie aktualnie przebywasz. Jakob Sandler wysłał im wystarczająco dużo pieniędzy, aby były w stanie rozpocząć tam nowe życie aż do momentu, gdy on ocali wszystkie obrazy i będzie mógł do nich dołączyć. Jednak nigdy nie udało im się tam dotrzeć. Obrazy miały dla niego tak ogromne znaczenie, że stały się ważniejsze od jego własnej rodziny. Nie obchodzi mnie, co

stało się z nim później, czy umarł, czy przeżył. Nie udało mi się go odnaleźć i on też nie był w stanie znaleźć mnie. Kto wie? Może nawet nigdy mnie nie szukał. Jeśli przeżył, z pewnością wołał o tym wszystkim zapomnieć. Rozpocząć nowy rozdział w życiu. Wielu tak zrobiło. Wiesz o czym mówię, Lucas? Wielu wnuków nie docieka przeszłości swoich dziadków, ponieważ wolą żyć własnym życiem. Tak naprawdę, jeśli dobrze się temu przyjrzymy, zawsze wybieramy te wspomnienia, które są nam niezbędne do przeżycia. Reszta faktów znika wraz z wiekiem lub wraz z nieubłaganym upływem czasu. Wszyscy codziennie przeżywamy samych siebie. Czy nie na tym polega życie? Na tym, żeby przetrwał nasz gatunek? Do tego jesteśmy zaprogramowani: musimy przeżyć. Ja akurat miałem szczęście i dotarłem do Stanów Zjednoczonych. Byłem sierotą, już nie chłopcem, ale jeszcze nie mężczyzną. Miałem tu rodzinę i opiekowali się mną najlepiej, jak umieli.

Kolekcjonowanie obrazów Sandlera może wydawać się szalonym pomysłem, ale zawdzięczam mu życie. Życie, Lucas, jest bezustannym staniem na rozdrożach. Cały czas musimy wybierać, tak że w końcu sami stajemy się jedynie sumą tych wszystkich wyborów. Kiedy spotkałem Jakoba, byłem przerażonym, chorobliwie wystraszonego trzynastolatkiem. Mimo wszystkich niebezpieczeństw postanowił mi pomóc, a ja stałem się jego towarzyszem. Pewnej nocy znaleźliśmy schronienie w zrujnowanym domu, ale mieliśmy pecha, bo usłyszał nas hitlerowski żołnierz. Wszedł z bronią i nie miałem czasu się schować. Podniosłem ręce i czekałem na kulę, aż znikąd pojawił się Jakob z wysoko uniesioną laską, której czubkiem przebił szyję żołnierza. Pamiętam tylko, że w tamtej chwili zemdlałem.

Kiedy odzyskałem przytomność, wszystko potoczyło się niezmiernie szybko. Ukryliśmy zwłoki, a krew przykryliśmy gruzem. Jak już skończyliśmy, powiedziałem Jakobowi, że chciałbym w przyszłości mu się za to odwdzińczyć. Wiedział, że kieruję się w stronę morza, żeby dostać się do Stanów Zjednoczonych i tam spotkać się z rodziną”.

Gabriel przełknął ślinę i był to jedyny odgłos, który Lucas usłyszał oprócz jego ciężkiego oddechu. Zwlekał z odpowiedzią na pytanie, ale wiedział, że tym razem jej nie uniknie, że czas już nadszedł. W głowie powróciły kolejne wspomnienia: „Jakob nie miał żadnej gwarancji, że dotrzymam słowa, ale kiedy człowiek zostaje postawiony w tak desperackich okolicznościach, może zadowolić się nawet zwykłą obietnicą. Z jakiegoś powodu zależało mu, żeby ktoś wiedział, że te obrazy istniały, chciał mieć świadka na wypadek, gdyby nie przeżył wojny. Podejrzewam, że

właśnie dlatego powierzył mi swój najcenniejszy sekret. Odkręcił gałkę laski i wyjął zwinięty w rulon kartonik zapisany na maszynie. Była to właśnie lista, którą pokazałem ci w 1999 w Chelsea. Tej samej nocy rozdzieliliśmy się, ale zanim to się stało, wymusił na mnie obietnicę odnalezienia swoich dwudziestu jeden obrazów. Obrazów składających się na kolekcję Jakoba Sandlera”.

Poruszony wspomnieniami Gabriel Baron ograniczył odpowiedź na pytanie Lucasa do kilku wypowiedzianych szeptem słów:

– Z lojalności, Lucas. Szukam obrazów Jakoba Sandlera, ponieważ jestem lojalny wobec niego. Bo jestem mu wdzięczny, że uratował mi życie.

## 41. Kłótnia

Julia zawsze sądziła, że melancholia Gottfrieda wynikała z tragicznej śmierci Glorii i Antonia, ich nagłego zniknięcia z jego szczęśliwego życia. Nie przypuszczała, że może być ona dziedziczna, dlatego kiedy to odkryła, poczuła niemałe zaskoczenie. Rozmowa w kuchni obnażyła przed nią aspekty życia ukochanego, które przez tyle lat próbował skrzętnie przed nią ukrywać. Postać depresyjnego ojca, którego obecność w życiu syna ograniczała się do corocznych odwiedzin na cmentarzu Fluntern, powróciła ze świata zmarłych, żeby na stałe pozostać w świecie żywych. Gottfried wpakował się w problemy, chcąc wypełnić wolę ojca. Julia nie mogła stać z założonymi rękami.

Blade zimowe słońce nieśmiało wkradało się do kuchni, gdy Julia i Gottfried postanowili wybrać się na spacer, żeby ostudzić emocje. Wszystko wskazywało na to, że stan stopy Gotta przez noc się polepszył. Ból zniknął i czuł się trochę śmiesznie, spacerując z sandałem na jednej nodze i butem na drugiej. Langstrasse obudziła się z kolejnej nocy, podczas której nie mogło zabraknąć ani alkoholu, ani kobiet, ani narkotyków. Przed powrotem do domu zatrzymali się w piekarni Happy, gdzie zamówili kilka rogalików i dwie kawy na wynos. Czarna kawa dla niego, a kawa z mlekiem sojowym i dużą ilością cukru dla niej. Gottfried wziął pierwszy łyk, po czym nagle się uśmiechnął, a Julia od razu zrozumiała dlaczego.

– Lepsze niż moje kapsułki, co nie? – powiedziała, a on po raz pierwszy od dawna poczuł się z powrotem sobą.

Spędzili razem resztę dnia, poszukując punktów styczności w ich rodzinnych historiach: odnaleźli utracony jeszcze w dzieciństwie autorytet ojca i wczesną śmierć matki oraz niechęć do samotności. Zauważyli, że oboje szukali bezwarunkowej miłości, której im wcześniej brakowało, chociaż jednocześnie czuli ogromny strach przed utratą ukochanych osób. Odkrycie wpływu tragedii na ich życia pozwoliło im spojrzeć na wzajemną relację z nowej, nieznanej wcześniej perspektywy.

Julia przyznała, że zawsze czuła, że musi dorównać Glorii: nie była w stanie żyć z jej ciągle obecnym wspomnieniem.

– Gloria jest częścią mojej przeszłości. Ty jesteś moją teraźniejszością i przyszłością. Każda z was znajduje się w innym miejscu. Czasami czuję, że musiałem ich utracić, żeby móc odnaleźć ciebie.

Gottfried wyznał zaś Julii, że panicznie boi się śmierci.

– Śmierć jest częścią życia – powiedział. – Ale życie w strachu nie jest życiem.

Zapomnieli o tym, że powinni zjeść obiad. Zaspokoili natomiast inny rodzaj głodu i to już na zawsze.

Kiedy zaczynało zmierzchać, Julia pożegnała się z Gottfriedem, bo musiała pójść na nocną zmianę do szpitala. Po całym dniu zwierzeń mężczyzna czuł się niezwykle lekko, więc w dobrym humorze wyruszył w drogę powrotną do kawiarni. Kiedy dotarł do Glücka, przywitał się z Valerią i wszedł na antresolę. Bar był zupełnie pusty. Spojrzał na fotografię rodziców i osierocony gwóźdź po przedstawiającym las płótnie. Nie zauważył, kiedy w barze pojawił się Max, który niespodziewanie zaszedł go od tyłu.

– Okłamałeś mnie – rzucił Gottfriedowi z wyraźną nutą pogardy. Malarz czekał na tę chwilę przez całą noc i większą część dnia.

Zaskoczony Gottfried obrócił się. W spojrzeniu Maxa można było dostrzec nie urazę, lecz raczej coś dużo poważniejszego, coś, co wydzierało się z jego wnętrza i skupiało w spojrzeniu. Było to coś, czego Gottfried nie był w stanie od razu zrozumieć. Nie umiał odpowiedzieć na ten nieoczekiwany atak, ponieważ nie wiedział też, co musiało zdarzyć się wcześniej, żeby usłyszał od przyjaciela takie oskarżenie. Max nie czekał jednak na jego odpowiedź. Był gotowy do podjęcia działania. Podniósł szybko rękę i wyciągnął przed samą twarzą Gottfrieda laskę Jakoba, a właściciel baru nie mógł wyjść ze zdziwienia.

Max zapytał go zdecydowanym tonem głosu:

– Powiedz mi natychmiast, skąd wytrzasnąłeś tę laskę?

Gottfried nie zdążył nic odpowiedzieć, bo pierwszy cios powalił go na stół i prawie upadł na podłogę. Valeria podniosła alarm, słysząc dźwięk przesuwanych gwałtownie mebli, i z parteru głośno zapytała, co dzieje się na antresoli.

– Nie martw się, Val – pospieszył z odpowiedzią Max, kiedy Gottfried zaczynał wstawać powoli na nogi. – Wszystko w porządku. Chcieliśmy tylko poprzestawiać



kilka mebli.

Chwilę potem chciał go ponownie zaatakować, ale Gottfried błyskawicznie zareagował i w ostatniej sekundzie odchylił głowę. Max uderzył pięścią w drewnianą kolumnę i zawył z bólu.

Valeria jeszcze raz zawołała z dołu.

– Gott? Co wy tam robicie?

– Przeszawiamy meble – skłamał Gottfried.

Potem podszedł do Maxa i ściszym, ale wściekłym tonem zadał pytanie:

– Czy mogę, do cholery, dowiedzieć się, co się z tobą dzieje? Skąd ty, do jasnej cholery, wzięłeś tę laskę?

– Z twojego domu! – krzyknął Max, chwytając się za bolące ramię, nie wypuszczając laski z ręki.

– A kiedy tam byłeś? – zapytał szybko Gottfried. W jego głowie zaczęły mnożyć się pytania.

– Zeszłej nocy!

Gottfried nie miał pojęcia, jak na to zareagować.

– Chcesz powiedzieć, że włamałeś się do mojego domu pod moją nieobecność?

– Okłamałeś mnie! – powtórzył malarz.

– Max, czy mogę się wreszcie dowiedzieć, o czym mówisz? Czy ty jesteś na haju? I po co, do cholery, włamałeś się do mojego domu? Jak w ogóle tam wszedłeś?

– Nie pierdol, Gott! Obraz! *Las w ciszy!* Ten, który wisiał tam na ścianie! – wykrzyknął Max, wskazując na samotny gwóźdź wbity w belkę. – To nie spadek po twoim, ale po moim ojcu!

## 42. Pieczęć

Gottfried właśnie dowiedział się, że maleńkie płótno nosi tytuł *Las w ciszy*. Przyszło mu do głowy, że autor tak naprawdę nie pofatygował się, żeby wybrać nazwę dla swojego dzieła i że prostota tytułu zbiegła się z dość prozaicznym końcem poszukiwania jego właściciela. „Synchroniczności – pomyślał. – Punkty spotkań między wewnętrzną i zewnętrzną rzeczywistością każdego z nich. Kwantowe skrzyżowanie, które kapryśnie zbiega się w czasie i przestrzeni. Coś więcej niż zwykle zbiegi okoliczności”. Wyobraził sobie Julię zacierającą z satysfakcją ręce.

– W porządku, Max. Uspokój się – powiedział pojednawczo. – Spróbujmy porozmawiać w nieco mniej gwałtowny sposób, dobrze? Jeśli mnie zabijesz, wcale nie będzie to oznaczało, że masz rację, a przysporzysz sobie tylko kłopotów. Przypuszczam, że masz jakieś dowody potwierdzające to, co mówisz.

– Oczywiście, że mam na to dowody. To ta sama laska! – przekonywał Max, wyciągając ją znowu pewnym ruchem przed Gottfriedem. – Należała do mojego ojca. Nosi przecież jego inicjały.

Max odkręcił gałkę i pokazał dwie niezgrabnie wyryte wewnątrz litery widniejące na poczerniałym brązie; jeśli ktoś nie wiedział, że znajdowały się w tym miejscu, na pewno nigdy by ich nie odnalazł. Dwa znaki wciąż można było bez problemu przeczytać.

– Piętnaście? – próbował odszyfrować Gottfried, uciekając przed spojrzeniem Maxa.

– J.S. Jakob Sandler. Tak nazywał się mój ojciec zanim przybrał nazwisko Müller, po zamieszkaniu w Szwajcarii.

Gottfried nie mógł uwierzyć w historię Maxa.

– W porządku. Załóżmy, że ta laska należała kiedyś do twojego ojca. Znaczyłoby to, że płótno również było jego własnością.

– Liczyłem na to, że wypowiesz dokładnie te słowa – odpowiedział Max, patrząc na Gottfrieda z pogardą. – Dlatego właśnie chciałbym pokazać ci drugi dowód, ale

potrzebuję do tego płótna. Na odwrocie zostało opieczętownane przez mojego ojca. To pieczęć przedstawiająca tarczę obronną – tłumaczył, wskazując na pierścień, który sam nosił na małym palcu. – To herb rodziny Sandlerów. Możesz go poszukać. Na pewno znajdziesz go w internecie.

Gottfried nie był w stanie przypomnieć sobie, żeby obraz nosił jakiegokolwiek oznaczenie, ale pomyślał, że nic nie straci, jeśli mu go pokaże. Jeśli Max jest rzeczywiście synem właściciela tego przeklętego obrazu, stał przed nim jego prawowity spadkobierca. Ostatnia wola Hermanna zostałaaby wypełniona praktycznie bez jego większego wysiłku.

– Max, naprawdę mnie zaskoczyłeś. Mówię ci to szczerze. Wydaje mi się, że to nie może być takie proste, ale zrobię, o co mnie prosisz. Pokażę ci płótno i przy okazji wytłumaczę, jak znalazło się w moich rękach. Chodź ze mną do piwnicy.

\* \* \*

Gottfried i Max zeszli z antresoli na parter lokalu, a kiedy przechodzili koło baru, Valeria spojrzała na nich kątem oka, zajęta obsługą pary, która właśnie weszła do Glücka. W piwnicy oświetlonej słabym światłem awaryjnym dało się czuć metaliczny zapach rzeki. Mężczyźni zatrzymali się przy żelbetowych drzwiach wyposażonych w zamek zabezpieczony kodem. Gottfried wystukał numer i weszli do środka. Od czasów zimnej wojny w prawie wszystkich piwnicach w budynkach w Szwajcarii mieściły się schrony przeciwlotnicze, w których ludność mogłaby się schronić na wypadek wojny. Jednak biorąc pod uwagę militarną przeszłość tego budynku, trzeba było również zauważyć, że został on zbudowany w zupełnie innym celu. Nie było to schronienie, ale pomieszczenie zaprojektowane do kontrolowania i obrony dwóch mostów nad Sihlem. Wszystkie przedmioty sprawiały wrażenie nienaruszonych: ręcznie obsługiwany filtr powietrza, wsporcza konstrukcja karabinu maszynowego, stalowa płyta z planami terenu i strzelnicą. Jediną rzeczą, którą zmieniono, było zaślepienie luków strzeleckich. Gottfried zainstalował osuszacz i klimatyzator utrzymujące tu przez cały rok stałą temperaturę. Zaadaptował skarbiec na skład wszystkich tych dzieł, które nie mieściły się już na ścianach Glücka. Różne prace czekały na swój moment sławy lub odpoczywały po ekspozycji, aż Gottfried znudzi się innymi obrazami i wyjmie je kiedyś z piwnicy.

Max zaczął przeglądać zgromadzone tam prace i odkrył, że znajduje się tu jeden z jego obrazów. Podarował go Gottfriedowi wkrótce po tym, jak otworzył bar, i nawet nie zauważył, że nigdy nie znalazł on swojego miejsca w Glücku. „Nie przyglądamy się dogłębniej temu, co już znamy. Dlatego wiszące w domu obrazy stają się niewidoczne dla jego mieszkańców”, pomyślał. Dokładnie pamiętał, jak Lucas obraził się za przesadną w jego opinii hojność: „Twoje prace są warte kupę kasy, Max. Jeśli zaczniesz je rozdawać, obniżysz ich wartość. I super, że masz to gdzieś, ale nie zapominaj, że to biznes: jeśli nikt nie zapłaci tobie, ja też zostanę bez prowizji”.

Gottfried odszedł od niego na kilka kroków, ale zaraz wrócił, trzymając w rękach przedmiot zawinięty w czarny aksamit. W milczeniu podał go Maxowi, a on zaczął odwijać materiał, aż w końcu zobaczyli znajome ochry i zielenie wiedeńskich lasów, chwilę utrwaloną przez Gustava Klimta, w której zakochał się ojciec Maxa i jego pierwsza żona podczas podróży poślubnej po Austrii. To płótno było dowodem na to, że pierwsze życie Jakoba Sandlera, którego jego syn nie mógł być świadkiem, kiedyś naprawdę miało miejsce. Malarz był naprawdę wzruszony, ale nie miał zamiaru płakać przy Gottfriedzie. Musiał wyjaśnić z nim jeszcze kilka spraw, zanim będzie mógł się przez nim znowu odsłonić.

Max obrócił malutki obraz, ponieważ chciał znaleźć pieczęć Jakoba; potwierdzenie tego, że dzieło, które trzymał w rękach, należało kiedyś do jego ojca. Potem poślinił pierścień, który nosił na małym palcu, żeby móc go zdjąć i podać Gottfriedowi.

– Widzisz? Są identyczne – powiedział, wskazując na herb na pierścieniu i ten znajdujący się na odwrocie obrazu. Potem wydał mu nagle rozkaz: – Przyłóż pierścień do wgłębienia w materiale. Jestem pewien, że będzie pasować jak ulał.

Gottfried wykonał jego polecenie. Przyłożył pierścień, a obydwie herby utworzyły jedną całość. Max uśmiechnął się, czując nieznaną mu wcześniej spokój. *Las w ciszy* był jego własnością.

– Mój ojciec wielokrotnie powtarzał, że pochodził z zamożnej rodziny, ale stracił wszystko, uciekając z Linzu, kiedy Austria została przyłączona do nazistowskiej Rzeszy. Wysłał żonę i córkę do Zurychu, a sam został w domu, żeby zabezpieczyć kolekcję dzieł sztuki i móc odzyskać ją po zakończeniu wojny. Nie udało mu się. Nie miał innego wyjścia – był zmuszony zostawić obrazy na ścianach w domu, a wiedział doskonale, w jaki sposób naziści obchodzili się z żydowskim mieniem.

Mimo tego wpadł na desperacki pomysł, który, jak myślał, pozwoli mu zachować nadzieję, że pewnego dnia obrazy wrócą znów w jego ręce. Zapisał wszystkie pozycje na liście i oznakował ją rodzinną pieczęcią, żeby było wiadomo, kto jest ich właścicielem. Pewnie pomyślisz, że był zwykłym idiotą, bo rozstał się z żoną i córką, żeby ryzykować życiem dla jakichś tam obrazów. Ale nie był idiotą. Był po prostu młody i naiwny. Nic nie wiedzący o życiu chłopak z bogatej rodziny. Myślał, że pod koniec wojny wszystko pozostanie bez zmian. Dlatego stracił wszystko. Z wyjątkiem tego obrazu. Zabrał go, ponieważ miał do niego sentyment. Był związany z jego pierwszą żoną. Dlatego było to dla niego tak ważne. I dlatego dla mnie też jest to niezmiernie ważne. To dowód na to, że mój ojciec naprawdę miał inne życie, że nie kłamał.

– A dlaczego twój własny ojciec miałby cię okłamać na temat swojej przeszłości?  
– odważył się zapytać Gottfried, kiedy Max wreszcie zrobił przerwę w swojej opowieści.

– Gottfried, mój ojciec był pasterzem. Nie wierzyłem w jego historię o tym, że dawniej był bogaczem – przyznał Max z opuszczoną głową. – Nawet gdy umierając, podarował mi swój pierścień, ja zapytałem, czy kupił go na bazarze. Możesz sobie wyobrazić, jakim beznadziejnym synem musiałem być w jego oczach?

## 43. Pytanie

Max odniósł wrażenie, że stłumione emocje przebijają się przez jego klatkę piersiową, choć wiedział, że nie był to najlepszy moment, żeby dać im upust. Chciał zrobić to już w domu, sam. Albo w studiu, w towarzystwie burbona. Ale nie teraz. Opowiedział część swojej historii, jednak nadal nie wiedział, w jaki sposób laska i płótno trafiły w ręce Gottfrieda. W głowie wyobrażał sobie wiele równie prawdopodobnych sytuacji i wszystkie kończyły się jednakową wściekłością. Laska została odebrana jego ojcu, kiedy został ranny, a ktokolwiek ją ukradł, porzucił go samego w lesie. Musiał otrzymać jakieś wytłumaczenie.

– W porządku, jeśli to miało pomóc ci pogodzić się w jakiś sposób z ojcem, może miałeś rację. Może warto było zobaczyć mojego trupa – powiedział Gottfried, żeby przerwać ciszę, która zaczynała mu przeszkadzać. – Kiedy zobaczyłem cię z tą wściekłością na twarzy, z laską w ręce, a jej metalowy koniec nad moją głową, pomyślałem, że przebijesz mnie tą dzidą.

– Nie byłbyś pierwszą osobą, której ta laska zadała śmierć – przyznał Max. – Mój ojciec zabił nią nazistowskiego oficera. Zrobił to, żeby uratować życie pewnemu chłopakowi, którego poznał podczas ucieczki. Wydaje mi się, że nosił nazwisko Baron. Wiem, że miał imię archanioła, Michał, Rafał albo Gabriel. Chociaż to teraz zupełnie nieistotne. Teraz chcę, żebyś powiedział mi, jak laska dostała się w twoje ręce. Muszę się tego dowiedzieć.

Gottfried po raz pierwszy miał okazję zobaczyć, jak Max potrafi być wrażliwy. Nie spodziewał się tego po nim i nie wiedział, jak zareaguje na odpowiedź na jego pytanie. List ojca nie pozostawiał bowiem wątpliwości: Hermann był tym, który porzucił Jakoba. Nawet jeśli ojciec nie znał wówczas nawet imienia zaginionego Żyda.

– Muszę ci powiedzieć, że nie jest to jakaś długa opowieść – zaczął ostrożnie Gottfried. – Przede wszystkim chcę, żebyś wiedział, że wcale cię nie okłamałem. Odziedziczyłem laskę i obraz po moim ojcu.

I właśnie wtedy opowiedział Maxowi o tym, że jego ojciec pomagał uchodźcom w przekroczeniu szwajcarskiej granicy i o Żydzie ze złamaną nogą, którego zostawił samego w lesie. Kiedy chłopak usłyszał słowa wypowiedane przez Gottfrieda Maxowi zawrzała krew w żyłach.

– Zostawił go w lesie? Zostawił go w lesie na pewną śmierć! Twój ojciec zostawił mojego ojca w górach i w dodatku ze złamaną nogą! Ukradł mu laskę wraz z obrazem i zostawił go na pastwę losu! – wykrzyczał tak głośno, że nie mógł prawie oddychać.

– Max, daj mi, do jasnej cholery, dokończyć! – odkrzyknął mu Gottfried. – Wcale go nie zostawił! Niech cię szlag trafi, człowieku! Zostawił go w lesie, bo poszedł po pomoc, ale kiedy wrócił, mężczyzny już tam nie było! Mój ojciec nie znał nawet jego imienia, nic o nim nie wiedział. Schował obraz i laskę w nadziei, że kiedyś się czegoś o nim dowie. A ja zostałem jego powiernikiem. Zostawił mi to wszystko, żebym mógł znaleźć właściciela.

– I szukałeś? – zapytał Max.

– Jeśli nie wiesz kogo szukasz, jak masz go znaleźć?

– Ale z ciebie gnida, Gottfried. Nie pleć przynajmniej bzdur. Mogłeś rozpoznać właściciela po oznaczeniu na obrazie. Miałeś również inicjały znajdujące się wewnątrz laski. Chyba to nie mogło być aż takie trudne, co?

Gottfried wziął głęboki oddech. Walczył z obcymi mu demonami, o których istnieniu nie miał do niedawna pojęcia. Były to demony przeszłości Maxa, ale również i jego własne.

– Nie widziałem wcześniej inicjałów, które mi pokazałeś. Pomyślałem o tym, żeby zanieść obraz na licytację, ale pierwszym krokiem byłaby identyfikacja dzieła sztuki, a na to nie mogłem pozwolić, bo zadzwonił do mnie jakiś mężczyzna i powiedział mi, że ten obraz znajduje się na liście zrabowanych przez nazistów dzieł i jeśli ktokolwiek podjąłby się jego identyfikacji, wpakowałby się w kłopoty. Wierz mi lub nie, ale ten facet mnie szantażuje, żebym oddał mu płótno.

– Wiesz co, Gottfried? Mam przeczucie, że skończyłoby się na tym, że sprzedałbyś ten obraz.

– Nie bądź głupi, Max. Chyba jednak trochę mnie znasz. Ostatnią wolą mojego ojca było, żebym znalazł właściciela płótna, dlatego go nie sprzedałem. W domu przechowuję jego list i kiedy tylko mnie poprosisz, mogę ci go pokazać. I nawet nie

wiesz, jak się cieszę, że ta historia o Żydzie jest prawdziwa. Myślałem, że mój ojciec ją sobie wymyślił. Naprawdę nie miałem zamiaru sprzedać obrazu. Julia chciała mi pomóc w poszukiwaniu właściciela płótna. Chyba padnie z nóg, kiedy dowie się, że go odnalazłem.

– Ja też nie mam zamiaru go sprzedać – przyznał Max. – Już wiesz, ile dla mnie znaczy. Nie sprzedałbym go za żadne pieniądze na tym świecie.

\* \* \*

Muzyka z Glücka zaczynała zagłuszać ich rozmowę w piwnicy. George Thorogood i The Destroyers – *Bad to bone... Bad to bone... B-b-b-b-b-b-b-bad* nadawało rytm tej nocy, która zaczęła się w najgorszy możliwy sposób, a miała zakończyć się zupełnie inaczej: dobrze schłodzonym piwem.

– Idź na górę, jak chcesz – powiedział Gottfried do Maxa. Zaraz do ciebie dojdę.

Max zawiązał *Las* w aksamit i zamyślony opuścił schron, trzymając płótno w dłoni. Pokonywał kolejne stopnie prowadzące do baru, jakby nagle jego życie straciło wcześniejszą prędkość. Jak tylko wynurzył się z ciemności piwnicy, Valeria natychmiast wybiegła zza baru i zabarykadowała mu przejście.

– Co się stało tam na dole?

Max uciekł przed nią wzrokiem i szepnął:

– Zapytaj Gotta, jak wyjdzie.

– Ale teraz pytam ciebie, a nie jego – odpowiedziała szorstko.

Valeria mówiła do niego z podniesionym podbródkiem i położonymi na biodrach dłońmi. Przyglądała włosy opadające jej na twarz i zebrała je w wysoki kok, co w połączeniu z przybraną przez nią pozą sprawiało, że wyglądała jak guwernantka. Maxowi wydała się nieopisanie piękna. Patrzyła na niego szeroko otwartymi piwnymi oczami, oczekując od niego jakiegokolwiek odpowiedzi. Natomiast on rzucił na nią spojrzenie wyrażające coś pomiędzy czułością a winą. Wyobraził sobie, że byłoby wspaniale znów ją pieścić; marzył o tym, żeby znowu ją pocałować. Kierowniczką Glücka domyśliła się, jakie myśli krążyły Maxowi po głowie, ale wolała się upewnić i zapytać go otwarcie.

– Czy myślisz o...?



Maxowi zajęło kilka sekund zebranie się na odpowiedź. Wiedział, że już nigdy nie będą tak blisko.

– Tak, Val. Myślę o tym, co wydarzyło się zeszłej nocy. Byliśmy pijani...

– Max, Tony nic nie wie – odpowiedziała pośpiesznie.

– Nie mam wcale zamiaru niczego mu mówić. Nie jestem dumny z tego, co się wydarzyło, Val. Nie powinno było do tego dojść. Nie w ten sposób. Nie po pijaku.

Valeria opuściła głowę, którą wcześniej nosiła tak wysoko, i wbiła wzrok w ziemię. Max zbliżył wskazujący palec do jej brody i delikatnie uniósł jej głowę.

– Val, nie rób tego. Nie wstydź się. Jeśli ktokolwiek powinien czuć się zawstydzony, to powinienem to być ja. Poza tym byliśmy za bardzo pijani, żebyśmy mogli mówić o jakiegokolwiek zdradzie. Chociaż Tony'emu na pewno by się to nie spodobało. Ale w sumie chyba nie musi o tym wiedzieć, co?

Valeria przyznała mu rację. Nie miała zamiaru powiedzieć tego Tony'emu.

– Tutaj, w Glücku do niczego nie doszło, Val. Wątpię, żeby ktoś zobaczył coś więcej niż wspólne picie – dodał Max.

Niemniej to, że ktoś mógłby zobaczyć ich razem oraz to, czy Tony się o tym wszystkim dowie, nie było największym zmartwieniem Valerii. Swoje prawdziwe zmartwienie wyraziła w rzuconym Maxowi pytaniu:

– Doszedłeś we mnie?

## 44. Niespodzianka

Gottfried został jeszcze przez kilka minut w schronie, próbując przyswoić wszystko, co przed chwilą się wydarzyło. Nagle w kieszeni spodni zawibrował mu telefon. Na ekranie zobaczył, że ktoś znowu dzwoni do niego z zastrzeżonego numeru.

–Ha! Chyba ktoś wybrał najlepszy moment, żeby do mnie zadzwonić – głośno powiedział sam do siebie Gottfried.

Po drugiej stronie słuchawki doskonale mu znany syntetyczny głos zaczął od razu rozmowę:

– Miał pan czas pomyśleć o tym, o czym ostatnio panu mówiłem, panie Messmer? Chciałbym poznać pana decyzję.

Gottfried odpowiadał na wcześniejsze telefonu ze strachem, ale tym razem poczuł, że może rozdawać karty.

– Pomyślałem nad wszystkim. Pańskie historyjki o zrabowanych dziełach oraz pogróżki może sobie pan wsadzić w dupę – powiedział spokojnie. – Mój ojciec nie ukradł tego obrazu. Nawet nie został on nigdy zrabowany. I mogę jeszcze powiedzieć panu jedną rzecz, która na pewno pana ucieszy: płótno odnalazło swojego właściciela. Czy nie chciał pan właśnie tego? To teraz, do jasnej cholery, może mnie pan raz na zawsze zostawić w spokoju! – Gottfried zakończył połączenie, a potem zamknął schron i wszedł po schodach prowadzących do baru.

Nie miał pewności co do tego, czy nie popełnił właśnie największego w swoim życiu błędu, ale nie obchodziło go, czy mężczyzna był zwykłym przestępcą, czy może wykonywał polecenia kogoś innego. „Niech to wszystko szlag trafi. Zrobiłem, co zrobiłem, i nie mogę już cofnąć czasu”.

Kiedy podszedł do baru, dowiedział się od Valerii, że Max poszedł do domu. Pozostawiony sam sobie Gottfried niespiesznie pił swoje piwo. Po raz pierwszy w życiu poczuł się źle z tym, że nie miał z kim wznieść toastu. Po wypiciu całej butelki, wszedł na antresolę i zasiadł w swoim punkcie obserwacyjnym obok

zdjęcia rodziców. Wydawało mu się, że Hermann i Ada nie uśmiechają się do fotografa, ale do niego.

Słyszał, jak u jego stóp lokal zaczynał powoli wypełniać się leniwym R&B i poczuł dumę z miejsca, do którego zaszedł. Co by nie mówić, życie nie było aż takie złe. Zszedł, żeby zmienić muzykę na coś weselszego, bo miał ochotę świętować. I właśnie wtedy zobaczył, jak do lokalu wchodzi Lucas.

Marszand udał się prosto do baru, zajął miejsce między posągami Chrystusa i Marii, po czym zamówił u Valerii jedno piwo. Ze szklanką wzniesioną w górę spojrzał w górę, jakby szukał Gottfrieda, a on pozdrowił go z antresoli. W tej samej chwili Lucas ruszył w stronę prowadzących na górę schodów. Nie przekroczył progu baru od chwili, kiedy złożył ostatnią ofertę dotyczącą *Lasu w ciszy*, dlatego właściciel Glücka był ciekaw, co sprowadziło go tu tym razem. Podeszedł do lodówki stojącej na antresoli, żeby wyciągnąć butelkę piwa. Kiedy Lucas dołączył do niego na górze, stuknęli się butelkami na przywitanie.

– Proszę, proszę, sam Lucas Steiner zaszczycił mnie swoją obecnością. Już myślałem, że opuściłeś nas na zawsze. Stęskniłeś się za Glükiem? – zapytał go złośliwie.

– Oczywiście – powiedział Lucas, przyjmując ironiczny ton Gottfrieda. – W żadnym barze w Zurychu nie serwują tak zimnego piwa jak tutaj.

– To wszystko dlatego, że mamy bardzo wymagających klientów. Lubią dobrą muzykę i bardzo zimne piwo.

– Już nie wciskaj mi tego kitu o dobrej muzyce i zachowaj go dla innych. Od kiedy *La Bamba* jest uznawana za coś wartościowego w muzyce? – odpowiedział, wskazując na głośnik.

– To muzyka do zabawy – odpowiedział Gottfried, trochę urażony komentarzem Lucasa. Los Lobos byli świetnym zespołem, a *La Bamba* ponadczasowym hitem w swoim gatunku. Lucky może wiedział bardzo dużo o sztuce, ale nie miał za grosz pojęcia o muzyce.

– Muzyka do zabawy? A co świętujesz?

Gottfried uśmiechnął się. Nagle miał z kim świętować. Wskazał palcem na samotny gwóźdź na drewnianej belce.

– Widzisz ten gwóźdź?

– Widzę – odpowiedział Lucas.

– Pamiętasz, co tam wisiało?

– Jak miałbym o tym zapomnieć! Moja oferta jest nadal aktualna. Mogę założyć się o sto euro, że nie znalazłeś jeszcze właściciela.

– Zgoda – powiedział Gottfried, wyciągając w jego stronę rękę. – To teraz jesteś mi stówę winny.

Lucas udał ogromne zdziwienie.

– I to bez twojej pomocy – dodał właściciel Glücka.

– Chyba nie oczekiwałeś, że pomogę ci znaleźć igłę w stogu siana? – odpowiedział złośliwie Lucas. – Prawdopodobieństwo odnalezienia właściciela tego dzieła wynosiło jeden do kilku milionów. Nie mam czasu na takie przypadki. Zresztą szczerze mówiąc, nie chce mi się wierzyć, że go odnalazłeś. Skąd wiesz, że nikt nie robi cię w balona?

– Ponieważ okazuje się, że znam właściciela.

– No tak, oczywiście. Weź, Gottfried, przynajmniej ze mnie nie żartuj – powiedział Lucas, wypijając łyk piwa.

– I ty też zresztą go znasz.

Lucas prawie się zadławił. Nowy właściciel oznaczał ponowne rozpoczęcie negocjacji, a on nie miał czasu, żeby zaczynać wszystko od nowa. Jeśli nie pozbędzie się wszystkich długów, straci galerię. A jeśli w dodatku znał tę osobę, był zmuszony wystawić się na kolejne ryzyko. Potrzebował natychmiast pieniędzy, a w dodatku obawiał się, że jeśli będzie grzebał w materiałach FBI, w końcu go wyśledzą. Technologia rozwijała się dużo szybciej niż jego umiejętności kamuflowania się w cyfrowym świecie. Miał pięćdziesiąt sześć lat – nie miał już siły, żeby bawić się w policjantów i złodziei. Niechętnie wrócił do rozmowy z Gottfriedem.

– Super. Czyli jeszcze w dodatku go znam. No dobrze, możesz mnie zaskoczyć – zachęcił go Lucas.

Właściciel Glücka spojrzał na niego uważnie i uśmiechnięty rzucił z dumą:

– To Max.

## 45. Zwrot akcji

To był najchłodniejszy od czterdziestu lat luty. Przez podwójne szyby w galerii Steinera można było zobaczyć spadające płatki śniegu wielkości monet. Przez cały dzień nikt nie wszedł do lokalu. Lucas czytał wiadomości, zastanawiając się, co czuje człowiek dotknięty trzęsieniem ziemi – to, które właśnie miało miejsce w Chile, osiągnęło niemal dziewięć stopni w skali Richtera. Nigdy tam nie był.

Dzwoniący telefon przywrócił go z Ameryki Południowej z powrotem do Zurychu. Na małym ekranie pojawił się nieznany mu numer, ale kierunkowy wskazywał na to, że dzwoniący wykonywał połączenie z USA. Nie czekał na telefon od Barona. Mimo wszystko natychmiast odebrał. Zbyt formalny głos, niełamący zasad wyuczonej grzeczności, zapewnił go, że jest reprezentantem starca i powiedział to, czego Lucas obawiał się najbardziej. Gabriela Barona zmęczyło ciągle wyczekiwanie. Historia była zawsze taka sama: dopóki wszystko szło zgodnie z planem, klienci dzwonili bezpośrednio do niego, ale kiedy pojawiały się jakiegokolwiek kłopoty, wtedy kontaktowali się z nim ich prawnicy. Jediną rzeczą, która różniła się w każdym z tych przypadków, była nazwa kancelarii prawnej chroniącej ich interesy i zazwyczaj były to cztery różne nazwiska. Lucas nie był w stanie zapamiętać żadnego z nich.

– Mój klient zapewnił mnie, że nie wywiązał się pan z ustalonych terminów, panie Steiner – powiedział rozmówca w tak poprawny sposób, że Lucas aż zazgrzytał zębami. – Przypominam panu, że podług prawa szwajcarskiego, którym jest pan objęty, umowa ustna jest tak samo wiążąca jak umowa pisemna.

– Zdaje się, że tu nie mówimy o prawie, panie...

– Hammer – odpowiedział głos.

– Panie Hammer. Podejrzewam, że pan Baron wyjaśnił panu, z jakim dziełem sztuki mamy do czynienia – powiedział Lucas.

– To, że jest to dzieło zrabowane, nie ma żadnego wpływu na charakter prawny pana umowy, bo jest pan zobowiązany do wypełnienia jej postanowień –

odpowiedział bezpośrednio prawnik. – Jeśli nie jest pan w posiadaniu tego płótna, powinien pan oddać mojemu klientowi pieniądze, które powierzył panu w celu odnalezienia i przekazania obrazu w jego ręce. Tylko w takim wypadku będziemy mogli uznać tę sprawę za zakończoną.

– Nie mam tych pieniędzy – przyznał Lucas, wiedząc, że prawda jest dużo lepsza niż głupia wymówka. Hammer zamilkł. – Straciłem pieniądze podczas poszukiwania tego obrazu. Myślałem, że je odzyskam, ale byłem w błędzie.

Jego rozmówca nie okazał ani krzty współczucia.

– W takim przypadku proszę mi pozwolić, że dam panu jedną radę. Najlepiej byłoby, gdyby odzyskał pan te pieniądze. Mogę poprosić swojego klienta o kilka dodatkowych dni. Jednak nie więcej, bo musi pan mieć na uwadze, że pan Baron jest już w bardzo podeszłym wieku. – Stanowczość w głosie adwokata narastała z każdym wypowiedzianym słowem. – Musi pan zrozumieć, że nie mogę mu po prostu oświadczyć, że wydał pan jego wszystkie pieniądze. To na pewno nie spodobałoby się panu Baronowi.

Lucas natychmiast zrozumiał jego groźbę. Znał się ze starym Gabrielem Baronem zbyt dobrze. „Jest pan tylko *courier*, panie Guest”. Musiał zdobyć trochę więcej czasu.

– Zrozumiałem, panie Hammer. Proszę się nie martwić. Sprzedam, co będę mógł. Proszę powiedzieć panu Baronowi, że naprawdę jest mi przykro, że stracił do mnie zaufanie. Proszę mu też przekazać, że udało mi się określić położenie ostatniego obrazu Klimta. Błagam pana, żeby poprosił pan pana Barona o trochę więcej czasu dla mnie, tak abym mógł zamknąć tę sprawę. Zobowiązuję się albo do doręczenia obrazu, albo, jeśli nie będę mógł tego zrobić, do oddania pieniędzy.

– Pańskie obietnice są nic niewarte, panie Steiner. Daję panu tydzień. Jeśli nie wywiąże się pan z umowy, przekażę pańskie nazwisko agentom FBI.

Lucas chwycił płaszcz i zamknął galerię tak szybko, że zapomniał o zgaszeniu świateł. Był wdzięczny mroźnej pogodzie, ponieważ orzeźwiła jego umysł otumaniony wysoką temperaturą w środku. Musiał to wszystko przemyśleć, a w dodatku nie miał zbyt dużo czasu. Tydzień, żeby zdobyć obraz. Nie okłamał Hammera. Wiedział, gdzie się znajduje. Nie powiedział mu natomiast, że płótno odnalazło prawowitego właściciela, swojego spadkobiercę. Maxa Müllera, który nie chciał mieć z Lucasem do czynienia, od kiedy odzyskał *Las w ciszy*. Steiner

doskonale rozumiał dlaczego. Powiedział mu, że nie zna tego obrazu, chociaż wiedział doskonale, że to obraz samego Klimta. Okłamał go na temat jego wartości. Starał się rozdzielić płótno od jego właściciela, a teraz obróciło się to przeciwko niemu. Pewnego razu spróbował nawet odzyskać zaufanie Maxa, mówiąc, że oferta złożona Gottfriedowi była tylko zagrywką, a nie efektem tego, że Steiner znał prawdziwą wartość obrazu. Wtedy jeszcze nie był zresztą pewien jego autorstwa. Przynajmniej nie z legalnych źródeł. Ostatecznie Max stracił do Lucasa całe zaufanie i chciał zerwać umowę na wystawę jego nowej serii obrazów w galerii Steiner. Lucas nie mógł sobie na to pozwolić, bo malarz był jego sztandarowym artystą. Czekał na tę wystawę pięć długich lat.

A gdyby Baron dowiedział się, że odnalazł spadkobiercę Jakoba Sandlera, Lucas straciłby główne źródło dochodu. Przecież to Baron sfinansował jego ucieczkę ze Stanów Zjednoczonych, żeby mógł zająć się poszukiwaniem i dostarczeniem mu zrabowanych dzieł. To, że mieszkał w Europie Zachodniej, ułatwiało mu pracę, a co więcej, starzec płacił prowizję od każdego odnalezionego obrazu. Gdyby dowiedział się, że Max jest synem Jakoba Sandlera, chciałby go poznać, żeby spełnić swoje największe życiowe marzenie. Ale gdyby Max powiedział Baronowi, dlaczego przestał rozmawiać ze swoim agentem, życie Lucasa straciłoby sens. Bez dochodów od Barona, zniknąłby z powierzchni ziemi. Baron był starcem, ale wciąż był przy zdrowych zmysłach. I chociaż poruszał się na wózku inwalidzkim, nadal przewodniczył radom nadzorczym własnej firmy transportowej i podróżował w interesach.

Lucas miał świadomość, że musi koniecznie odzyskać zaufanie Maxa, bo inaczej już po nim. Musiał też zdobyć obraz. W przeciwnym razie całe jego życie runie po prostu w gruzach. Poszedł do studia artysty, ale nie zastawszy go, skierował się w stronę rzeki. Jeśli Max teraz nie pracuje, może być tylko w jednym miejscu: w kawiarni Glück.

## 46. Konsekwencje

Kiedy Lucas szedł na spotkanie z Maxem, Valeria mierzyła się z zupełnie inną sytuacją. Siedząc na podłodze w łazience, trzymała w ręce odpowiedź na wszystkie swoje wcześniejsze wątpliwości. Okres przybywał zawsze ze szwajcarską dokładnością, co dwadzieścia osiem dni, ale tym razem minęło ich trzydzieści pięć, a jego nie było. Przez ostatni tydzień starała się za bardzo nie martwić, ale nie mogła też ignorować tego, że jej piersi znacznie się powiększyły. Zaczął piąć ją biustonosz. Do tego doszły nudności. Tego dnia jej przypuszczenia zostały potwierdzone przez test ciążowy. Zrobiła go po powrocie z apteki, powstrzymując się przez ten cały czas od sikania. Pozytywny wynik pojawił się po kilku sekundach. Dzień za to dłużył jej się potem w nieskończoność.

Podczas kolacji mogła wreszcie powiedzieć o tym Tony'emu, który przyjął tę wiadomość ze spokojem. Kochał Valerię i chociaż posiadanie dziecka nie należało do ich najpilniejszych planów, czuł, że jest gotowy, żeby przyjąć tę odpowiedzialność. Chciał zostać ojcem. Z kolei ona nie była tego taka pewna.

– Tony, nie powiedziałam ci o jednej rzeczy...

Historia o seksie z Maxem pod znacznym wpływem alkoholu uderzyła szefa kuchni z siłą tsunami. Na początku słyszał, jak roztrzaskują się o niego kolejne fale („Za dużo wypiliśmy”), a potem zobaczył przed sobą niemożliwy do przebicia mur („Obudziłam się naga”), który bezpośrednio zagrażał ugruntowanej wcześniej relacji z Valerią. Zagubiony i zraniony musiał zmierzyć się z tą niszczycielską falą („Nic nie pamiętam”). Kiedy w końcu oboje się uspokoili, wyspa marzeń, którą tworzyli wspólnie przez te wszystkie lata, nosiła teraz znamiona niedawnej klęski żywiołowej. Tony poczuł, że będzie musiał ją opuścić, żeby uratować samego siebie. Być może kiedyś wróci na tę wyspę. Ale możliwe, że nigdy tego nie zrobi.

– Kocham cię – powiedziała Valeria, zanim odszedł. Wiedziała doskonale, że jej miłość już mu nie wystarczała.



– Valerio, ja też cię kocham – wyszeptał Tony i spojrzał na nią z pozbawionym jakichkolwiek uczuć spojrzeniem. – Ale teraz muszę sobie stąd pójść.

\* \* \*

Tony zszedł szybko po klatce schodowej. W mgnieniu oka znalazł się na ulicy, a Valeria ledwo zdążyła podbiec do okna, żeby zobaczyć, jak mężczyzna, którego kochała, wyszedł najpierw z bramy, a potem rzucił się bez kurtki do biegu. Patrzyła, jak zmierzał w stronę rzeki, wiedząc doskonale, gdzie się kieruje. Marzyła tylko o tym, żeby nic mu się tam nie stało. Żeby nikt nie zranił go bardziej, niż sama to zrobiła.

Przez chwilę stała przy szybie. Wydawało jej się, że czas stanął w miejscu. „Będę musiała uporządkować swoje życie”, pomyślała, gładząc się po brzuchu. Miała trzydzieści sześć lat i nie była pewna, który z nich jest ojcem dziecka, ale zdecydowała, że je urodzi. Nie miała wobec tego najmniejszych wątpliwości. Dzięki niemu będzie miała szansę przeżyć jeszcze raz radosny czas dzieciństwa, którym sama pogardziła, będąc dzieckiem. Od zawsze chciała być dorosła.

Valeria nigdy nie przepadała za szkołą, chociaż nie brakowało jej chęci do nauki. Nie lubiła jej, bo nie chciała zadawać się z mało interesującymi w jej przekonaniu ludźmi, żeby rozmawiać o w ogóle nie zajmujących ją tematach. Było jej trudno z kimkolwiek się zaprzyjaźnić, a do tego odrzucała nawet te nieliczne zaproszenia od znajomych do wspólnego spędzenia weekendu. Imprezy dla nastolatków nie przyciągały jej uwagi i nie lubiła też wszystkich upokarzających przygotowań do wyjścia. Ubrania, które jej się podobały, uwierały ją w talii i udach, wymyśliła więc, że zawsze będzie ubierała się na czarno. Jej styl stał się przedmiotem drwin rówieśników. Tak zaczęła się historia jej dręczenia w szkole.

Jak tylko skończyła obowiązkową edukację, zaczęła pracować. Na początku popołudniami, a kiedy była już pełnoletnia, podjęła także pracę na nocki. Zawsze zajmowała się polewaniem innym ludziom alkoholu. Za barem czuła się bezpiecznie. To, że znajdowała się po drugiej stronie, nadawało jej autorytetu, ale też umożliwiało poznanie innych bez nadmiernego zaangażowania.

Niemniej jej upodobanie do samotności zakończyło się wraz z przybyciem Tony'ego do Glücka. Pamiętała doskonale tamten moment: Gottfried przedstawił jej nowego kucharza i poprosił ją, żeby miała do niego cierpliwość, bo nie miał zbyt

wiele doświadczenia w kuchni. Już w pierwszej chwili przepadła w jego śnieżnobiałym równym uśmiechu rozświetlającym cały bar. Kiedy Tony podał jej ogromną czarną dłoń, Valeria poczuła, jak jej ręka gubi się w jego mocnym uścisku. To, że pracowali ramię w ramię, pomogło w rozkwitnięciu uczucia. A teraz to wszystko straciła.

\* \* \*

Mimo że przebiegł całą drogę, Tony otworzył drzwi baru jednym pchnięciem z taką zapalczywością, że wszyscy siedzący przy barze goście obrócili się w jego stronę. Spojrzeniem pełnym wściekłości zaczął szukać Maxa i zobaczył go siedzącego na wysokim taborecie z Lucasem. Malarz zdążył odłożyć piwo na bar, ale nie wystarczyło mu już czasu, żeby zakryć twarz, kiedy pięść Tony'ego uderzyła go w szczękę z siłą obucha. Okulary Maxa wzniosły się w powietrze, aż złapał je w locie inny gość baru. Leżący na podłodze malarz nie miał zamiaru się poddać. To była sprawa, którą musieli załatwić jak mężczyźni, zwłaszcza że to on był wszystkiemu winny. Żaden cios Tony'ego nie mógł zabolec go bardziej niż fakt, że zawiódł Valerię.

Gottfried jak strzała zbiegł z antresoli i natychmiast złapał Tony'ego za rękę i wykręcił ją za jego plecami, chcąc uniknąć kolejnego aktu agresji. Lucas, który do tej pory nie zainterweniował, pomógł malarzowi wstać z ziemi i poprosił kelnera o lód. Max obficie krwawił. Miał rozciętą górną wargę. Gottfried unieruchomił Tony'ego silnymi ramionami, ale mimo to mężczyzna zaczął wygrażać swojemu rywalowi:

– To jeszcze nie koniec!

– Oczywiście, że nie koniec! – wykrzyczał Gottfried. – Masz się natychmiast uspokoić i wytłumaczyć, co to wszystko ma znaczyć! A ty, Max, zajmij się lepiej tą krwawiącą wargą! Potem wyjdź z lokalu i zaczekaj na nas w studiu. Nie wiem, do czego między wami doszło, ale wiem, że możemy rozwiązać ten konflikt w bardziej cywilizowany sposób.

Lucas poszedł z Maxem do miejsca, w którym znajdowała się apteczka, opatrzył jego ranę, a potem opuścili razem Glückę. Po chwili przypomniał sobie, że zostawił zapalone w galerii światła i uśmiechnął się.

Część trzecia

# PRZYSZŁOŚĆ

Październik 2010

## 47. Inauguracja

Goście zaczęli pojawiać się na otwarciu wystawy dwadzieścia pięć minut przed czasem. Byli to profesjonaliści z branży, przyjaciele, znajomi i zwykli ciekawscy. Pojawiali się niespiesznie i ustawiali kulturalnie w kolejce naprzeciwko drzwi galerii Lucasa Steinera. Nie trzeba było czekać długo, żeby kolejka wyszła poza kwartał, w którym znajdowała się galeria. Przyczyną sukcesu nie było nic innego niż niezdrawe zainteresowanie artystą, który zatytułował serię swoich obrazów *Furia*, a który leżał teraz w śpiączce na oddziale intensywnej terapii w Triemli. Szanse na to, że się wybudzi, malały z każdym dniem, a od napaści, w czasie której postrzelono go z pistoletu na gwoździe, minęło ponad osiem miesięcy.

Jedyny podejrzany również stał w kolejce, chociaż zjawił się przed galerią dość późno. Trudno było go jednak nie zauważyć ze względu na jego gęstą czuprynę wystającą ponad stojących dookoła gości. Swoją obecnością chciał udowodnić, że wciąż powtarzana przez niego mantra o własnej niewinności jest prawdziwa, a sam nie miał nic wspólnego ze znalezieniem Maxa nieprzytomnego na podłodze w jego studiu malarskim. Mimo że niektórzy obrzucali go oskarżycielskimi spojrzeniami, Tony zachował stoicki spokój i czekał, aż będzie mógł zobaczyć obrazy. Cieszył się wolnością, bo nie wiedział, jak długo będzie mógł jeszcze z niej korzystać.

Udowodnienie niewinności nie należało do łatwych zadań. Wszyscy byli świadkami tego, jak wpadł rozwścieczony do Glücka i uderzył Maxa. Rozciął mu wargę, zanim Gottfried zbiegł z antresoli jak strzała i zakończył ich bójkę. Nie żałował tego, że go uderzył, ale żałował, że zrobił to przy świadkach.

Ze zgromadzonych tam tylko sam malarz znał przyczynę nagłego napadu furii Tony'ego, dlatego nawet nie próbował wstać z ziemi. Chciał zwyczajnie okazać skruchę, spoglądając na przeciwnika zmrużonymi oczami krótkowidza. Max nie zamierzał walczyć, a kucharz mógłby wymierzać mu kolejne ciosy. Tony marzył tylko o tym, żeby dać wreszcie upust wewnętrznemu gniewowi. Jego błąd polegał na tym, że pozwolił, by gniew przeszedł z pięści do ust: „To jeszcze nie koniec!”.

Prokuraturze wystarczyły właśnie te cztery słowa i zeznania świadków, by wnieść oskarżenie, mimo że ostatnią osobą, z którą przebywał Max, był Lucas. Właściciel galerii oświadczył jednak, że po opuszczeniu Glücka Max nie chciał, żeby odprowadzono go do studia. Światła w galerii paliły się przez całe popołudnie, więc Lucas zeznał, że pracował tam do późna. Sąsiedzi widzieli, jak wychodzi o północy, dzięki czemu miał alibi. Nikogo nie obchodziło też, że odciski palców Lucasa znajdowały się w całym studiu Maxa; przecież reprezentował malarza w swojej galerii.

\* \* \*

Lucas Steiner krzątał się w galerii z miejsca w miejsce, dopieszczając ostatnie szczegóły wystawy, chociaż było to zupełnie niepotrzebne. Powierzył catering nowej firmie i postanowił spróbować każdego rodzaju kanapki, dlatego pochłaniał kolejne przystawki, a zatrudnieni na inaugurację kelnerzy dokładali nowe przekąski na ustawione w szachownicę tacki. Stojący przy wejściu stolik z napojami prezentował się niezwykle uroczyście, a umieszczone w podłodze światła podświetlały na złoto cały sufit, przebiegając wcześniej przez ustawione na szklanych stolikach kieliszki z prosecco. Przyszło mu do głowy, że gdyby zamiast musującego wybrał czerwone wino, refleksy nad głowami zwiedzających zabarwiłyby się na czerwono jak krew. Na pewno zwróciłyby to uwagę wszystkich, ale mogłoby się okazać zbyt dramatyczne. I mogłoby odwrócić uwagę od *Furii* Maxa.

Ostatni ukończony przez artystę obraz wisiał na drucianej linii pośrodku pomieszczenia. Płótno zostało przymocowane do ramy tylko w jednym, szczytowym punkcie dzieła. Punktowe reflektory umieszczone na podłodze i suficie oświetlały go z góry i dołu, a płótno obracało się bezwiednie jak zwłoki wisielca. Brzegi nie zostały oprawione, żeby każdy mógł przeczytać słowo, które Max napisał tam własnymi palcami i które stało się również tytułem obrazu. Z każdego miejsca w pomieszczeniu widać było stalowe kolce przebijające ramę i płótno.

Reszta serii została wyeksponowana w podobny sposób, z tą różnicą, że dzieła były przywiązane wystającymi z sufitu i podłogi prętami, mocującymi prace nieruchomo w różnych punktach sali. Całość tworzyła przytłaczający labirynt stalowych drutów i płócna. Lucas chciał, żeby goście czuli się uwięzieni przez

liczne obrazy o mniejszym formacie i walczyli o dotarcie do centralnego dzieła. Jego intencją było, żeby doszli do środka galerii wściekli. Chciał, żeby poczuli *Furię* Maxa.

Lucas po raz kolejny przeszedł zaprojektowaną przez siebie ścieżką i przez kilka minut spoglądał, jak wielkie płótno obraca się jednostajnie w tę i z powrotem. Potem odsunął czarne aksamitne zasłony chroniące jego galerię przed wścibskimi spojrzeniami, wykrzywił usta w wyuczony uśmiech sprzedawcy i otworzył drzwi galerii przed pierwszymi gośćmi. Kiedy odniósł wrażenie, że wewnątrz zgromadziło się wystarczająco dużo osób, złapał za kieliszek prosecco i odsunął się, by obserwować reakcje odwiedzających.

## 48. Myriam

Tony rozpoznałby wszędzie tę blond grzywę, chociaż widywali się bardzo rzadko, odkąd porzucił ciepłą posadkę w Zürcher Bank i zaczął pracę w kuchni Glücka. Znał tylko jedną kobietę, która potrafiła z taką gracją odchylić głowę, żeby odgarnąć grzywkę zasłaniającą jej piękne, lodowato niebieskie oczy. Musiał przyznać, że wciąż była bardzo atrakcyjna. Kucharz podszedł do niej i wymówił czule jej imię, uśmiechając się od ucha do ucha. Naprawdę cieszył się, że przez zupełny przypadek znalazł znajomą twarz w pełnej nieznanym galerii.

– Myriam Steiner...

Kobieta odwróciła się, słysząc znajomy głos i stanęła twarzą w twarz ze swoim dawnym kolegą. Od razu mocno się przytulili.

– Jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałam się spotkać na tym wernisażu, kochany Tony. Bardzo cieszę się, że cię widzę. Naprawdę.

Tony wiedział, że słowa Myriam były szczerze. Odsunęli się od siebie, ale on nie wypuścił jej z ramion, a ona wciąż trzymała ręce na jego pasie. Nie siląc się na zachowanie jakichkolwiek protokołów grzecznościowych, pracowniczka banku przeszła bezpośrednio do tematu, którego nie mogli uniknąć:

– Lucas powiedział mi o wszystkim, ale ja wiem, że ty nie mogłeś tego zrobić. Nie wierzę, że byłbyś w stanie zrobić coś takiego.

Tony był wdzięczny za słowa wsparcia. Mimo braku wiążących dowodów nie było mu łatwo występować w roli oskarżonego. Kiedy jeszcze razem pracowali, zawsze dobrze się dogadywali. Po jego odejściu ich godziny pracy były tak różne, że trudno było im dalej się widywać.

– Oczywiście, że nie byłbym w stanie tego zrobić – powiedział, wypuszczając Myriam z objęć. – Tak naprawdę wierzę, że wszystko niedługo się rozwiąże. Moja prawniczka jest dobrej myśli. Nie mają żadnych innych dowodów poza bójką w barze i jednego mało wiarygodnego alibi, chociaż ostatnio wszystko zaczęło obracać się tylko wokół tego – przyznał zasmucony. – Całe moje życie jest teraz

w jednym wielkim nawiasie. Całe szczęście, że mogę chodzić codziennie do pracy... Ale tak szczerze to wolałbym porozmawiać o czymś innym. Lepiej powiedz mi, co cię tu sprowadza.

– Steiner to mój były mąż, a Max jest jego najbardziej dochodowym artystą. Lucky zaprasza mnie na takie ważne wydarzenia.

Tony nie mógł ukryć zaskoczenia.

– Lucky Steiner? Lucas Steiner jest twoim byłym mężem?

– No tak właśnie mi się w życiu przytrafiło... Ale to było bardzo dawno temu. I nie było to żadne traumatyczne przeżycie. On zatrzymał moje nazwisko, ale ja w zamian odzyskałam swoją niezależność. Małżeństwo to więzienie dla kobiety. I całe szczęście, że w międzyczasie nie urodziłam dzieci, Tony. To nie jest życie dla mnie. Wszystko wydarzyło się z prędkością światła: narzeczeństwo, ślub, separacja. Nie miałam nawet czasu, żeby o tym wszystkim pomyśleć. Choć zajmuję się zawodowo badaniem przeszłości innych, jego biografia pozostaje dla mnie nieodgadniona.

– Uff! Zagadki to dla mnie nie najlepszy temat do rozmowy – wyznał Tony. – Myślę, że w tej kategorii biję wszystkich na głowę: jestem oskarżony o przestępstwo, którego nie popełniłem, i będę ojcem dziecka spłodzonego albo przeze mnie, albo artystę, którego dzieła możemy dzisiaj oglądać.

Sarkazm kucharza nie był w stanie odwrócić uwagi od jego ogromnego smutku. Chciał być ojcem dziecka. Marzył o tym, żeby wychować to dziecko z Valerią. Myriam natychmiast chciała go pocieszyć.

– To nie geny, ale miłość decyduje o tym, kto jest ojcem dziecka, Tony. Biologia daje temu wszystkiemu jakiś fizyczny początek, ale prawdziwym wyzwaniem jest bycie ojcem, kiedy dziecko przychodzi na świat. Niezależnie od tego, kto jest jego biologicznym rodzicem, to dziecko na pewno będzie najszczęśliwsze na świecie, mając takiego tatę jak ty. Wątpię, żeby Max był w tym od ciebie lepszy, tak szczerze mówiąc. To egoista i w dodatku dość zgorzkniały typ. Poza tym miał pełno różnych nałogów i żaden z nich nie przyniósł mu nic dobrego.

Tony poprawił ją.

– Wciąż ma.

– To prawda. Chociaż tak naprawdę biedakowi już prawie nic nie zostało.



Tony nie mógł się nie skrzywić, słysząc komentarz Myriam. Zgadzał się z tym, że Max był dupkiem, ale teraz był zupełnie bezbronnym dupkiem.

– Nie mów tak, Myriam. To w niczym nie pomoże.

– Czego masz nie mówić, Myriam? – przerwał im trzymający dwa kieliszki prosecco w dłoniach Lucky. Jeden z nich podał swojej byłej żonie. – Nie wiedziałam, że znasz Tony’ego. Zresztą dziwi mnie, że w ogóle się tu zjawiłeś – dodał, nawet nie patrząc na kucharza.

Tony udał, że słowa Lucasa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia, ale nie powstrzymał się od natychmiastowej odpowiedzi:

– Nie mam nic do ukrycia, jeśli odnosisz się do tego, o czym właśnie teraz myślę. I nie mam zamiaru nikomu przeszkadzać. To nie ja jestem dzisiaj najważniejszy.

– Niestety ta najważniejsza dzisiaj osoba nie może być tutaj z nami – odgryzł się Lucas. – Może wiesz dlaczego?

Tony zignorował jego prowokację, wiedząc, że jakakolwiek odpowiedź mogłaby sprowadzić na niego kłopoty. Postanowił więc pożegnać się z Myriam, unikając wymiany spojrzeń z właścicielem galerii.

– Myriam, fajnie było cię znowu zobaczyć. Nie idź sobie, bo jeszcze musimy dokończyć tę rozmowę, dobrze?

Ona zgodziła się z Tonym i przez kilka sekund patrzyła na niego, aż się oddalił, po czym rzuciła wrogie spojrzenie byłemu mężowi:

– Można wiedzieć, o co ci chodzi, Lucky? I czy przypadkiem mam uwierzyć, że to ty jesteś przykładowym obywatelem?

## 49. Ciekawość

Lucas nie miał zamiaru kłócić się z byłą żoną podczas wernisazu. Włożył w wystawę dużo pracy, bardzo wiele zaryzykował i to był jego dzień. Chciał cieszyć się własnym sukcesem. Zainwestował bardzo wysoką sumę i zależało mu na tym, żeby przełożyło się to na sprzedaż dzieł. Miał gdzieś to, czy był przykładowym obywatelem, bo marzył tylko o tym, żeby mieć zyski z wystawy. Czuł, że musi odgryźć się byłej żonie.

– Tony jest odpowiedzialny za to, w jakim stanie znajduje się Max, którego z nami dzisiaj tutaj nie ma, Myriam. Nie mam pojęcia po cholere w ogóle tu przyszedł, ale chyba nie oczekiwałaś ode mnie, że będę udawać, że nic się nie stało?

W sali było pełno osób. Zwiedzający wydawali się zachwyceni nie tylko obrazami, ale również ich wyeksponowaniem. „Spektakularne *show*; bardzo, ale to bardzo *artsy*” – usłyszał niedaleko siebie Lucas. Zdanie wypowiedział jakiś gestykulujący w wystudiowany sposób krytyk sztuki. Wszystkie towarzyszące mu osoby robiły zresztą dokładnie to samo.

Obok stała redaktorka znanego artystycznego pisma, która skinęła głową i dodała: „Bez wątplenia. To wszystko jest wręcz porażająco wybuchowe. Tytuł wystawy jest bardzo trafiony”. Takich osób w tłumie było całe mnóstwo, ale Lucas nie wykazywał wobec nich żadnego zainteresowania. Powodem było to, że prawdziwi nabywcy nie byli aż tak egzaltowani. Ci, którzy byli gotowi wyłożyć pieniądze za obraz, zawsze byli znacznie dyskretniejsi. Krytycy stanowili jedynie zło konieczne. Byli potrzebni, żeby w mediach pojawiły się informacje o galerii i *Furii* Maxa. Musiał z nimi porozmawiać, nawet jeśli czuł, że to spotkanie będzie równie emocjonujące jak wizyta u dentysty. Lucas miał właśnie zamiar podejść do małej grupki dziennikarzy, żeby odebrać od nich naręcza komplementów, kiedy zobaczył wchodzących do środka Gottfrieda i Julię. Galerzystą, czując natychmiastową ulgę, że może opóźnić spotkanie z krytykami, przyjął ich z przesadnym entuzjazmem.

– Gottfried! Julia! Jak dobrze was tu widzieć! Max byłby na pewno bardzo szczęśliwy, wiedząc, że tu jesteście. Wystawa jest ogromnym sukcesem. Co powiecie na *mise-en-scène*?

Gottfried był zaskoczony wylewnością Lucasa, chociaż przypuszczał, że była to wina prosecco. Julia odpowiedziała na jego przywitanie, podczas gdy Gott spoglądał na kobietę, która ze zirytowaną miną stała obok Steinera, mimo że ten był prawie odwrócony do niej plecami. Wydawało mu się, że gdzieś wcześniej już ją widział, choć może odniósł takie wrażenie tylko dlatego, że przypominała mu matkę. Sięgnął po dwa kieliszki stojące na stoliku i podał jeden Julii, a ona podziękowała mu soczystym pocałunkiem w usta.

Myriam zdała sobie sprawę, że Gottfried ją obserwuje, dlatego złapała byłego męża za ramię, podeszła do nich i jakby nigdy nic wdała się w rozmowę.

– Niech lepiej państwo powiedzą, że wszystko wyszło fantastycznie. Mój były mąż bardzo źle znosi krytykę – zaatakowała ironicznie. – Czy są państwo przyjaciółmi Maxa?

Lucas poczuł, że musi wszystkich sobie przedstawić.

– Właśnie macie okazję poznać moją byłą żonę, Myriam Steiner.

A za chwilę zwrócił się bezpośrednio do niej:

– Myri, to Gottfried Messmer i Julia Vogel. Gottfried jest właścicielem baru Glück, posiada też naprawdę okazałą i interesującą kolekcję sztuki. Julia jest pielęgniarką, pracuje w szpitalu w Trioli. Teraz czasami zajmuje się również Maxem.

Kiedy usłyszał nazwisko kobiety, Gottfried od razu zrozumiał, że już kiedyś się poznali. Wyciągnął do niej rękę.

– Miło mi panią znowu poznać, Myriam. Chociaż chyba muszę powiedzieć, że my już się znamy. Pracuje pani w Zürcher Bank, zgadza się? Coś mi się wydaje, że to właśnie pani towarzyszyła mi, kiedy otwierałem odziedziczoną po ojcu skrytkę.

Myriam przyznała mu rację.

– Co za zbieg okoliczności – wykrzyknęła Julia, uśmiechając się do pracowniczki Oddziału Spadków. – To miasto jest tak małe, że prędzej czy później wszyscy się poznają.

– Małe? Ja bym powiedziała, że malutkie – dodała Myriam. – Nie można nikomu wejść na odcisk, bo i tak prędzej czy później wszyscy się spotykają.

Julia westchnęła.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić. Jestem pielęgniarką. Miałam najróżniejszych pacjentów. Całe szczęście, że teraz pracuję na oddziale, który pacjenci opuszczają bezpowrotnie – powiedziała, ale nikt się nie zaśmiał. Julia zdała sobie sprawę, że jej głupi żart dotyczył również Maxa. Popelniła gafę, dlatego Gottfried postanowił wyciągnąć ją z tarapatów.

– To zupełnie inaczej niż w banku, bo tam spotyka pani pewnie dużo znajomych twarzy – powiedział, przekierowując rozmowę na znacznie mniej wyboistą ścieżkę.

– No cóż, wcale nie. Właściwie nie mam stałych klientów – odpowiedziała Myriam. – I nie pracuję z wieloma klientami jednocześnie. Jestem zatrudniona w Oddziale Spadków, a to zupełnie inna bajka. Zajmuję się zamrożonymi kontami, czyli takimi, na których od wielu lat nie odnotowano żadnej aktywności finansowej, a których właściciele zmarli lub uznano ich za zaginionych. Nasza praca polega na znalezieniu spadkobierców. Właśnie w ten sposób poznałam pana Messmera. Odkrycie, że mieszka w Zurychu, było dla mnie dużym zaskoczeniem. Zazwyczaj nigdy nam się to nie zdarza, ale to był wyjątek potwierdzający regułę.

– Gottfried jest naprawdę wyjątkowy – zażartowała Julia – a pani praca wydaje mi się niesamowicie ciekawa. Jestem pewna, że każdy przypadek skrywa bardzo skomplikowaną historię. Z drugiej strony trudno mi uwierzyć, że ktoś mógł zamrozić swój majątek na koncie w banku i potem nie dawać żadnych znaków życia...

Gottfried patrzył na Julię z uśmiechem. Kierowała rozmową, chociaż tak naprawdę nie było to jej celem. Zawsze zaskakiwało go, z jaką łatwością zjednywała sobie ludzi, okazując im zainteresowanie ich życiem, chociaż jeszcze bardziej dziwiło go, że naprawdę ją to interesowało.

Julia kontynuowała rozmowę z Myriam:

– Muszę przyznać, że fascynują mnie takie niewyjaśnione sprawy. Gdybym była na pani miejscu, chyba umarłabym z ciekawości, żeby móc rozwiązać te wszystkie zagadki. Nie mówiąc już o zawartości skrzynek!

Myriam uśmiechnęła się, słysząc wyznanie Julii.

– No cóż, każda sprawa ma za sobą głęboką pracę śledczą, więc zawsze musimy zgłębić te historie, ale jak pewnie pani zrozumie, są one pofne. I nie wszystkie

konta są powiązane ze skrytką depozytową, jak w przypadku pana Messmera. W rzeczywistości należą one do rzadkości. W większości przypadków są to pieniądze zdeponowane na numerowanych rachunkach bankowych; są to depozyty, których nikt nie dotykał przez całe dziesięciolecie.

– A dlaczego są numerowane? – zapytała szybko Julia.

– W celu ochrony ich właścicieli. Prawdziwe dane osobowe są znane tylko dwóm lub trzem pracownikom banku. Nawet ja nie umiem powiedzieć, czy są to dwie czy trzy osoby.

– Chronią ich państwo przed Urzędem Skarbowym?

Myriam zaśmiała się w głos, co zwróciło uwagę grupki krytyków sztuki zgromadzonych wokół Lucasa. Właściciel galerii stał obok swojej byłej żony, przyjmując każdego, kto chciał z nim porozmawiać, ale wyteżał słuch, żeby jednocześnie słyszeć rozmowę, którą prowadziła z Gottfriedem i Julią.

Pracowniczka Zürcher Bank pomyślała, że pytanie Julii jest zupełnie nie na miejscu, ale czuła, że kobieta zadała je z całkowitą naiwnością, dlatego odpowiedziała jej szczerze.

– Zwolnienie od płacenia podatków to zupełnie nowoczesny wynalazek. Klienci mogą być chronieni z wielu powodów. Rachunki zaczęto numerować w 1934 roku, aby chronić tożsamość klientów żydowskich i trzymać ich aktywa poza zasięgiem nazistów.

Gottfried zdał sobie sprawę, w jakim kierunku Julia chciała poprowadzić tę rozmowę i postanowił, że i tym razem ją zatrzyma.

– Julio, pani Steiner przyszła, żeby zobaczyć wystawę, a nie...

Protekcjonalny ton Gottfrieda zdenerwował Julię, dlatego nie pozwoliła dokończyć mu zdania.

– Poczekaj, Gott. Nie każdego dnia nadarza się okazja, żeby dowiedzieć się tylu ciekawych rzeczy. – A potem rzuciła rozmówczyni jeszcze jedno pytanie: – W takim razie każdy klient może być chroniony?

Myriam uśmiechnęła się. Nowe pytanie nie wydało jej się już tak zupełnie niewinne jak wcześniejsze, ale Julia wyglądała na miłą osobą. Sama była zresztą przyzwyczajona do ludzkiej dociekliwości.

– Oczywiście. Każda osoba. Salda i operacje klientów każdego banku są chronione, bo są to informacje poufne. Tajemnica bankowa to tak jakby pierwszy

stopień zabezpieczenia, a rachunki numerowane to kolejny stopień. Ale jeśli chodzi pani o nielegalne pieniądze, to trzeba wiedzieć, że w dzisiejszych czasach są one poddane ścisłej kontroli.

– Kontroli? Ale w jakim sensie? – przycisnęła Julia.

– W takim, że podejmowanie ryzyka prawnego i utraty reputacji, jakie pociągają za sobą takie operacje, nie opłacają się żadnemu bankowi. Nielegalne fundusze stanowią tylko cztery albo nawet mniej procent całkowitego obrotu. Mogą przynieść tak wiele negatywnego rozgłosu na świecie, że naprawdę nie warto ich przyjmować. Przynajmniej nie w dzisiejszych czasach.

Gottfried obawiał się kolejnego pytania Julii, więc postanowił zmienić temat rozmowy.

– No dobrze, ale pieniądze to tylko pieniądze. A co ze skrytkami? – zapytał.

Julia natychmiast podchwyciła jego pytanie i sformułowała je po swojemu.

– No właśnie! Nie jest pani ciekawa, co się w nich znajduje?

To nie był pierwszy raz, kiedy zadawano jej to pytanie, dlatego pracowniczka Zürcher Bank odpowiedziała przygotowaną na tę okazję formułką:

– Oczywiście, że jestem ciekawa. Czasami widząc wyraz twarzy klientów opuszczających skarbiec, muszę ugryźć się w język. Ciekawość to chyba najbardziej ludzka cecha i mamy ją wpisaną w nasze DNA. Chociaż tak naprawdę po wyjściu z pracy w ogóle o tym nie myślę.

Gottfried zobaczył w głębi sali czuprynę Tony'ego i bezskutecznie próbował przyciągnąć do siebie jego spojrzenie. Przeniósł wzrok na Julię, która z uśmiechem chytrego dziecka zadała następne pytanie. Bardzo dobrze wiedział, o co zapyta.

– A nie jest pani ciekawa, co znajdowało się w skrytce Gottfrieda?

## 50. Obsesja

Kiedy Julia zadała pytanie, Gottfried pokręcił głową, chociaż nie był w stanie się na nią naprawdę gniewać. Doskonale zdawał sobie sprawę, że uwielbiała rozwiązywanie zagadek, odczytywanie znaków i dziwne zbiegi okoliczności. Cieszył się, widząc jej szczęście. Niemniej tego wieczoru nie miał ochoty rozmawiać z nią o ojcu ani poruszać tematu *Lasu w ciszy*. Miał ochotę zobaczyć prace Maxa i dyskutować tylko o wystawionych obrazach.

Widząc wyraz twarzy Gottfrieda, Myriam poczuła potrzebę przeproszenia go za natarczywe pytanie, na które odpowiedzi wcale nie chciał usłyszeć, a ona – jej udzielać. Zdecydowała, że odpowie Julii w taki sposób, żeby nikogo nie urazić.

– Oczywiście, że intryguje mnie, co znajdowało się w skrytce, ale pan Messmer ma całkowite prawo do tego, żeby zachować to w tajemnicy, a moim obowiązkiem jako pracowniczki banku jest uszanowanie jego zdania. Nie mogę pogwałcić obowiązujących od stuleci w tej branży zasad.

Julia poczuła się zawstydzona reprimendą rozmówczyni. Natychmiast złapała czule Gottfrieda za ramię, a on od razu zrozumiał, że nie ma innego wyjścia jak wyjawić, co znajdowało się w skrytce. Zwrócił się do Myriam, chcąc wyciągnąć Julię z tarapatów.

– Pani Steiner, mogę to pani zdradzić, ale wcześniej chciałbym prosić, żebyśmy przeszli na „ty”. Czuję się trochę niezręcznie, kiedy ktoś mówi do mnie na „pan”. Zwłaszcza gdy jest to osoba w moim wieku.

– Oczywiście – przyznała mu rację Myriam. – Nie ma problemu.

– Dziękuję ci, Myriam. Szczerze mówiąc, to żaden sekret. A poza tym, jestem pewien, że gdybym ja ci tego nie powiedział, w końcu zrobiłaby to moja żona.

Julię zaskoczyło to określenie. To pierwszy raz, kiedy nazywał ją swoją żoną. Wcale jej to nie uraziło, ale wydało jej się odrobinę dziwne, bo wyniosłość tego słowa nie pasowała do ich relacji. Nie podobało jej się bycie czyjąkolwiek żoną. Wołała być partnerką Gottfrieda.

– Od kiedy jestem twoją żoną? – zapytała uszczypliwie.

Gottfried wyjaśnił Myriam całą sytuację:

– Tak naprawdę nie mamy ślubu ani nawet nie mieszkamy razem, chociaż muszę powiedzieć, że Julia jest dla mnie jak żona – powiedział, patrząc na Julię ze złośliwym uśmiechem na twarzy. Julii nie spodobał się za bardzo ten komentarz, chociaż zrozumiała, dlaczego tym wszystkim się dzielił, kiedy chwilę później dodał:

– Jeśli ona chce, żebym powiedział ci, co znajdowało się w skrytce, tak czy owak będę musiał to zrobić.

Julia i Gottfried wymienili między sobą tak czułe spojrzenia, że Myriam poczuła się trochę zazdrosna. Wzajemne zrozumienie nie było mocną stroną jej małżeństwa z Lucasem. Nie umieli też żartować jedno z drugiego w taki sposób, żeby żadne nie poczuło się urażone. Zaufała nowojorczykowi, który, jak odkryła z upływem czasu, nigdy jej nie kochał. Zauważyła to prawie natychmiast. Mimo to odgrywała idealną żonę i unikała pytań, podczas gdy jej mąż ukrywał swoje problemy prawne po drugiej stronie Atlantyku oraz nowe podejrzane układy w Europie. Jej katolickie wychowanie kazało jej myśleć, że znoszenie tej sytuacji należy do obowiązków żony. Tymczasem Lucas kochał jedynie swoich klientów i interesy, które z nimi robił. I kochał pieniądze.

W dniu, kiedy w końcu podjęła decyzję o tym, że go zostawi, odniosła wrażenie, że w ogóle go to nie obeszło. Nie zabolowało go to, bo ona tak naprawdę nigdy go nie obchodziła. Oboje wyszli z tego związku zwycięsko: on zdobył nazwisko, a ona swoją wolność i poczucie własnej wartości. Po nim w jej życiu pojawiali się inni mężczyźni, ale były to przejściowe znajomości. Myriam nie pozwoliła im zostać w jej życiu.

– Mój kochany mężuniu, może wreszcie uraczysz nas swoją historią – nalegała Julia. Jej uszczypliwość doprowadziła Gottfrieda do śmiechu. Chwilę potem zaczął opowiadać.

– W skrytce ojca znajdował się obraz. Bardzo niewielki obraz. Został on ukryty we wnętrzu drewnianej laski. Wyszedłem ze skarbca, podpierając się na niej. Przyszło mi do głowy, że był to najbardziej odpowiedni sposób na jej premierę.

– Zwróciłam na to uwagę – przyznała Myriam. – Pamiętam, że zadałam sobie pytanie, ile mogła być warta, jeśli była jedyną rzeczą umieszczoną w skrytce.



– No tak. Ale laska to tylko laska – powiedział Gottfried. – Ma bardziej wartość sentymentalną dla jej właściciela, podczas gdy obraz jest naprawdę cenny.

– Taki przypadek z obrazem to coś bardzo często spotykanego podczas II wojny światowej. Czasami zdarzały się takie historie po jej zakończeniu, jak miało to miejsce w przypadku twojego ojca – powiedziała Myriam. – Sztuka i złoto to pewna inwestycja. Spadkobiercy najczęściej sprzedają dzieła sztuki. Ale bardzo dużo dzieł zostało wówczas zrabowanych. Naziści przywłaszczyli sobie niebagatelną liczbę sześciuset tysięcy dzieł sztuki. W takich przypadkach mamy do czynienia z dość tragiczną sytuacją, między innymi dlatego, że spadkobiercy dowiadują się, jaka była prawdziwa historia ich rodziny.

Właśnie wtedy Myriam zrobiła małą pauzę i gestem przywołała Lucasa, żeby dołączył do rozmowy i przestał obserwować tłum. Potem na nowo zwróciła się do Julii:

– Jeśli jesteś zainteresowana tym tematem, możesz zapytać o wszystko mojego byłego męża, ponieważ mógłby opowiedzieć ci sporo rzeczy na temat zrabowanych dzieł sztuki. – I uśmiechnęła się do niego złowieszczo, dodając: – Prawda, kochanie?

Właściciel galerii poczuł się zagrożony, ale natychmiast odpowiedział byłej żonie zgrabnym wykrętem:

– Chyba nie przytoczyłaś całej historii o podejrzanych członkach rodziny ze względu na ojca Gottfrieda, co? Jestem przekonany, że jego ojciec nie był ani złodziejem, ani tym bardziej nazistą, Myriam.

Pracowniczka Oddziału Spadków nie mogła ukryć zdziwienia, kiedy zdała sobie sprawę, że Lucas przez cały czas przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Wątpię, żeby Myriam miała właśnie to na myśli – wtrącił Gottfried, chcąc zwrócić się bezpośrednio do niej. – Co by nie było, mój ojciec jest najmniej interesującą postacią w tej historii, ponieważ tak naprawdę ani laska, ani obraz nie były przeznaczone dla mnie. Prawdziwym spadkiem było pragnienie mojego ojca, żebym odnalazł właścicieli obu przedmiotów.

– O, proszę! To dopiero ciekawe! Czyli opłaciłeś skrytkę, ale jej zawartość nie była przeznaczona dla ciebie? – zapytała Myriam Steiner.

– Dokładnie tak. Gdybym wiedział o tym wcześniej, pewnie zaoszczędziłbym kupę kasy – przyznał Gottfried.

– I co? Znalazłeś go?

– No cóż, Myriam, tak jak powiedziała wcześniej Julia, Zurych jest bardzo małym miastem.

– Naprawdę? A więc znalazłeś? Co za historia! – wykrzyknęła podekscytowana kobieta. – I zrzekłeś się obrazu? Pytam, bo wcześniej wspomniałeś, że obraz jest sporo wart...

Entuzjazm Myriam zaczął bawić Gottfrieda.

– To dość ciekawa historia. Twój były mąż miał rację: to jedno z pierwszych dzieł Klimta. Kiedy mi to powiedział, pomyślałem, że sobie ze mnie żartuje, bo znałem tylko najbardziej sztandarowe obrazy: *Pocałunek*, *Trzy okresy życia kobiety* i w zasadzie nic więcej. Nie miałem pojęcia, że zaczynał od malowania pejzaży.

– Czyli obraz jest pejzażem? – zapytała Myriam.

– Tak. A dokładnie, to odwzorowanie wiedeńskiego lasu.

## 51. Odkrycie

Do Lucasa zbliżyła się tajemnicza para w podeszłym wieku. Imponujący sznur pereł okalał szyję kobiety, mimo że była dość skromnie ubrana. Z kolei mężczyzna, którego trzymała pod ramię, wyglądał prawie jak żebrak. Lucas od razu zrozumiał, że są inwestorami, nawet jeśli ukrywali swoją prawdziwą tożsamość. Nie byli ostentacyjni w ubiorze i zapewne dysponowali milionowym majątkiem, rozsądnie kupując dzieła sztuki i nie troszcząc się o swoją powierzchowność. Właściciel galerii zniechęcony kierunkiem rozmowy postanowił przeprosić i opuścić otaczającą go grupę.

Myriam od razu zauważyła, że jej były mąż chce od nich uciec, ale postanowiła się nim nie przejmować i skoncentrować na historii obrazu.

– Poczekaj chwilę, Gottfried. Powiedziałeś, że obraz to dzieło Gustava Klimta przedstawiające las, a do tego jest bardzo niewielkich rozmiarów. Jakie dokładnie ma wymiary?

– Może być rozmiaru dłoni. Jak pocztówka. Dlaczego pytasz?

– Za chwilę wszystko ci opowiem, ale najpierw ty mi powiedz, czy nie znasz czasem jego tytułu.

– Według Maxa obraz jest zatytułowany *Las w ciszy*.

– To nieprawdopodobne – orzekła Myriam, szeroko otwierając oczy. – Niech mnie ktoś uszczypnie. Przecież ten obraz był największą obsesją mojego byłego męża!

\* \* \*

Niedaleko Lucas Steiner rozmawiał z parą potencjalnych kupców, nie odrywając wzroku od trzech osób konwersujących przy stoliku z napojami. Niepokoiło go to, co jego była żona mogłaby opowiedzieć Julii i Gottfriedowi. Nie lubił tracić

kontroli nad sytuacją. Niestety już chwilę później nie miał kontroli zupełnie nad niczym.

Lucas zobaczył bowiem, jak właśnie otworzyły się drzwi, przez które mężczyzna w średnim wieku popychał wózek inwalidzki z siedzącym na nim staruszkiem.

– Cholera – wymknęło się Lucasowi. Jego rozmówcy skrzywili się z niesmakiem na przekleństwo, ale on nawet nie zwrócił na to uwagi. Wysyłając zaproszenia na inaugurację, zapomniał usunąć adres starca ze swojej listy mailingowej. Na łysinie Lucasa zaczęły pojawiać się krople potu rozlewające się później po całej głowie, przypominając rozległe kałuże. Właściciel galerii przeprosił parę kupców i uciekł w tłum w głąb sali. Chciał zobaczyć reakcję niedawno przybyłego na wystawę gościa, który nieświadomie był jej sponsorem.

Kiedy Baron i towarzyszący mu mężczyzna znaleźli się w samym środku galerii, pierwszy z nich zaczął podziwiać powieszony tam ogromny obraz akrylowy obracający się wokół własnej osi, ukazujący dziesiątki gwoździ przebijających jego strukturę. Ręce starca spoczywały na kaszmirowym niebieskim pledzie osłaniającym schorowane nogi.

– Muszę przyznać, Albercie, że niczego sobie jest ten Max Müller – powiedział do asystenta. – Ma w sobie jakąś niewypowiedzianą moc. Przemawia do mnie jego złość. Powinniśmy zainteresować się tym artystą i nie tylko przez wdzięczność. Szkoda tylko, że obrazy zostały tak kiepsko zaprezentowane. Cały ten rozgardiasz z drutami odwraca uwagę od dzieł, nie sądzisz?

Lucas wysłuchał opinii mężczyzny i jeszcze bardziej wyteżył wszystkie zmysły. Mimo że Baron wyglądał na schorowanego, jego umysł działał lepiej niż mózg Steinera. Właściciel galerii postanowił z odwagą zmierzyć się z sytuacją. Otworzył ramiona w geście powitania, udając zdziwienie i wymawiając imię gościa z wymuszoną radością. Tłumnie zebrani goście przenieśli uwagę na sam środek galerii.

– Gabriel Baron! Co za niespodzianka i zaszczyt! Witam w mojej galerii. Ogromnie się cieszę na pańską wizytę!

Imię archanioła od razu przykuło uwagę Gottfrieda, który zbliżył się do trzech mężczyzn na tyle, na ile było to możliwe. Szybkim ruchem ręki poprosił Julię i Myriam, żeby zrobiły to samo.

Starzec odpowiedział na wylewne powitanie Lucasa wymuszonym uśmiechem. Minęło niewiele od ich ostatniej rozmowy, ale nie widzieli się już od lat. Wtedy jeszcze wciąż stał o własnych siłach, teraz mógł zaś podtrzymać ciało w pionie przez dużo krótszy czas. Przyzwyczyił się do wygodnego krzesła, które stało się jego niezbędnym kompanem, zwłaszcza w podróży. Jednak tym, co najbardziej denerwowało go w siedzącym trybie życia, było to, że został skazany na bycie zawsze poniżej poziomu swoich rozmówców. Ze względu na to, że całe życie spędził na wysokim stanowisku zarządcy w firmie transportowej, nie mógł przyzwyczyać się do patrzenia na ludzi z tej poniżającej perspektywy i nienawidził protekcjonalności patrzących na niego z góry osób. Zupełnie jak robił to teraz Lucas Steiner.

– Dziękuję, Lucasie – powiedział niewzruszony Gabriel Baron. – Ja też się cieszę, że wreszcie tutaj dotarłem. Wcale nie jest łatwo poruszać się z tym wszystkim – dodał, wskazując na wózek. – Chociaż muszę przyznać, że nie przyjechałem tylko, żeby się spotkać z tobą. Właśnie byliśmy z Albertem w Wiedniu, kiedy postanowiliśmy przyjąć twoje zaproszenie. Sam dobrze znasz powiedzenie, że lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu... Dlatego przyjechałem złożyć podziękowania Maxowi Müllerowi za to, że sprzedał mi Klimta. A tobie, Lucasie, chciałbym podziękować za to, że zająłeś się stroną biznesową. Naprawdę wiele dla mnie znaczy to, że udało ci się go zdobyć. To było ulubione dzieło Sandlera.

Kiedy Myriam Steiner usłyszała, co powiedział Baron, zasłoniła usta, żeby zdusić w sobie pytanie, które miała ochotę wypowiedzieć. Mimo wszystko nie była w stanie zatrzymać słów, które wykrzyczała ze zdziwieniem.

– Max?! – zapytała Myriam Gottfrieda. – To Max był właścicielem Klimta?

Gottfried spojrział na Barona i Lucasa, a tymczasem wszystkie elementy układanki zaczęły tworzyć w jego głowie logiczną całość. Poszukał spojrzeniem Tony'ego, a kiedy wreszcie go znalazł, zapraszającym ruchem dłoni poprosił go, żeby do niego podszedł. Obrócił się do Julii i Myriam i wyraźnie akcentując słowa, wyszeptał:

– Zadzwońcie na policję. To Lucky zaatakował Maxa w jego studiu.

Po czym podszedł do starca i nie wahając się, wtrącił się w ich rozmowę.

– Panie Baron, jeśli Lucky zdobył dla pana ten obraz, z pewnością nie zrobił tego w zamian za pieniądze. Max nie sprzedałby tego płótna za żadne pieniądze świata.

Starca zaskoczyło, że przerwał im mężczyzna, którego nawet nie znał, a który podważał teraz umowę biznesową, której podpisanie zajęło Lucasowi wiele miesięcy. Chwilę potem złapał kościstymi dłońmi za podpórki w wózku inwalidzkim, oparł na nich cały ciężar ciała i z pomocą towarzyszącego mu mężczyzny wstał. Niebieski pled opadł powoli na ziemię, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby go podnieść. Wyprostowane starcze ciało wprawiło w zdumienie zebranych, którzy z zapartym tchem przypatrywali się scenie. Kiedy przemówił, w sali dało się słyszeć tylko jego tubalny głos.

– Czy mogę, do cholery, dowiedzieć się, kim pan jest? – zapytał bez zażenowania Gottfrieda.

Właściciel Glücka był zbyt rozwścieczony, żeby ugiąć się przed cherlawą postacią Gabriela Barona. Z drugiej strony słysząc jego zdecydowany głos, pomyślał, że to człowiek, który przeszedł wiele w swoim życiu, a napotkane na drodze przeciwności jedynie go wzmocniły, tak że nic nie było w stanie złamać jego twardego charakteru.

– Nie zna mnie pan, panie Baron, ale ja doskonale wiem, kim pan jest. Myślę, że wszyscy znamy pana z opowieści Lucasa. Ale tylko ja wiem, że Jakob Sandler uratował panu życie. Czy to prawda, Gabrielu Baron?

Baron ustał na nogach przez dosłownie dwie sekundy, a potem opadł na wózek, czując jak ciężar całego życia spada na jego barki. Oszołomiony starzec wyglądał jakby nie był w stanie przetworzyć wcześniej usłyszanych słów. Niekompletne informacje zalały jego umysł jak burza meteorytów.

– Skąd zna pan...? – Powiedział nieskładnie.

– Nie. Nie znam Jakoba Sandlera – przerwał mu Gottfried. – Umarł wiele lat temu, ale poznał go mój ojciec, chociaż nie znał jego imienia. Natomiast ja znam bardzo dobrze jego syna. Syna Jakoba.

## 52. Huragan

Po wyznaniu tego nieznanego mężczyzny matowe spojrzenie Gabriela Barona odzyskało dawny dziecięcy blask. Gottfried, ze ściśniętym z emocji żołądkiem, patrzył, jak staruszek zalewa się łzami. Miał wrażenie, że ma przed sobą własnego ojca. Baron otworzył wąż, za którym ukrywał pokłady nigdy nieokazywanych emocji. Nie obchodziło go, że patrzyło na niego tyle osób. Nie był w stanie spotkać się jeszcze raz z Jakobem, ale mógł zobaczyć jego syna. Jak tylko do siebie doszedł, zwrócił się do Gottfrieda.

– Przepraszam, panie...

– Messmer.

Słyszając to nazwisko, starzec wbił w niego pytające spojrzenie. Nie ulegało wątpliwości, że to nazwisko także coś dla niego znaczyło, chociaż Gottfried nie był w stanie odgadnąć co.

– Panie Messmer, nawet sobie pan nie wyobraża, jak ważne są dla mnie pańskie słowa – powiedział ze spojrzeniem wbitym w obracające się przed nim płótno. – Jakob ma syna... – wyszeptał, a łzy pociekły mu ciurkiem po policzkach.

Gottfried podniósł z ziemi niebieski pled i położył go na kolanach starca, a on złapał go za ramię tak mocno, jak pozwalały mu na to skostniałe palce. Kiedy wreszcie przemówił, w jego oczach można było dostrzec głęboki smutek.

– Spędziłem całe moje życie na poszukiwaniu Jakoba Sandlera. Wie pan o tym? Nigdy nie odnalazłem najmniejszego śladu po nim, a mogę pana zapewnić, że zainwestowałem w śledztwo naprawdę dużo pieniędzy. A teraz mówi mi pan, że Jakob Sandler ma syna.

Gottfried pozwolił, żeby starzec ścisnął jego ramię, a następnie położył czule swoją dłoń na ręce Barona, i zaczął wyjaśniać, kogo starzec właściwie poszukiwał przez całe swoje życie.

– Jego syn nigdy nie nosił nazwiska ojca, dlatego nie mógł się pan dowiedzieć o jego istnieniu. Po dotarciu do Szwajcarii Jakob Sandler ukrył się, przyjmując

inne nazwisko. Wybrał bardzo popularne, a przez to niezwracające niczyjej uwagi: Müller. Jakob Müller.

Lucas oddalił się nieznacznie od rozgrywającej się na jego oczach sceny i wycofał się za centralnie umieszczony obraz. Płótno ciągle obracało się w tym samym rytmie. Gottfried odniósł wrażenie, że *Furia* była początkiem burzy, która wkrótce przemieni się w prawdziwy huragan.

– A Müller to również nazwisko jego syna Maxa – mówił dalej Gottfried. – Max Müller. I właśnie dlatego jest niemożliwe, żeby Lucky kiedykolwiek kupił od niego *Las w ciszy*, ten obraz łączył go bowiem bezpośrednio z przodkami. Był dowodem na to, że jego ojciec miał kiedyś inne, lepsze życie, przeszłość, którą Max podawał w wątpliwość aż do momentu, kiedy sam dziewięć miesięcy temu przekazałem mu obraz. – I dokładnie w tej chwili Gottfried spojrzał na Lucasa, a złość wyrażona w wiszącym między nimi obrazie wydawała się płonąć teraz w jego oczach. – I proszę, kto wszedł do jego studia kilka tygodni później i go zaatakował? – wykrzyknął do właściciela galerii, który próbował ukryć się w tłumie.

Tony nie mógł wyjść ze zdziwienia. Zaraz obok stała mocno trzymająca go za ramię Myriam. Zupełnie jak wszyscy pozostali znieruchomiała z wrażenia, podczas gdy Gottfried zwrócił się do swojego kolegi:

– Tony, przepraszam cię, że nie dowiedziałem się o tym wszystkim wcześniej. Stary, wrobili cię. Lucky doprowadził do tego, żeby oskarżono cię o krzywdę wyrządzoną Maxowi, ale jestem prawie pewien, że to on stał za atakiem.

Gottfried zatrzymał się na chwilę. Wszyscy zgromadzeni w galerii goście wyczekiwali jego słów zupełnie jak podczas spektaklu, w którym Gottfried odgrywa pierwszoplanową rolę. Nie wiedział, jak w logiczny i uporządkowany sposób wytłumaczyć wszystko to, co krążyło mu po głowie, więc ograniczył się do krótkiego podsumowania.

– Myślę, że Lucky poszedł tamtej nocy z Maxem do jego studia. Nie wiem, czy chciał go zabić, czy się pobili, ale Max wyszedł z tego starcia przegrany. W każdym razie ukradł mu obraz, a Max nigdy nie zobaczył ani centa z pieniędzy wpłaconych przez Barona. Myślę, że to właśnie stało się tamtej nocy.

Huragan *Furii* wchłonął również Tony'ego, który przebiegł przez całą galerię w poszukiwaniu Steinera. Znalazł go przy drzwiach biura. Natychmiast do niego podszedł, gwałtownie odpychając stojące na jego drodze osoby. W tym samym



czasie Baron zaczął błagać Gottfrieda, żeby przedstawił go Maxowi. Gottfried wiedział, że to, co powie, i tak zasmuci staruszkę, dlatego zdecydował się wytłumaczyć mu to bez żadnego znieczulenia.

– Max został zaatakowany we własnym studiu osiem miesięcy temu. Strzelono do niego z pistoletu na gwoździe i kilka z nich utkwilo w mózgu. Nie zginął, ale do dzisiaj pozostaje w śpiączce.

Powaga, z jaką Gottfried wygłosił swoje oświadczenie, nie pozostawiała miejsca na żaden optymizm.

– Bardzo mi przykro – dodał szczerze Gottfried. Nigdy dotąd nie zdobył się na podobną szczerłość.

Odgłosy oburzenia zalały całą salę jak lawa. Negatywne emocje narastały powoli, ale nieprzerwanie. Gabriel Baron przyłożył palec wskazujący do ust i zamknął oczy. Wszyscy zebrani zamilkli. Kiedy znowu otworzył oczy, powiedział tylko trzy słowa:

– Chcę go zobaczyć.

– Oczywiście, panie Baron. Jutro... – Próbował przekonać go Gottfried, ale staruszek nie dał mu dokończyć.

– Chcę go zobaczyć nie jutro, ale w tej chwili.

– Ale godziny odwiedzin w Triemli kończą się o ósmej. Teraz to niemożliwe.

– Panie Messmer, czy myśli pan, że po sześćdziesięciu latach spędzonych na poszukiwaniu Jakoba Sandlera powstrzymają mnie jakieś tam godziny odwiedzin? Jak pan myśli?

Gottfried nic nie odpowiedział.

– Jestem zbyt blisko, żebym mógł czekać chociażby sekundę dłużej – dodał Baron. – Chcę zobaczyć Maxa Müllera, panie Messmer. I to natychmiast.

– Gott, pan Baron ma rację – wtrąciła Julia, która przed chwilą do niego dołączyła. – A co więcej, wydaje mi się, że Max też ucieszy się z tego spotkania.

– Max jest w śpiączce, kochanie. Z niczego się już nie ucieszy.

Julia rzuciła Gottfriedowi piorunujące spojrzenie, a potem skierowała się z czułością do starca.

– Panie Baron, pracuję w szpitalu w Triemli. Max jest moim pacjentem. Mogę załatwić panu wizytę poza godzinami odwiedzin. Proszę się nie martwić.

Baron, jego asystent i Julia skierowali się w stronę wyjścia. Ubrany w garnitur szofer czekała na nich cierpliwie w czarnym mercedesie. Kiedy wchodzili po kolei do samochodu, usłyszeli syreny nadjeżdżającego radiowozu policyjnego.

Tymczasem Tony wszedł do biura Lucasa, ale tam już go nie zastał. Kiedy wychylił się przez okno, dwie przecznice dalej zobaczył kontrastującą z otoczeniem sylwetkę uciekiniera. Biegł jak oszalały. Na ten widok szef kuchni nie mógł nie wykrzywić ust w pogardzie. Chwilę później wyskoczył przez okno tak samo, jak wcześniej Lucas, i zaczął iść w jego kierunku. Wiedział, że tamten po jakimś czasie się zmęczy. Wtedy go dopadnie.

## 53. Śpiączka

Gabriel Baron siedział w milczeniu przez kilka minut, patrząc na mechanicznie unoszącą się i opadającą klatkę piersiową Maxa. Chłopak był świeżo wykąpany. Trzeba mu było ogolić włosy, a od karku do czoła ciągnęła się bardzo głęboka blizna. Po miesiącach bezruchu podkurczyły mu się ręce i ramiona, chociaż fizjoterapeuci dokładali wszelkich starań, aby rozciągnąć wszystkie mięśnie i ścięgna. Jego skóra była wyjątkowo blada i gładka, błyszczała się też od maści przeciwoleżynowej.

Bezwładne ciało Maxa zasmuciło starca, bo czuł się odpowiedzialny za jego stan. Chciał mu powiedzieć wiele, ale zdobył się jedynie na ciche przeprosiny. W miarę tego, jak starał się ubrać swoje życie w słowa, Gabriel Baron zdawał sobie sprawę, jaki wielki był jego upór, jak bardzo był zdeterminowany, żeby przetrwać po zdarzeniu z nazistowskim żołnierzem i Jakobem Sandlerem. Wyjaśnił mu, że dzięki jego ojcu wciąż żyje i właśnie dlatego to małe zwinięte w rulon i ukryte w lasce płótno tak wiele dla niego znaczy.

– I właśnie w ten sposób twój ojciec opowiedział mi, jak został zmuszony do opuszczenia swojej kolekcji obrazów w Linzu, Max. Zabrał ze sobą tylko *Las w ciszy*, obraz, który kupił wraz z żoną. Udało mi się dowiedzieć, że w ich rodzinnym pałacyku zamieszkał nazistowski oficer, dzięki czemu obrazy wisiały w tym samym miejscu aż do końca wojny. Potem w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęły. Podzieliły los wielu innych dzieł sztuki. Naziści zrabowali ich ponad sześćset tysięcy... I większość z nich jest teraz w rękach prywatnych, co oczywiście najczęściej jest zupełnie bezprawne. Handlowcy tacy jak Bruno Lohse współpracowali z nazistami, nabywając zrabowane dzieła. Prowadzili swoją działalność aż do końca wojny. Sprzedawali kradzione obrazy, które przechodziły na czarnym rynku z jednych rąk do drugich. Lohse sam zmarł, dożywszy niemal stu lat, nigdy nieosądzony i nieukarany. Jak sam widzisz, Max, wymiar sprawiedliwości w tej sprawie to czysta abstrakcja. Jedynym wyjściem jest dopasowanie się do ich zasad gry i właśnie w ten sposób trafiłem na Lucasa. Niezły

z niego cwaniak, a do tego niezwykle inteligentny, dlatego pomogłem mu w przeprowadzce do Szwajcarii, kiedy FBI zaczęło deptać mu po piętach w Stanach Zjednoczonych. Wiele skradzionych dzieł sztuki nigdy nie opuściło ani Niemiec, ani Austrii, niektóre z nich zostały ukryte w Szwajcarii i Liechtensteinie, dlatego lepszym posunięciem było, żeby Lucas znajdował się po tej stronie Atlantyku. Zajmował się szukaniem dla mnie dzieł, które później kupowałem za horrendalne sumy, żeby wyciągnąć je z obiegu na czarnym rynku i oddać prawowitym właścicielom. Lucasowi udało się znaleźć dziewięć dzieł z listy twojego ojca, którą Jakob mi podarował, ponieważ i tak znał ją na pamięć. *Las w ciszy* był dziesiątym obrazem, na który Lucas trafił. Powiedziałem mu, że ma go zdobyć za wszelką cenę. Jak mogłem wyobrazić sobie, że...

Stary Baron spuścił głowę na klatkę piersiową. Przypominał pozbawioną życia marionetkę wciąż trzymaną na sznurkach lalkarza. Przez chwilę nie był w stanie nic powiedzieć, ale ogromna nienawiść, jaką czuł teraz do Lucasa, pozwoliła mu wreszcie przemówić.

– Przeklęty niech będzie dzień, w którym poznałem tego diabła. Niech szlag trafi Lucasa Steinera! – powiedział, zanim się rozplakał. Tym razem nic nie mogło go pocieszyć.

\* \* \*

Julia czekała cierpliwie przy drzwiach sali, ale nie odważyła się zajrzeć do środka. Jednak gdy usłyszała szloch Barona, na kilka centymetrów uchyliła drzwi, żeby zobaczyć, jak starzec kończy wyznawać swoją historię mężczyźnie, który nadał sens jego życiu.

– Bardzo mi przykro, Max. Przykro mi, że poznaliśmy się w takich okolicznościach! Zatroszczę się osobiście o to, żeby niczego ci nie brakowało, niezależnie, gdzie się znajdziesz. Będziesz miał wszystko, co potrzebne. Będziesz w najlepszych rękach. A jeśli kiedykolwiek się obudzisz, mogę cię zapewnić, że *Las w ciszy* będzie na ciebie czekał. *Las w ciszy* i twoje całe życie.

Gabriel Baron złapał delikatnie wykrzywioną dłoń Maxa i przyłożył ją do ust. To było jego pożegnanie. Obecny w sali Albert podniósł się ze stojącego w kącie krzesła i podszedł, żeby pomóc wstać staruszkowi. Baron nie miał na tyle sił w rękach, żeby poruszyć kołami wózka inwalidzkiego.

\* \* \*

Nad ranem samolot typu F900 przelatywał nad Atlantykiem w drodze powrotnej do Nowego Jorku z dwoma pilotami, stewardessą, Baronem i jego asystentem na pokładzie. Starzec odpoczywał w spokoju: wreszcie spełnił marzenie swojego życia. Los nie chciał jednak, żeby jego szczęście trwało zbyt długo. Dojechawszy do swojej rezydencji na Upper East Side na Manhattanie otrzymał wiadomość od Julii, którą przeczytał mu Albert: „Max opuścił nas zeszłej nocy. Bardzo mi przykro...”.

## 54. Oliver

Max odszedł nad ranem, a zaledwie kilka godzin później na porodówce w Triemli Valeria urodziła zdrowego chłopca. Postanowiła nazwać go Oliver.

Kiedy położna pokazała jej niemowlę i położyła z czułością na jej piersi, Valeria od razu zdała sobie sprawę, że podjęła właściwą decyzję. Już nigdy nie będzie sama. To był szybki i nieskomplikowany poród. Być może dlatego, że to najmniej ją martwiło. Przez miesiące, kiedy nosiła dziecko pod sercem, jej prawdziwym zmartwieniem było pytanie, kto jest ojcem dziecka. Teraz już wiedziała.

Przez dość długą chwilę trzymała w rękach zwinięte w kocyk niemowlę, patrząc na nie z niedowierzaniem. Po raz pierwszy przemówiła do niego matczynym głosem. Pytała samą siebie, jak od teraz będzie wyglądało jej życie z dzieckiem, którego w zasadzie nie planowała, a które będzie przez najbliższe lata zależne od niej o każdej porze dnia i nocy. Właśnie tak wyobrażała sobie macierzyństwo: jako radykalną zmianę i równie radykalną utratę wolności. Przeczynała, że przestanie myśleć o sobie, a zacznie troszczyć się o dziecko. Albo nawet że zacznie przejmować się wszystkimi dziećmi na świecie, bo tak wielka potrafiła być empatia i solidarność między matkami. Chyba gdzieś o tym czytała. Zastanawiała się, czy ona kiedyś poczuje to samo, czy można poczuć to samo, będąc matką z przypadku.

Chłopiec otworzył na chwilę oczy i chociaż wiedziała, że dziecko nie widziało jeszcze zbyt dobrze, mogłaby przysiąc, że te niewielkie szaroniebieskie tęczęwki ukryte za maleńkimi powiekami, na których jeszcze nie było widać rzęs, rozumiały wszystkie jej bolączki. Musiała przywitać swoje maleństwo z serdecznością, na którą nie mogła się zdobyć przez dziewięć miesięcy ciąży. Wiedziała, że nie pozostaje jej nic innego, bo dziecko nie jest nigdy winne tego, że pojawia się na świecie. Sama w dzieciństwie nie rozumiała zachowania i emocji dorosłych, dlatego teraz postanowiła wszystko tłumaczyć swojemu dziecku. Zmusiła się do wypowiedzenia tego na głos.

– Mój synu.

Potem, jakby odgrywała sesję terapeutyczną, dodała:

– Jestem mamą. Mamą, a ty, Oliverze, jesteś moim synem. Moim synem Oliverem.

Wypowiedzenie tych słów wcale nie było trudne. Mogłaby powtórzyć je nawet w obecności świadków. A jednak wiedziała, że trudno jej będzie nazwać się matką, nawet jeśli nazwanie Olivera synem nie stanowiło dla niej żadnego problemu. Wcale nie chciała zostać matką, a już na pewno nie matką dziecka Maxa.

Zwróciła się do niemowlaka, który właśnie przed chwilą zamknął oczy i wtulił się w jej pierś, zasypiając z zaciśniętymi piąstkami i podkurczonymi nóżkami jak malutka żaba.

– Jesteś moim synem, Oliverze. Podoba ci się twoje imię? Wydaje mi się, że do ciebie pasuje.

Valeria pocałowała go w główkę. Poczula zapach dziecka, który bardzo ją wzruszył. Spróbowała wyobrazić sobie, że wypowie to słowo nieskończoną liczbę razy w nadchodzących latach, i poczuła związaną z tym rewolucję: karmienie piersią, sztywny grafik („Dzieci potrzebują uporządkowanych rodziców”, jak powtarzała jej własna matka) i wynikającą z niego rutynę i brak seksu. „Ach, ten seks – uśmiechnęła się do siebie. – Jeśli ktokolwiek by mnie teraz tam dotknął, chyba bym zabiła”.

Kiedy cofnęła się myślami do chwili, w której Oliver został poczęty, uśmiech zastygł na jej twarzy. Nadal niczego nie była sobie w stanie przypomnieć. Będzie musiała wymyślić jakąś przekonującą historię dla dziecka, które kiedyś na pewno o to zapyta. Na razie jednak ten owoc zbyt upojnej nocy spał teraz na jej piersiach, niczemu niewinny. Valeria była wykończona i poczuła, że oczy same jej się zamykają.

„Będziesz musiała dorosnąć, Valerio – pomyślała. – Życie przestało być samotną grą w pasjansa, którą możesz przerwać w dowolnym momencie i po prostu zacząć kolejną rozgrywkę. Od teraz to gra zespołowa i twoim najważniejszym zadaniem jest kontynuowanie tej gry”.

Położna wróciła na chwilę na porodówkę. Kiedy zobaczyła, że Valeria leży ze śpiącym maleństwem, postanowiła zostawić ich jeszcze przez kilka minut samych.

Świeżo upieczona mama nawet nie zdała sobie sprawy z jej obecności. Zwróciła się bezpośrednio do syna:

– Wszystko będzie dobrze, Oliverze. Będzie nam dobrze. Będzie nam zajebiście dobrze, jeszcze sam zobaczysz. – Roześmiała się z własnych słów. – Tylko proszę zapamiętaj, że „zajebiście” to brzydkie słowo!

A potem się rozplakała.

Drzwi znowu się otworzyły i usłyszała zbliżające się do niej długie kroki. Poczowała, jak ktoś pieści delikatnie jej włosy, a następnie dużą dłoń obejmuje serdecznie jej rękę. Valeria uśmiechnęła się. Później otworzyła oczy i zobaczyła, że Tony też się uśmiecha. Tym samym uśmiechem, który widziała w dniu, kiedy się poznali i zakochali w sobie.

Tysiące kilometrów stamtąd asystent Gabriela Barona nalegał, żeby starzec pozwolił przeczytać sobie resztę wiadomości od Julii. To, co mężczyzna usłyszał chwilę później, sprawiło, że wstał z wózka bez niczyjej pomocy: „Ale Max ma spadkobiercę. Proszę o jak najszybszy kontakt”.



## 55. Pożegnanie

Pogrzeb Maxa był krótki. Gottfried osobiście wybrał muzykę. Wybrzmiało *Father and Son* w wersji Johnny'ego Casha i Joego Strummera. Na początek trochę elektronicznego bluesa, a na koniec coś naprawdę wyjątkowego: Rammstein z maksymalną głośnością, tak aby dźwięki doszły do Maxa, jeśli w zaświatach też zajmował się malarstwem.

Od jego śmierci minął dokładnie miesiąc, wystarczająco dużo, żeby z autopsji dowiedzieć się, czy do śmierci doszło na skutek wegetatywnego stanu organizmu, czy bezpośrednią przyczyną były powikłania od ran zadanych gwoździami. Gottfried nie rozumiał, na czym polega różnica, ale ponoć było to istotne podczas orzeczenia wyroku w sprawie Lucasa.

Julia pomogła ukochanemu podczas przygotowywania listy gości. Postanowili zaprosić na uroczystość małą grupkę fanów dzieł Maxa, którzy chcieli pojawić się na Fluntern na ostatnim pożegnaniu artysty. U skraju życia ten stroniący od ludzi chłopak został otoczony kręgiem wiernych przyjaciół. Nigdy nie przypuszczał, że miał ich tylu. Po pogrzebie Gottfried poprosił Julię, żeby zaszła wcześniej do Glücka, żeby przywitać tam gości na stypie. On sam chciał odwiedzić jeszcze ojca.

– W listopadzie? – zapytała.

– To, co chcę mu powiedzieć, nie może poczekać do stycznia.

\* \* \*

Roślinność otaczająca grób Joyce'a jesienią wyglądała zupełnie inaczej. Przyzwyczał się do tego, że ziemię pokrywała warstwa śniegu, dlatego gamy zieleni, ochry i czerwieni przy rzeźbionym nagrobku pisarza wydały mu się niezwykle zaskakujące. Kosy i modraszki dzieliły niebo z krukami, a ich świergot zagłuszał dźwięki zwierząt uwięzionych w pobliskim ZOO. Przyszło mu do głowy, że było to dość osobliwe miejsce na spędzenie wieczności.

Tak jak zawsze, kiedy odwiedzał grób, który przyjął za miejsce spoczynku ojca, Gottfried opuścił głowę w geście szacunku, zachowując przez parę minut milczenie. Kiedy się wyprostował, powiedział na głos:

– Dzisiaj nie jest 13 stycznia, ale nie mogłem czekać dłużej, żeby powiedzieć ci, że to przeklęte płótno wreszcie znalazło swojego prawowitego spadkobiercę. Jest nim Oliver, wnuk Jakoba Sandlera. Tak właśnie nazywał się Żyd, któremu pomogłeś przekroczyć granicę. Kiedyś opowiem ci jeszcze całą historię, teraz trochę mi się śpieszy...

Gottfried zamilkł i rozejrzał się wokół siebie. Ogrodnik sadił przy grobach nowe rośliny. Każda kwatery wyrażała, jaką osobą był zmarły, ale zasadzone przez mężczyznę kwiaty sprawiały, że wszystkie groby wydawały się podobne. Odmienne życia wobec wieczności upodabniały się do siebie. Śmierć sprowadza wszystko do wspólnego mianownika.

– Ale nie mogę cię przecież opuścić, nie wypowiadając naszego ulubionego zdania! „Przechadzamy się wewnątrz siebie, spotykając zbójców, duchy, olbrzymów, starców, młodzieńców, żony, wdowy, szwagrobaci. Ale zawsze spotykając samych siebie”. Trochę mi to zajęło, ale myślę, że wreszcie wszystko zrozumiałem: że ludzkie relacje ograniczają się do tego, kto pojawia się i odchodzi z naszego życia. Niewiele osób przy nas zostaje, większość po prostu znika, a wszyscy z nich i tak kiedyś umrą. Od każdej z tych osób możemy się jednak czegoś nauczyć, ponieważ to dzięki innym wyrażamy nasze sympatie i lęki, które oni, niczym lustro, odzwierciedlają. Co by nie mówić, ojciec, dzięki twojemu spadkowi mogłem poznać bardzo dobrze samego siebie, ale zrozumiałem też, że przeszłość nie zawsze jest czymś, co zostaje za nami: to, co kiedyś miało swój początek, prędzej czy później do nas wróci. Musi się tylko nadarzyć odpowiednia okazja. A więc skoro znalazłem już właściciela obrazu, pozwól, że zapomnę o przeszłości i skupię się na swojej przyszłości. Są tacy, którzy mają wielkie plany na przyszłość, ale moje są raczej skromne: chcę tylko, żeby stypa w Glücku skończyła się jak najszybciej, żebym mógł szybko uciec z Julią do domu i kochać się z nią zarówno tej nocy, jak i wszystkich pozostałych do końca mojego życia.

KONIEC